

W GÓRACH SZALEŃSTWA



1

Zostałem zmuszony, aby opowiedzieć moją historię, gdyż nie znając konkretnych powodów, naukowcy z pewnością nie posłuchaliby mej rady. Muszę przy tym nadmienić iż powody, dla których sprzeciwiam się ponownemu wtargnięciu na terytorium Antarktydy z kompleksowymi poszukiwaniami skamielin, wierceniami i topieniem pradawnych pokryw lądowych/ wyjawiam absolutnie wbrew mojej woli. Waham się tym bardziej, że ostrzeżenia moje mogą okazać się daremne. Powątpiewanie w oczywiste fakty, które zmuszony Jestem ujawnić jest nieuniknione, gdybym jednak opuścił bądź przemilczał to co wyda się szalone i niewiarygodne, nic by praktycznie nie pozostało, na moją korzyść świadczyć będą ukrywane dotąd zdjęcia, zarówno zwykłe jak i lotnicze. są one bowiem nad wyraz żywe i plastyczne. Wątpliwości mogą wzbudzić jedynie z tego względu, iż zręczne oszustwo praktycznie nie ma granic. Szkice wykonane tuszem zostaną, rzecz Jasna, wykzione jako przykład jawnego szalbierstwa, niemniej Jednak eksperci powinni bez trudu dostrzec dziwaczność owej techniki i mocno się nad nią zastanowić. Ostatecznie muszę zdać się na osąd i opinię tych nielicznych ekspertów, którzy z jednej strony wykazują dostateczną niezależność umysłu by ocenić moje argumenty zgodne z ich plugawym, przekonującym meritum, a z drugiej strony posiadających wystarczający wpływ by powstrzymać badaczy z całego świata przed prowadzeniem niefortunnych prac w pasmach Gór Szaleństwa. Tak się nieszczęśliwie składa, że ludzie tacy jak ja i moi towarzysze, związani z małym uniwersytetem, mają raczej niewielką szansę wywrzeć jakikolwiek wpływ tam, gdzie w grę wchodzi sprawy tak przerażająco dziwne, czy o tak kontrowersyjnej naturze. Na naszą niekorzyść świadczy również fakt, iż nie jesteśmy sensu stricte specjalistami w dziedzinach o które, przede wszystkim, tutaj chodzi. Moim głównym zadaniem jako geologa wchodzącego w skład Ekspedycji Uniwersytetu Miskatonic było uzyskanie próbek skał i gleb z różnych obszarów kontynentu antarktycznego, do czego służyć miał znakomity świder wynaleziony przez profesora Franka M. Fabodiego, z wydziału inżynierii naszej uczelni. nie miałem najmniejszej ochoty zostać pionierem na jakimkolwiek innym polu i żywiłem jedynie nadzieję, iż badając z pomocą naszego nowego mechanicznego urządzenia eksploatowane już wcześniej miejsca, dotrę do nowych materiałów, które dotąd, przy użyciu tradycyjnych metod wydobywczych, były nieosiągalne. O czym powiadomiliśmy opinię publiczną w naszych doniesieniach, aparatura wiertnicza Pabodiego okazała się wymyślna: łatwa w obsłudze, wyjątkowo lekka i przenośna, a dzięki temu że obok zwykłych urządzeń do wierceń artyleryjskich zastosowano w niej system niewielkich, kolistych świdrów skalnych, błyskawicznie i bez trudu radziła sobie z warstwami o różnej twardości. Stalowa głowica, połączone pręty, silnik benzynowy, składany, drewniany dźwig, ładunki dynamitu, detonatory i przewody elektryczne, świder do usuwania odpadów geologicznych i składany transporter rurowy o średnicy pięciu cali, pozwalający na wiercenia do głębokości tysiąca stóp, tworzyły ogółem ładunek mieszczący się na trzech saniach, ciągniętych przez zaprzęgi, złożone z siedmiu psów każdy. Było to możliwe dzięki przemysłnemu stopowi aluminium, z którego wykonano większość metalowych części. Cztery duże samoloty, specjalnie przystosowane do lotów na ogromnych wysokościach nad płaskowyżem Antarktydy wyposażone w podgrzewacze paliwa i dopalacze, były w stanie przenieść całą naszą ekspedycję z bazy na skraju wielkiej bariery lodowej, do wybranych przez nas miejsc wewnątrz kontynentu;

stamtąd dalej podążać mieliśmy zaprzęgami. Planowaliśmy spenetrować terytorium tak odległe jak tylko pozwoli na to jeden antarktyczny sezon - a może dłużej, gdyby okazało się to absolutnie niezbędne - przy czym mieliśmy działać głównie w masywach górskich i na płaskowyżu, na południe od Morza Rossa; w rejonach zbadanych już w różnym stopniu przez Shackletona, Amundsena, Scotta i Byrda. Zamierzaliśmy często zmieniać obozowiska i pokonywać samolotem odległości na tyle duże by mogły okazać się znaczące pod względem geologicznym, spodziewaliśmy się uzyskać ogromną ilość materiałów, zwłaszcza okazów pochodzących z warstw prekambryjskich, jakich do tej pory na Antarktydzie zebrano niewiele. Pragnęliśmy zebrać również jak najwięcej skał, zawierających skamieliny, bowiem informacje na temat pierwotnego życia w tej pępnej krainie lodu i śniegu/ mają ogromne znaczenie dla wiedzy o przeszłości ziemi. Na Antarktydzie panował tropikalny klimat, obfitujący w formy życia tak roślinnego jak i zwierzęcego, z których do dziś przetrwały jedynie, żyjące na północnych wybrzeżach kontynentu, pospolite porosty, pajęczaki i pingwiny; znakomita okazja by rozwinąć, wzbogacić i uściślić ową wiedzę. Gdyby podczas któregoś z wierceń udało się nam natrafić na skamieliny, mieliśmy rozszerzyć nawiert przy pomocy ładunku dynamitu i wydobyć okazy o odpowiednich rozmiarach i w odpowiednim stanie.

W skład wyprawy wchodziły cztery osoby z Uniwersytetu: Pabodie, Lakę z wydziału biologii, Atwood z wydziału fizyki (zajmujący się też meteorologią) oraz ja, reprezentujący geologię, sprawujący nominalne funkcje kierownika ekspedycji. Oprócz nas było jeszcze szesnastu pomocników - siedmiu absolwentów uczelni i dziewięciu zdolnych mechaników. Z tych szesnastu, dwunastu posiadało kwalifikacje pilotów i, za wyjątkiem dwóch/ kwalifikacje operatorów radiowych; dodać należy iż ośmiu spośród nich znało się na nawigacji, i potrafiło posługiwać się kompasem i sekstanssem, podobnie jak Padodie, Atwood i ja. Do tego rzecz jasna dochodziły pełne załogi dwóch naszych statków, byłych jednostek wielorybnych, których drewniane kadłuby specjalnie wzmocniono i w których zamontowano dodatkowe kotły paro we. Ekspedycję finansowała Fundacja N. D. Pickmana wsparta paroma innymi dotacjami; dzięki temu, mimo braku wielkiej reklamy mogliśmy poczynić nader gruntowne przygotowania. Psy, sanie, maszyny, sprzęt obozowy oraz pięć rozłożonych na części samolotów dostarczono do Bostonu i tam załadowano na statki. Cel mieliśmy jasno określony, wyposażenie doskonałe, a w takich kwestiach jak odpowiednie zaprowiantowanie. organizacja, transport czy budowa obozów korzystaliśmy z doświadczeń wielu nad wyraz wybitnych poprzedników, leli liczba i sława jaką się cieszyli sprawiły, że nasza wyprawa, pomimo iż tak hojnie zaopatrzona, przeszła, praktycznie rzecz biorąc, nie zauważona.

Wyłynęliśmy z portu w Bostonie drugiego września 1950 roku, płynąc niezbyt szybkim kursem wzdłuż wybrzeża, przez kanał Panamski i zatrzymując się na Samoa i w Hobart, na Tasmanii. Tam zabraliśmy na pokład resztę zaopatrzenia, nikt z naszej grupy badawczej nic był dotąd w rejonach podbiegunowych i wszyscy polegaliśmy głównie na kapitanach naszych statków - J. B. Dougiasie, dowódcy brygu "Arkham", i całego morskiego etapu wyprawy, i Georgu Thorfinnssenie, kapitanie statku "Miskatonic". Obaj byli starymi wilkami morskimi, weteranami wypraw wielorybnych.

Im dalej zostawialiśmy za sobą zamieszkały świat, tym niżej słońce zapadało po północnej stronie, pozostając jednocześnie każdego dnia coraz dłużej nad horyzontem. Na wysokości mniej więcej 62 stopnia szerokości południowej ujrzeliśmy pierwsze góry lodowe, przypominające stoły, a tuż przed osiągnięciem kręgu polarnego, którego przecięcie w dniu 20 października uczciliśmy tradycyjną i oryginalną ceremonią, napotkaliśmy pierwsze poważne kłopoty z polem lodowym.

Przedzierając się przez lód, którego połać nie była na szczęście ani zbyt rozległa ani zbyt gruba, na 68 stopnia szerokości południowej i 175 stopniu długości wschodniej/ wyszliśmy na otwarte wody. Rankiem, dwudziestego szóstego października od strony południowej oczom naszym ukazał się lśniący potężny ląd, a przed południem, drżąc z emocji oglądaliśmy rozległy, wyniosły, pokryty śniegiem łańcuch górski rozciągający się aż po skraj horyzontu. Tak oto, nareszcie dotarliśmy do najbardziej wysuniętego przyczółka wielkiego, nieznanego kontynentu i tajemniczego, mrocznego świata lodowej śmierci. Szczyty te należały, rzecz jasna, do odkrytego przez Rossa Masywu Admiralicji; teraz zadaniem naszym było opłynąć przylądek Adare i przepłynąć dalej wzdłuż wschodniego wybrzeża Ziemi Wiktorii, do miejsca w którym mieliśmy rozbić bazę/ u brzegów cieśniny McMurdo, u stóp wulkanu Erebus na 77 stopniu 9 minucie szerokości południowej.

Ostatni etap podróży był barwny i wpływał pobudzająco na wyobraźnię. Ogromne, nagie, tajemnicze wierzchołki majaczyły nieprzerwanie wzdłuż zachodniej strony nieba, podczas gdy nisko wiszące słońce, ukazujące się w południe po północnej stronie skapywało przymglonym czerwonym blaskiem na biały śnieg, błękitnawy lód, pasma wód i czarne połacie odsoniętych, granatowych stoków. Straszliwe podmuchy upiornego/ antarktycznego wiatru omiały nagie wierzchołki gór, zawrozenia wichury przywodziły niekiedy na myśl dziką, ledwo wyczuwalną melodię o szerokiej, zgoła obłądnej, gamie tonów, które w niewytłumaczalny, podświadomy sposób kojarzyły mi się z czymś niepokojącym, a nawet wręcz przerażającym. Cała sceneria przywodziła na myśl azyatyckie malarstwo Micholasa Koericha, i jeszcze bardziej zatracające opisy owianego złą sławą płaskowyżu Leng z kart mrozącego krew w żyłach, bluźnierczego i plugawego "Necronomiconu" szalonego Araba, Abdula Alhazreda. Wielokrotnie później żałowałem, że w ogóle zajrzałem do tej potwornej księgi, w bibliotece Uniwersytetu Miskatonic.

7 listopada straciliśmy chwilowo z oczu pasmo gór po zachodniej stronie/ minęliśmy wyspę Franklina, a następnego dnia ujrzeliśmy przed nami szczyty gór Erebus i Terror na wyspie Rossa, za nimi zaś długą linię Gór Perryego. Na wschodzie ciągnęła się gruba, biała krecha zapory lodowej/ sięgająca 200 stóp wysokości i przypominająca skaliste urwiska w Quebecu; zapowiadała ona kres żeglugi w kierunku południowym. Po południu weszliśmy do cieśniny McMurdo i rzuciliśmy kotwicę w cieniu dymiącego Erebusa. Pokryty żużlem wierzchołek wulkanu o wysokości 12.700 stóp przypominał Świętą Fuji, z japońskich malowideł. Za nim, niczym biały upiór, wznosił się Terror, wygasły już dziś wulkan mierzący 10.900 stóp. Kłęby dymu buchały z otworu Erebusa raczej

sporadycznie i jeden z absolwentów, zdolny, młody chłopak nazwiskiem Danforth, wskazał coś co przypominało ławę pokrywającą śnieżne stoki. Stwierdził przy tym/ iż góra ta, odkryta w 1840 r. była bez wątplenia inspiracją dla Poego, który w siedem lat później napisał:

"Siarką cuchnące lawy, gęste strugi nieustannie spływają w dół po zboczach Yaanck W najdalszych polarnych krainach Jęczą spływając w dół po zboczach Yaanck W lodowych, krainach polarnych zórz."

Danforth był miłośnikiem mrocznych lektur i dużo opowiadał o Poe'm. Mnie osobiście zainteresował antarktyczny wątek jedyne/ długiego opowiadania Poe'go - wstrząsającego i enigmatycznego "Arthura Gordona Pyma".

Na bezludnym wybrzeżu i wyrosłej zaporze lodowej niezliczone ilości groteskowych pingwinów popiskiwały, machały skrzydłami; w wodzie zaś/ i na rozległych krach dryfującego powoli lodu, pływały lub przewalały się tłuste, leniwe foki. Krótko po północy, 8 listopada, przy pomocy niewielkich łodzi dokonaliśmy trudnego lądowania. Jednocześnie przeciągnęliśmy z każdego ze statków kabel, przygotowując się do wyładunku zapasów przy pomocy boi. Pierwsze kroki na Antarkydzie pozostawiły w naszej pamięci niezatarte wrażenie, pomimo iż dotarli tu już wcześniej wyprawy Scotta i Shackletona. Masz obóz, założony na skutym lodem wybrzeżu, u stóp wulkanu był jedynie obozem tymczasowym/ kwatery główna wciąż znajdowała się na pokładzie "Arkham". Wyładowaliśmy sprzęt wiertniczy, psy, sanie, namioty, żywność, zbiorniki z benzyną, ekwipunek do topienia lodu, aparaty fotograficzne - zarówno te zwykłe jak i do zdjęć lotniczych, części samolotowe oraz inne akcesoria wraz z przenośnymi radiostacjami, które - obok tych zamontowanych na samolotach - były dostatecznie silne/ by za ich pośrednictwem połączyć się z potężną aparaturą nadawczo-odbiorczą na "Arkham" z dowolnego miejsca na kontynencie antarktycznym. Aparatura na statku/ za pomocą której utrzymywaliśmy bezpośredni kontakt ze światem zewnętrznym/ przesyłać miała raporty prasowe do ogromnej stacji radiowej "Arkham Advertiser" w King-sport Mead, w Massachusetts. Mieliśmy nadzieję, że zdołamy zakończyć nasze prace w przeciągu antarktycznego lata, gdyby jednak okazało się to niemożliwe, mieliśmy przewidzieć na "Arkham", a jednocześnie, nim lód skuje wodę, wysłać "Miskatonic" na północ, po zaopatrzenie na kolejny sezon.

Nie muszę powtarzać tego, co pisano w gazetach na temat naszych wstępnych działań; o wejściu na górę Erebus, czy uwieńczonych sukcesem wierceniach mineralogicznych w Kilku punktach na wyspie Rossa, które -mimo iż dokonano ich w skalnym podłożu - przebiegły nad wyraz sprawnie. Było to tylko i wyłącznie zasługą Pabodiego i jego aparatury. Nie będę też wspominał tu o pierwszej próbie wykorzystania urządzenia do topienia lodu czy o ryzykownym wejściu z saniami i zaopatrzeniem na wielką zaporę lodową, ani o tym jak w obozie na szczycie zapory zmontowaliśmy pięć wielkich samolotów. Zdrowie dopisywało całej naszej grupie, złożonej z dwudziestu mężczyzn i pięćdziesięciu alaskańskich psów zaprzęgowych, aczkolwiek należy nadmienić iż nie zetknęliśmy się jeszcze z naprawdę zabójczymi temperaturami i wiatrami. Temperatura wahała się w granicach między 0 a +25 stopni, a podobne mrozy występowały zimą w Płowej Anglii i byliśmy do nich przyzwyczajeni. Obóz na zaporze był również tymczasowy i pełnił miał wyłącznie funkcję magazynu na benzynę, żywność, materiały wybuchowe i inny sprzęt, na początek, do przewozu sprzętu badawczego potrzebowaliśmy tylko czterech samolotów. Piąty, na wypadek gdybyśmy utracili pozostałe maszyny i gdyby zaszła konieczność dostarczenia nas na "Arkham", pozostał w bazie zaopatrzeniowej pod opieką pilota i dwóch ludzi z załogi statku. Później/ gdy nie będziemy potrzebować wszystkich czterech samolotów do przewozu sprzętu/ planowaliśmy używać jednego lub dwóch z nich do transportu wahałowego, między bazą zaopatrzeniową, a obozem stałym na olbrzymim płaskowyżu oddalonym od nas o 600-700 mil na południe, leżącym już za połacią lodowca Beardmore'a. Na przekór nieomal jednomyślnym opiniom o przerażających wicherach i burzach śnieżnych atakujących z tego właśnie płaskowyżu, postanowiliśmy, gwoli ekonomice i efektywności naszych działań, obyć się bez obozów pośrednich. Raporty radiowe donosiły o odbytych 21 listopada przez naszą eskadrę, zapierającym dech w piersiach czterogodzinnym locie non-stop. Lecieliśmy ponad dumną, lodową pustynią, gdzie słychać było tylko ciszę. Wiatr nie sprawiał nam większych kłopotów i radiokompassy przydały się tylko raz/ kiedy trafiliśmy w gęstą mgłę. Pomiedzy szerokością 85 i 84 stopnia ujrzeliśmy rozległą połąć ogromnego wzniesienia; uświadomiliśmy sobie, że dotarliśmy do lodowca Reardmore'a, największej doliny lodowcowej świata. Znaleźliśmy się wreszcie w prawdziwym/ martwym od wieków, białym świecie najdalszego południa. Wtedy też dostrzegliśmy daleko na wschodzie, wierzchołek góry Flansen, wznoszący się na wysokość prawie 15.000 stóp.

Pomyślnie założenie bazy południowej ponad lodowcem, na szerokości 86 stopni 7 minut i 174 stopniu 25 minucie długości wschodniej, oraz niewiarygodnie szybkie i sprawne wiercenia, prace geologiczne w różnych punktach, do których dotarliśmy czy to saniami, czy też odbywając krótkie loty samolotami, należą już do historii. To samo tyczy się uciążliwego, choć triumfalnego wejścia na górę Plansen, dokonanego przez Pabodiego i dwóch absolwentów uczelni - Gedney i Carrola, w dniach między 12 a 15 grudnia. Kiedy znajdowaliśmy się na wysokości około 8.500 stóp nad poziomem morza, próbne wiercenia wykazały, iż w pewnych miejscach stały gruntu znajduje się zaledwie 12 stóp pod powierzchnią śniegu i lodu. Wykorzystaliśmy zatem naszą aparaturę do topienia lodu; wytopiliśmy otwory strzelnicze i użyliśmy dynamitu w wielu takich miejscach, gdzie żadnemu z wcześniejszych badaczy nie zaświtała nawet myśl o poszukiwaniu minerałów. Uzyskane w ten sposób próbki granitu prekambryjskiego i piaskowca potwierdziły nasze przypuszczenia, iż płaskowyż ów był homogeniczny, z olbrzymią masą kontynentu na zachodzie, ale różniący się nieco od części leżących na wschodzie, poniżej Ameryki Płd. który, jak sędzieliśmy uformował mniejszy, odrębny kontynent oddzielony od większego zamrożonymi połączkami mórz Kossa i Weddella, aczkolwiek Byrd odrzucał tę hipotezę. Wewnątrz niektórych piaskowców, które, celem poznania ich natury, wysadzaliśmy dynamitem i kruszyli, odnaleźliśmy pewne nader interesujące ślady i odłamki skamielin - głównie paproci, wodorostów, trylobitów, liliowców oraz mięczaków, jak Linguellae i gastropody; wszystko to miało ogromne znaczenie dla pierwotnej historii tego regionu. natrafiliśmy również na osłabły, trójkątny, prążkowany odcisk mierzący w najszerszym miejscu stopę średnicy, który Lakę złożył z trzech fragmentów płytki łupku, wydobytej z otworu po wierceniu dokonanym na wyjątkowo dużej głębokości. Miejsce,

gdzie odkryliśmy owe fragmenty znajdowało się na zachodzie, w pobliżu Gór Królowej Aleksandry i Lakeę, jako biolog, dostrzegł w tych intrygujących odciskach coś wyjątkowo zagadkowego i ekscytującego. W moim mniemaniu, jako geologa, łupek ten nie różnił się niczym od innych skał osadowych. Jest on wszak formacją metamorficzną/ w którą wprasowana została warstwa osadowa, a ciśnienie powoduje deformacje wszelkich zaistniałych w nim odcisków, nie widziałem więc powodu, aby aż do tego stopnia przejmować się, czy ekscytować owym prążkowanym wgłębieniem.

Kiedy szóstego dnia Lakeę, Fabodie, Daniels, sześciu absolwentów, czterech mechaników i ja przelatywaliśmy na pokładzie dwóch samolotów nad brzegiem południowym, nagły/ porywisty wiatr, który na szczęście nie przerodził się w śnieżną burzę, zmusił nas do lądowania. Był to, jak podały gazety, jeden z nielicznych epizodów w czasie kilku lotów obserwacyjnych, podczas których staraliśmy się określić nowe szczegóły topograficzne na obszarach, gdzie nie dotarli dotąd badacze. Wcześniejsze loty, które pod tym względem nas rozczarowały dostarczyły w zamian kilku olśniewających przykładówFantastycznych, zwodniczych miraży, występujących na terenach polarnych, Których podróz morską data nam zaledwie mizerny przedsmak. Odległe góry wznosiły się na niebie niczym zachwycające, czarodziejskie miasta a byłoby, że cały biały świat zmieniał się w złotą/ srebrzystą i szkarłatną krainę/ jakby zrodzoną z marzeń i imaginacji Dunsanyego, skąpaną w magicznym blasku wiszącego nisko na niebie słońca. W pochmurne dni miewaliśmy znaczne kłopoty z lotami, bowiem niebo zlewało się z ośnieżoną ziemią/ przeistaczając się w jedną, mistyczną, mieniającą się wszystkimi barwami tęczy pustkę i nie sposób było dostrzec horyzontu rozdzielającego ziemię od nieba. Ostatecznie postanowiliśmy zrealizować nasz pierwotny plan pięćsetmilowego lotu na wschód przy użyciu wszystkich czterech samolotów, i założyć nową bazę przejściową na, jak mylnie sądziliśmy, mniejszej części kontynentu. Okazy geologiczne, które planowaliśmy tam uzyskać mogły okazać się niezwykle cenne, ze względów porównawczych.

Jak dotąd zdrowie nieodparcie nam dopisywało - sok z limonów idealnie kompensował monotoność diety opartej na puszkowej, mocno solonej żywności, zaś temperatury, utrzymujące się generalnie powyżej zera/ pozwalały nam obywać się bez najgrubszych futer. Był środek lata, więc śpiesząc się, choć wykonując sumiennie wszystkie obowiązki, mogliśmy zakończyć naszą działalność do marca/ unikając tym samym nudnego zimowania podczas długiej, antarktycznej nocy. Z zachodu nadeszło kilka srogich huraganów, ale uniknęliśmy szkód dzięki zapobiegliwości Atwooda, który wymyślił schrony dla samolotów oraz wiatrochrony ułożone z ciężkich bloków śniegu. Główne budynki obozu wzmocniliśmy śniegiem. Co tu dużo mówić, nie da się ukryć, iż dopisujące nam szczęście i nasza operatywność były doprawdy niesamowite. Zanim jeszcze na dobre przenieśliśmy się do naszej bazy, zewnętrzny świat wiedział już o naszym Programie, jak i o dziwnym, zaciętym uporze Lakeya upierającym się przy wyprawie badawczej na zachód/ a raczej, dokładniej rzecz biorąc, na północny zachód. Wyglądało na to, iż szykował on naprawdę olbrzymie przedsięwzięcie, które związane było z trójkątnym, prążkowanym kawałkiem łupku - zgodnie z interpretacją Lake'a był on sprzeczny z naturą, co w najważniejszym stopniu pobudzało jego ciekawość, sprawiając iż nie mógł już doczekać się kolejnych wierceń i kruszenia skał w formacjach rozciągających się na zachodzie, do których to formacji owe fragmenty należały. Był dziwnie przekonany, iż ślad ów jest odciskiem jakiegoś ogromnego/ nieznanego i niesklasyfikowanego dotąd organizmu, stojącego dość wysoko na drabinie ewolucji. Absolutnie nie zwracał uwagi na fakt, że wiekowe ślady -kambryjskie, jeśli nie prekambryjskie - wykluczały istnienie nie tylko wyżej rozwiniętego, ale w ogóle jakiegokolwiek życia poza jednokomórkowcami, lub co najwyżej trylobitami. Odłamki skały, na której zachowały się niezwykle ślady musiały pochodzić sprzed bardzo wielu eonów.

[Początek] [Rozdział 2 ->]

2

Opinia publiczna żywo zareagowała na nasze radiowe biuletyny, donoszące o wyprawie w nietknięte dotąd ludzką stopą i nie spenetrowane nawet wyobraźnią człowieka, północno-zachodnie terytoria, pomimo iż dotychczas nie wspomnieliśmy jeszcze o wielkich nadziejach na dokonanie rewolucji w naukach biologicznych i geologicznych. Wstępna wyprawa Lake'a saniami, między 11 a 18 stycznia w towarzystwie Pabodiego i paru innych osób, podczas której przy przekraczaniu jednego z ogromnych masywów sprasowanego lodu utracono dwa psy, przyniosła jeszcze więcej łupków z ery archaicznej - nawet ja zaintrygowany byłam osobliwą ilością ewidentnych skamielin w tej tak niewiarygodnie pradawnej warstwie. Chociaż były to odciski prymitywnych form życia, nie stanowiących zbyt wielkiego paradoksu, znalezione zostały, jak sądziliśmy, w warstwach, gdzie nie powinniśmy napotkać żadnych śladów życia. Właśnie dlatego wciąż nie widziałem większego sensu w naleganiach Lake'a, by przerwać nasz harmonogram -plan Lake'a wymagał bowiem zaangażowania wszystkich czterech samolotów, wielu ludzi i całej aparatury mechanicznej jaką dysponowaliśmy. Koniec końców nie wyraziłem sprzeciwu wobec tego planu, choć postanowiłem iż nie będę towarzyszył grupie udającej się na północny zachód.

Kiedy już odjechali, wraz z Pabodiem i pięcioma innymi ludźmi, przystąpiłem do ostatecznego opracowania planu naszych przelotów na wschód. W myśl tego, jeszcze w trakcie przygotowań, jeden z samolotów miał przetransportować spory zapas benzyny z cieśniny McMind - to jednak mogło, przynajmniej na razie, poczekać, zostawiłem sobie sanie i dziewięć psów, gdyż nierozsądnym byłoby pozbawić się na jakiś czas możliwości transportu w tym kompletnie pustym świecie lodowatej, panującej tu od zarania śmierci, nadprogramowa wyprawa Lake'a w nieznaną, jak wszyscy sobie przypominają, nadsyłała własne raporty za pośrednictwem zainstalowanych w samolotach krótkofalówek. Komunikaty odbierane były jednocześnie przez nasze odbiorniki w bazie południowej i na "Arkham" w cieśninie McMurdo; z tego ostatniego miejsca zaś szły dalej w świat na lalach długich, w paśmie do 50 metrów.

Lakeę wyruszył 22 stycznia o czwartej nad ranem, pierwszy przekaz radiowy zaś nadszedł już po dwóch godzinach,

kiedy to Lakę doniósł o lądowaniu i rozpoczęciu wierceń oraz topieniu na niewielką skalę lodu, w miejscu odległym od nas o około 500 mil. Sześć godzin później drugi, nader ekscytujący przekaz informował o gorączkowej, szaleńczej pracy w wyniku której został wywiercony i powiększony wybuchem płytki szyb, w którym odkryto kawałki łupka z kilkoma śladami podobnymi do tych, które spowodowały pierwotne zamieszanie. Trzy godziny później, krótki komunikat mówił o podjęciu, mimo silnej, porywistej wichury, dalszego lotu; kiedy zaś wysłałem zalecenia zabraniające dalszego ryzyka. Lakę odpowiedział obcesowo, iż jego nowe okazy czynią każde ryzyko opłacalnym. Wówczas zrozumiałem, że jego podnienie osiągnęło stadium bliskie buntowi i nie jestem w stanie uczynić nic, by go powstrzymać i odwieść od ryzyka zagrażającego sukcesowi całej wyprawy; największym wszakże przerażeniem napawała mnie myśl, że zanurza się coraz to głębiej w złowrogi i zdradziecki biały bezmiar huraganów i niezbadanych tajemnic, ciągnący się jakieś półtora tysiąca mil aż do na połę tylko znanej, linii brzegowej Ziemi Królowej Marii i Knoxa. Następnie, po upływie mniej więcej półtorej godziny nadeszła podwójnie ekscytująca wiadomość, nadana ze znajdującego się w powietrzu samolotu Lake'a, która diametralnie zmieniła mój nastrój, sprawiając że zapragnąłem nagle towarzyszyć jego zespołowi:

- 10:05. Ma pokładzie samolotu. Po burzy śnieżnej dostrześliśmy masyw górski, wyższy niż jakikolwiek dotąd przez nas oglądany. Zważywszy na wysokość płaskowyżu można go porównać z Himalajami. Przypuszczalne położenie: 76 stopni 15 minut szerokości i 115 stopni 10 minut długości wschodniej. Rozciąga się w prawo i w lewo daleko, jak okiem sięgnąć. Podejrzewamy istnienie dwóch dymiących wulkanów. Wszystkie szczyty czarne i oczyszczone ze śniegu. Szalejąca wichura utrudnia nawigację.

Po tej informacji Pabodie, jego ludzie i ja czuwaliliśmy, z niepokojem i ekscytacją nad odbiornikiem. Myśl o nieznanach górach oddalonych od nas o 700 mil rozpalila w nas żądze; cieszyliśmy się, że to my - pomimo iż nie osobiście - jesteśmy odkrywcami tych gór. Po pół godzinie Lakę znowu nas wywołał:

- Samolot Moultona musiał przymusowo lądować na płaskowyżu, na pogórze, nikomu nic się nie stało, a maszynę zapewne uda się naprawić. Przeładujemy najważniejszy sprzęt do trzech pozostałych maszyn na powrót, lub dalszą drogę, w zależności od sytuacji, ale na razie nie zachodzi potrzeba podróży obciążonymi samolotami. Zamierzam przeprowadzić dziś zwiad na pokładzie maszyny Carrolla, po wyładowaniu z niej całego sprzętu. Mię jesteście w stanie wyobrazić sobie czegoś takiego. Najwyższe wierzchołki muszą mieć ponad 55 tysięcy stóp. Everest to przy nich pestka. Atwood mierzy wysokość teodolitem, podczas gdy Carroll i ja wybraliśmy się na krótki wypad. Jeśli chodzi o wulkany, prawdopodobnie zaszła pomyłka, gdyż formacje wyglądają na warstwowe, prawdopodobnie prekambryjskie łupki przemieszane z innymi pokładami. Dziwnie prezentują się na Ile nieba - regularne grupy sześciątów przylegających do najwyższych szczytów. Wszystko spowite jest cudownym czerwono-złotym blaskiem wiszącego nisko słońca. Przypomina krajinę ze snów albo bramę zapomnianego świata pełnego nieznanymi cudów. Chciałbym abyś tu był i mógł to zobaczyć.

Choć właściwie była to pora snu, nikt z nas, słuchających, nie myślał nawet o ułożeniu się na spoczynek. Podobne nastroje musiały zapewne panować w McMurdo, gdzie informacje dotarły do naszego magazynu i na pokład "Arkham". Douglas pogratulował nam tak istotnego odkrycia, a do niego przyłączył się Sherman, kierownik magazynu. Martwiliśmy się, rzecz jasna o uszkodzony aeroplan, ale mieliśmy nadzieję, że łatwo da się go naprawić. O 25:00 ponownie zgłosił się Lakę.

- Lecimy z Carrolliem nad najwyższymi partiami pogórze. Mię odważymy się wznieść przy tej pogodzie nad naprawdę wysokimi szczytami, ale uczynimy to później. Dotarcie tu było uciążliwe i przerażające, ale warto było. Olbrzymie pasmo górskie stanowi jednolity masyw i nie ma możliwości zajrzeć co znajduje się za nimi. Główne wierzchołki są wyższe niż szczyty Himalajów i nader osobiwe. Wygląda na to, iż są zbudowane z prekambryjskich łupków z wyraźnymi oznakami wypiętrzenia innych warstw. Jeśli chodzi o wulkany, myliliśmy się. Masyw rozciąga się tak daleko, jak okiem sięgnąć. Powyżej mniej więcej 21 tysięcy stóp góry są pozbawione śniegu. Dziwne i niezwykle formacje na stokach najwyższych gór. Wielkie, acz niewysokie kwadratowe bloki o idealnie pionowych bokach i prostokątnych obwałowaniach u dołu, niczym stare, azjatyckie zamki przylegające do stromych górskich zboczach na obrazach Roericha, niezwykle frapujący widok. Doprawdy, robi z daleka ogromne wrażenie. Podleciliśmy bliżej do niektórych z nich, bo Carroll myślał, iż są zbudowane z mniejszych, oddzielnych fragmentów, ale prawdopodobnie to tylko ślady zwietrzenia. Większość krawędzi jest pokruszona i zaokrąglona, jakby przez miliony lat wystawione były na działanie burz i niedogodności klimatycznych. Pewne partie gór, zwłaszcza te wyższe wydają się być utworzone ze skał jaśniejszego koloru niż większość warstw na właściwych zboczach, i z całą pewnością posiadają strukturę krystaliczną. Zbliżywszy się do nich dostrześliśmy wiele wejść do jaskini - niektóre z nich mają osobiwie regularny kształt: kwadratowy lub półkolisty. Musisz sam tu przybyć i to zbadać. Wydaje mi się, że na szczycie jednego z wierzchołków widziałem wał lub coś zbliżonego do łuku. Wysokość szczytu wynosi od 50 - 55 tysięcy stóp. Ja znajduję się teraz na wysokości 21.5 tysiąca stóp. Jest piekielnie zimno. Mróz przenika do szpiku kości. Wiatr wyje i zawodzi przetaczając się przez przełęcze, zagładając i wydostając się z jaskini, ale dla samolotu nie stanowi większego zagrożenia.

Od tej chwili, przez następne pół godziny. Lakę z przejęciem opowiadał nam o wszystkim, wyrażając zapalczywe pragnienie odbycia normalnej wspinaczki na któryś ze szczytów. Odpowiedziałem, że dołączę do niego tak szybko, jak tylko zdoła przysłać mi samolot, oraz że opracujemy z Pabodiem najlepszy plan zagospodarowania benzyny - ogólnie rzecz biorąc chodziło o to gdzie i jak powinniśmy skoncentrować nasze zapasy z punktu widzenia zmiany planów wyprawy. Rzecz jasna, wiercenia Lake'a, jak również loty aeroplanów wymagać będą ogromnych ilości benzyny w nowej bazie, którą zamierzał założyć u podnóża gór; tak więc lot na wschód mógł w ogóle w tym sezonie nie dojść do skutku. W związku z tą sprawą skontaktowałem się z kapitanem Douglasem i poprosiłem, by wyładował ze statków tyle benzyny ile się da i przesłał zapasy na górę, na zaporę, psim zaprzęgiem, który tam pozostawiliśmy. Przed wszystkim mu sieliśmy zorganizować bezpośrednie połączenie poprzez nieznaną terytoria,

dzielące obóz Lake'a od cieśniny Mc Murdo. Później Lakę znów mnie wywołał, by stwierdzić, że postanowił rozbić obóz tam, gdzie Moulton wsadził samolot, którego naprawa, notabene, była Już w loku. Pokrywa lodu była tam nader cienka i gdzieś pod bieli przeziierał ciemny grunt; Lakę przed wspinaczką i wyprawą saniami chciał jeszcze dokonać w tym miejscu kilku wierceń i strażów. Mówił o trudnym do opisanie, niepojętym majestacie całej, otaczającej ich scenerii, dziwnym, niepokojącym odczuciu jakby znajdował się w cieniu ogromnych, milczących wież, których szeregi wznosiły się w górę niczym ściana sięgająca nieba, na krawędzi świata. Atwood prowadząc obserwacje przy pomocy teodolitu ustalił, iż wysokość pięciu najwyższych szczytów wahała się od 50 do 54 tysięcy stóp. Lake'a niewątpliwie niepokoił problem omiecionych ze śniegu zboczy, gdyż sugerowało to istnienie powracających z większą lub mniejszą częstotliwością wichur, przewyższających swą zaciekłością i gwałtownością wszystkie inne, jakie dotąd mieliśmy możliwość oglądać. Jego obóz usytuowany był ponad 5 mil od miejsca, gdzie pogórze gwałtownie się wznosiło. Wyczułem w jego słowach nutę podświadomej trwogi - nutę która dała się wyczuć nawet poprzez dzielącą nas lodową pustkę 700 mil - gdy nakłaniał nas, byśmy się pospieszyli i dotarli do owego osobliwego, nowego regionu tak szybko jak to tylko możliwe. Wybierał się właśnie na spoczynek po całym dniu nieustannej pracy, prowadzonej w niesłychanym tempie, z niewiarygodną zawziętością i dającą niesamowite wyniki.

Rankiem odbyłem trójstronną rozmowę z Lake'm i kapitanem Douglasem, przebywającymi w swych odległych od siebie obozach. Ustaliliśmy, że jeden z samolotów przybędzie do mojej bazy po Pabodiego, pięciu mężczyzn i po mnie, jak również po tyle paliwa ile zdoła unieść na swym pokładzie. Sprawa pozostałej benzyny zależy będzie od naszych dalszych ustaleń w kwestii wypadu na wschód; póki co odłożyliśmy ów problem na kilka dni, gdyż chwilowo Lakę posiada wystarczająca ilość paliwa potrzebnego by ogrzać obóz i prowadzić wiercenia. W paliwo powinna zostać zaopatrzona baza południowa, lecz jeżeli odłożymy wyprawę na wschód, to nie skorzystamy z niej aż do przyszłego lata, a tym czasem Lakę przysła samolot, by określić bezpośrednią trasę pomiędzy swymi nowymi górami, a cieśniną Mc Murdo. Wraz z Pabodiem przygotowaliśmy bazę do zamknięcia jej na dłuższy lub krótszy okres - w zależności od sytuacji. Gdyby przyszło nam spędzić na Antarktydzie całą zimą, odlecimy zapewne z bazy Lake'a na "Arkham" nie wracając już do tego punktu. Część naszych stożkowych namiotów została już wcześniej wzmocniona bryłami zlodowaciałego śniegu, w związku z czym postanowiliśmy obecnie dokończyć prace nad stworzeniem stałego osiedla. Jako że dysponowaliśmy spora liczbą namiotów - Lakę miał ich pod dostatkiem, nawet gdyby nasza grupka miała przenieść się i zamieszkać w jego bazie. Przekazałem przez radio, że Pabodie i ja będziemy gotowi do drogi nazajutrz, gdyż czekał nas jeszcze jeden dzień pracy, noc zaś chcieliśmy uczciwie przespać. Praca jednak trwała nieprzerwanie tylko do szesnastej, gdyż od tego mniej więcej czasu zaczęły napływać od Lake'a zdumiewające i nad wyraz ekscytujące komunikaty. Dzień zaczął się dla niego niepomysłnie; dokonane z aeroplanu pomiary wyłaniającej się spod lodu, w pobliżu bazy, skalnej powierzchni wykazały całkowity brak wszystkich tych pierwotnych archaicznych warstw, których tak poszukiwał, a które tworzyły przeważającą część gigantycznych wierzchołków widniejących w prowokującej odległości od obozowiska. Większość owych lśniących skał była albo pochodzącymi z okresu jurajskiego i kredowe go piaskowcami, albo łupkami z permu i triasu, których występujące tu i ówdzie połyskujące czernią pokłady sugerowały twarde złoża łupkowego węgla. To raczej zniechęcało Lake'a, który chciał wydobyć dużo starsze okazy niż liczące sobie 500 milionów lat. Zdawał sobie sprawę, że aby odkryć żyłę archaicznego łupku w którym znalazł dziwne znaki, musi podjąć niełatwą wyprawę saniami z pogórza na którym się znajdował, aż do stóp stromych zboczy gigantycznych gór. Mimo to jednak postanowił dokonać kilku miejscowych wierceń, jako część ogólnego programu wyprawy. Polecił zatem zamontować świdra i wyznaczył do jego obsługi pięciu ludzi, podczas gdy po została grupa kończyła ustawianie obozu i reperowała uszkodzony samolot. Ma początek wierceń wybrano skały, które wyglądały na najbardziej miękkie - piaskowiec oddalony od obozu o mniej więcej ćwierć mili. Świdra uporał się z nim bardzo łatwo, bez potrzeby dokonywania żadnych dodatkowych dynamitowych strażów. Trzy godziny później po pierwszym koniecznym strzale usłyszano krzyk załogi świdra i niebawem młody Gedney - pełniący rolę kierownika robót - wpadł spiesznie do obozu, z zaskakującymi wieściami. Natrafiono na jaskinię, pobliską wiec szybko ustąpił miejsca żyłom komaczańskiego wapienia, pełnego mikroskopijnych skamielin głowonogów, kości morskich kręgowców i rekinów. Już to, samo w sobie, było ważnym odkryciem, gdyż dostarczało wyprawie pierwszych skamielin kręgowców; wkrótce po tym jednak, gdy głowica zagłębiła się w próżnię, wiertacz ogarnęła kolejna, jeszcze silniejsza fala emocji. Potężny ładunek ujawnił podziemny sekret - poprzez postrzępiony otwór mierzący około 5 stóp szerokości i 2 stopy grubości ziała płytką jamą wydrążoną w wapieniu przed ponad 50 min lat, przez wody pradawnego, tropikalnego świata. Wydrążona warstwa nie miała więcej niż 7 czy 9 stóp, lecz rozciągała się pod ziemią we wszystkich kierunkach. Wyczuwało się tam słaby ciąg powietrza, który sugerował istnienie całego rozległego systemu jałskich. Zarówno strop jak i podłoże pokryte było obficie stalaktytami i stalagmitami - niektóre z nich stykały się ze sobą tworząc ogromne kolumny, najistotniejszy ze wszystkiego był jednak odkryty tam, rozległy pokład muszli i kości, które miejscami wręcz blokowały przejście. Zmyte z nieznanymi dżungli mezozoicznych, z lasów trzeciego rzędu, palm wachlarzowych i prymitywnych roślin okrytozalążkowych, owo kostne zbiorowisko zawierało więcej gatunków zwierzęcych niż najsumienniejszy paleontolog byłby w stanie zgromadzić i sklasyfikować przez rok. Mięczaki, pancerze skorupiaków, ryby, zwierzęta ziemnowodne, gady, ptaki i wczesne ssaki, duże i małe, znane i nieznanne. Nic dziwnego zatem, że Gedney wrócił biegiem do obozu krzycząc, i nic dziwnego, że każdy rzucał swoją pracę i ruszał przez przeszywaną do szpiku kości, gryzący chłód tam, gdzie wysoki szyb znaczył nowo odkrytą bramę wiodącą ku sekretom wnętrza ziemi i minionych wieków. Kiedy Lakę zaspokoił pierwszą, palącą ciekawość, pospiesznie nabazgrał w notatniku krótką wiadomość i młody Moulton pobiegł z nią do obozu, by nadać przez radio komunikat. W ten sposób dowiedziałem się o odkryciu. Wiadomość mówiła też o zidentyfikowaniu pierwszych muszli, kości ryb kostołuskich i Placodermów, szczątków Labyrinthodontów i Thcodontów, fragmentów czaszki Mosasaura, stosu paciierzowego i pancernych płyt Dinozaura, zęba i kości skrzydła Pterodaktyla, szczątków Archeopteryxa, zębów mioceńskiego rekina, czaszek prymitywnych ptaków oraz innych kości pradawnych zwierząt takich jak: Xiphodony, Eohippy, Oreodony i Titanothery. Ponieważ nie znalezione szczątków współczesnych. Lakę wysnuł wniosek, że ostatnie warstwy trafiły tutaj w Oligocenie, a ta zapadnięta warstwa, w obecnym wyschniętym martwym i odizolowanym stanie,

znajdowała się tak przez ostatnie 50 milionów lat. Z drugiej jednak strony najbardziej interesująca była przewaga form bardzo wczesnego życia. Chociaż wapienna formacja była niewątpliwie komanczańska, i ani trochę wcześniejsza, czego dowodem są skamieliny osadzone w tej płytkiej grocie w typowy, konarowy sposób, to także fragmenty wolnej przestrzeni zawierały zadziwiającą proporcję organizmów traktowanych dotychczas jako właściwych dla okresów dużo starszych - nawet szczątkowe ryby, mięczaki i korale pochodziły z odległego syluru i ordowiku. Nasuwał się oczywisty wniosek, że w tej części świata istniała nadzwyczajna i unikalna ciągłość między żywym i sprzytu 50 milionów lat. Trudno było ustalić jak daleko ciągnęła się ta wychodzi poza oligocen, kiedy to jaskinia została zamknięta. Tak czy inaczej nadejście straszliwego lodowca w plejstocenie - jakieś 500 tysięcy lat temu - nieomal wczoraj w porównaniu z wiekiem jaskini, musiało oznaczać kres wszystkich pierwotnych form, które lokalnie potrafiły przetrwać właściwe dla nich czasy. Lakę nic poprzestał na pierwszej wiadomości, lecz sporządził kolejny komunikat i przesłał go poprzez śniegi do obozu, nim Moulton zdążył stamtąd wrócić. Dlatego też Moulton pozostał już przy radiu w jednym z samolotów nadając do "Arkham" i dalej w świat dalsze uzupełnienia, które Lakę przysyłał mu przez kolejnych posłańców. Kto śledził doniesienia prasowe, pamięta zapewne poruszenie jakie wśród naukowców wywołały te popołudniowe raporty; raporty które doprowadziły ostatecznie, po tylu latach do zorganizowania Ekspedycji Starkweathera i Moora, o którą tak się niepokoję, i którą usiłuję storpedować, najlepiej będzie jak przekażę te komunikaty dokładnie w takiej formie, jak przysyłał mi je Lakę, a nasz radiooperator w bazie, McTighe, przekładał ze stenogramu pisanego ołówkiem:

- Fowler w odłamkach piaskowca i wapienia uzyskanych wskutek wybuchu, dokonał odkrycia najwyższej wagi. Kilkanaście wyraźnych trójkątnych, prążkowanych odcisków, dokładnie takich samych jak te w archaicznym łupku, dowodzących, że źródło to przetrwało ponad 600 milionów lat, aż do czasów komanczańskich, bez większych zmian; to z kolei dowodzi, że odciski komanczańskie są w oczywisty sposób prymitywniejsze i bardziej schyłkowe niż pozostałe, starsze. Podkreście w prasie wagę odkrycia. Będzie ono znaczyć dla biologii tyle co dzieło Einsteina dla matematyki i fizyki. Skojarzcie to z moją poprzednią pracą i wysnujcie wnioski. Wygląda na to iż, jak podejrzewałem, ziemia była świadkiem całego cyklu, czy cykli organicznego życia jeszcze przed tym znanym, które rozpoczęło się od komórek w archeozoiku. Wyewoluowało ono i wyspecjalizowało się nie później niż miliard lat temu; kiedy planeta była młoda i nic nadająca się do zasiedlenia przez jakiegokolwiek formy życia czy zwyczajne struktury protoplazmatyczne. Rodzi się pytanie - gdzie, kiedy i jak rozpoczął się ich rozwój?

- Badając fragmenty pewnych szkieletów należących do ogromnych, zarówno lądowych jak i morskich gadów oraz prymitywnych ssaków, znalazłem osobliwie umiejscowione rany i uszkodzenia struktury kostnej, których nie można przypisać jakiegokolwiek drapieżcy czy mięsożercy z żadnego okresu. Były one dwójakiego rodzaju - proste, wytopione dziury na wylot oraz wyraźne ślady nacięć czy rąbania. Jeden czy dwa przypadki równo przeciętych kości, niewiele okazów uszkodzonych. Posłałem do obozu po latarki elektryczne. Rozszerzymy teren badań podziemnych przez wycięcie stalaktytów. -

- Znalazłem bardzo dziwny kawałek steatytu. Ma około 6 cali średnicy i 1.5 cala grubości. Jest całkiem inny od tutejszej formacji - trudno określić z jakiego pochodzi okresu. Zdumiewająco gładki i regularny. Ma kształt pięcioramiennej gwiazdy z odłamanymi końcami i śladami wgnieceń od uderzeń w wewnętrznych kątach i pośrodku. Na nieuszkodzonej powierzchni, pośrodku, małe gładkie wgłębienie. Jeszcze bardziej zdumiewające jest jego pochodzenie oraz ślady zwierzelin. Prawdopodobnie jakaś osobliwa forma działania wody. Carroll sądzi, że przy pomocy szkła powiększającego zdoła odnaleźć ślady dzięki którym obiekt zyska większe znaczenie geologiczne. Grupy maleńskich punkcików ułożonych w regularne wzory. Podczas naszych badań wzrasta niepokój psów i wydaje się, że zwierzęta nienawidzą tego steatytu. Muszę sprawdzić czy nic ma on jakiegoś specyficznego zapachu. Kolejny komunikat nadam przed wyruszeniem pod ziemię, kiedy Mills wróci z latarkami. -

- 22:15. Ważne odkrycie. Orrendorf i Watkins, pracując pod ziemią, przy sztucznym świetle znaleźli o godzinie 21:45 gigantyczną, baryłkową skamielinę całkowicie nieznanego rodzaju - zapewne jakiejś rośliny lub przerośniętego, nieznanego morskiego gatunku. Tkanka zakonserwowana przez sole mineralne. Twarda jak skóra, lecz miejscami zachowała zdumiewającą elastyczność. Ślady po odłamanych częściach na końcach i bokach. Mierzy dokładnie 6 stóp długości, 5.5 stopy szerokości w najgrubszym miejscu, przy końcach zwęża się do szerokości 1 stopy. Przypomina beczkę z pięcioma wypukłymi krawędziami zamiast kłapek. Ułamane końce czegoś, co wygląda jak cienkie łodygi biegnące kolistnie w najszerszym miejscu korpusu. Z bruzd między krawędziami wyrasta coś intrygującego - grzebienie albo skrzydła, które zwijają się i rozkładają niczym wachlarze. Wszystkie - za wyjątkiem jednego, które rozwija się w siedmiostopowej rozpiętości, są prawie zupełnie zniszczone. Całość przypomina jedno z monstrów z pradawnych mitów, zwłaszcza Starsze Istoty opisywane w "Necronomiconie". Skrzydła ich wydają się być z błony naciągniętej na szkielet, na ich końcach widnieją maleńkie otwory, końce ciała są uschłe i pomarszczone; nie sposób ustalić co znajdowało się w środku, ani co się odłamało. Kiedy wrócimy do obozu przeprowadzę sekcję. Mię potrafię określić czy było to zwierzę, czy roślina. Wiele cech wskazuje, iż było to stworzenie niewiarygodnie wręcz prymitywne. Poleciłem, by wszyscy zabrali się do wycinania stalaktytów i szukali kolejnych okazów. nadal mamy kłopoty z psami, nienawidzą nowego okazu i prawdopodobnie rozszarpałyby go na strzępy, gdybyśmy nie trzymali ich na dystans.

- 25:50. Uwaga! Dyer, Pabodie, Douglas! Sprawa najwyższej, rzekłbym, transcendentalnej wagi. "Arkham" musi to przekazać natychmiast stacji w Kingsport Mead. Dziwna, baryłkowa narośl jest stworem z ARCHAIKU, który pozostawił odciski w skałach. Mills, Boudreau i rowler odkryli pod ziemią grupę, trzynastu kolejnych, znajdującą się pod ziemią, 40 stóp od otworu. Wymieszane z zadziwiająco ukształtowanymi, zaokrąglonymi kawałkami steatytu, mniejszymi niż ten znaleziony na początku - wszystkie w kształcie gwiazdy, ale już bez uszkodzeń, za wyjątkiem kilku miejsc. Ze wszystkich okazów organicznych, osiem jest najwyraźniej kompletnych, ze wszystkimi dodatkami. Zabrałem je na powierzchnię. Psy trzymam od nich na dystans. Przykładam dużą wagę do opisu, zatem powtórzę jeszcze raz, dla dokładności. Gazety muszą opisać to dokładnie. Obiekty mają długość 8 stóp.

Sześciostopowe, pięciokrawędziowe baryłkowate korpusy, mierzące 5.5 stopy w najszerszym miejscu, kości o szerokości 1 stopy. Ciemnoszare, elastyczne i niewiarygodnie twarde. W bruzdach między krawędziami znajdują się siedmiostopowe, błoniaste skrzydła, również ciemnoszarego koloru, które w oliwili znalezienia były zwinięte. Szkielet nośny skrzydeł - z rurek lub gruczołów o nieco jaśniejszym odcieniu szarości, z otworami na końcach. Krawędzie rozwiniętych skrzydeł są zablokowane. W najgrubszym miejscu każdej z pięciu pionowych, podobnych do klepek w beczce krawędzi, znajduje się pięć jasnoszarych, elastycznych ramion czy macek, w chwili znalezienia zwiniętych i przylegających ciasno do korpusu. Okazały się one rozciągliwe, a ich maksymalna długość liczy ponad 5 stopy; jak ramiona prymitywnego liliowca. Każda z macek o 5 calach średnicy, po dalszych 6 calach rozgałęzia się w niewielkie spiczaste odrosty czy wąsy, tak, że każda szypułka liczy w sumie 25 macek. Ma szczycie korpusu znajduje się gruba, bulwiasta szyja jasnoszarej barwy, zaopatrzona w coś, co przypomina skrzela, podtrzymująca żółtawą, pięcioramienną, przypominającą rozgwiazdę głowę pokrytą długimi na 5 cale, sztywnymi rzęskami o różnorodnych, przyrządkowanych barwach. Głowa jest gruba i pękata, mierzy około 2 stóp szerokości od czubka do czubka, z trzycalowymi żółtymi rurkami wychodzącymi z każdego końca. Szczelina pośrodku głowy służyła zapewne do oddychania, na końcu każdej rurki widnieje kuliste napęcznienie, gdzie żółtawa błona cofa się ku nasadzie, ukazując szklistą, o czerwonawej tęczącej gałkę, z całą pewnością oko. Z wewnętrznych kątów ukształtowanej na podobieństwo rozgwiazdy głowy wychodzi pięć nieco dłuższych, czerwonych rurek kończących się workowatymi obrzmieniami tej samej barwy, które naciśnięte rozchylają się w otwory o kształcie dzwonu i maksymalnej średnicy dwóch cali, okolone białymi, przypominającymi zęby wypustkami - prawdopodobnie jest to otwór gębowy. Wszystkie te rurki, rzęski i ramiona należące do głowy o kształcie rozgwiazdy w chwili znalezienia były czasowo złożone i przylegały ściśle do bulwiastej szyi i korpusu. Wobec wielkiej twardości taka elastyczność wydaje się wręcz zdumiewająca. W dolnej części korpusu kanciaste, acz odmiennie funkcjonujące kopie układu głowy. Bulwiasta, jasnoszara pseudoszyja - pozbawiona czegoś co wygląda jak skrzela - utrzymuje zielonkawą, pięcioramienny kształt rozgwiazdy. Twarde, muskularne ramiona długości 4 stóp, mierzące u podstawy 7 cali zewężają się do około 2,5 cala na końcach, skąd wyrasta niewielki, zielonkawy, przecięty pięcioma żyłkami, błoniasty trójkąt o długości 8 i szerokości 6 cali. Jest to łapka, płetwa lub pseudostopa, która od miliarda do 50 czy 60 milionów lat temu pozostawiła odciski w skale. Z wewnętrznych kątów rozgwiazdy wychodzą dwustopowe, czerwone rurki o 5 calach średnicy u podstawy i 1 calu na końcu. W końcówkach widnieją małe otworki. Wszystko to jest nadzwyczaj twarde i skórzaste, a jednocześnie niesłychanie elastyczne. Czterostopowe ramiona z płetwami bez wątpliwości służyły istotie do poruszania się - pływania, czy czegoś w tym rodzaju. Poruszone, ukazują niezwykłą muskulaturę. W chwili znalezienia wszystkie te elementy były czasowo zwinięte wokół pseudoszyi i końca korpusu; podobnie rzecz miała się z wypustkami po spodniej stronie. Mię potrafię jeszcze dokładnie ustalić czy owo coś należało do świata zwierząt, czy roślin. Wszystko wskazuje raczej na zwierzę. Jest to prawdopodobnie niezwykle zaawansowana w ewolucji forma promieniaka, który zarazem nie utracił nic ze swych prymitywnych cech. Zauważa się niewątpliwie podobieństwo do szkarłupnia, mimo pewnych zaprzeczających temu oznak. Jako iż był to zapewne stwór morski, zadziwił układ i struktura skrzydeł, choć mogły być one przydatne przy żegludze. Symetria natomiast jest osobliwie roślinnej natury typu: góra-dół, w przeciwieństwie do zwierzęcego układu struktur na bazie: przód-tył. Bajecznie wczesna data ewolucji, poprzedzająca nawet najprostsze ze znanych dzisiaj, archaiczne organizmy - zbija z tropu i rodzi domysły co do pochodzenia owego stwora, nieuszkodzone okazy tak niesamowicie przypominają pewne stworzenie z pierwotnych mitów, że. ich istnienie, w pradawnych czasach poza Antarktydą wyda je się nieuniknione. Dyer i Pabodie, którzy czytali "Ne cronornicon" i widzieli powstałe z inspiracji treści.] owej plugawej księgi przerażające obrazy Clarka Ashtona Smitha, zrozumiemy zapewne co mam na myśli, gdy mówię o Starszych Istotach, które przypuszczalnie stworzyły ca 1c ziemskie życie - czy to dla żartu, czy też może przez pomyłkę. Otworzyły się szerokie pole do badań. Sadząc według znalezisk, pochodzą one prawdopodobnie z okresu późnej kredy. Nad nimi zwieszają się ogromne, masywne stalagmity. Wycięcie ich to nader żmudna i ciężka robota, ale to właśnie ich twardość zapobiegła zniszczeniu okazów. Stan zachowania skamielin jest wręcz zdumiewający, rzecz jasna dzięki procesom wapiennym. Jak dotąd nie znaleźliśmy nic więcej; wznowimy poszukiwania później. Teraz musimy odtransportować czternaście ogromnych okazów do obozowisk.. Nie możemy użyć do tego psów, które szczekają jak oszalałe i wolimy się do nich nie zbliżać. Dziewięć osób - trzy pozostały by pilnować psów - powinno poradzić sobie z trzema saniami, mimo że wieje paskudny wiatr. Musi my ustalić połączenie lotnicze z cieśnina McMurdo i zacząć przewozić sprzęt, nim jednak udam się na spoczynek, chciałbym dokonać sekcji jednego z tych stworów. Brakuje mi tu prawdziwego laboratorium. Miech Dyer sam wymierzy sobie solidnego kopniaka, że starał się powstrzymać mnie przed wyprawą na zachód, najpierw najwyższe góry świata, a teraz to. Myślę, że możemy pogratulować sobie sukcesu. Zadanie naukowe zostało wykonane. Dzięki Pabodiemu za świder, który pozwolił nam otworzyć jaskinię. Czy teraz "Arkham" może powtórzyć opis?

Trudno wręcz opisać uczucie Pabodiego i moje po otrzymaniu tego komunikatu. Entuzjazm naszych towarzyszy dorównywał naszemu. McTighe, który w pośpiechu tłumaczył najistotniejsze fragmenty raportów w miarę jak napływały z buczonego radia, kiedy tylko operator Lake'a zakończył transmisję, przepisał je w całości ze sporządzonego stenogramu. Wszyscy pospołu doceniliśmy epokowe znaczenie odkrycia. Gdy operator z "Arkham" powtórzył opisowe fragmenty relacji, jak mu polecono, przesłałem Lake'owi ogólne gratulacje. Za moim przykładem poszedł również Sherman z bazy zaopatrzeniowej w cieśninie McMurdo oraz kapitan Douglas z "Arkham". Później jako kierownik wyprawy dodałem parę uwag, które miały być przesłane za pośrednictwem statku w świat, naturalnie, w ogólnym podnieceniu i poruszeniu, myśl o odpoczynku wydawała się niedorzeczna. Jedynym moim pragnieniem było dotrzeć jak najszybciej do obozowiska Lake'a. Wielkim rozczarowaniem był dla mnie jego komunikat o nadciągającej z gór wichurze, uniemożliwiającej w obecnym czasie jakąkolwiek komunikację lotniczą. Jednak w ciągu godziny zainteresowanie wzięło górę nad rozczarowaniem. Łakę w kolejnych komunikatach donosił o pomyślnym przetransportowaniu do obozu czternastu olbrzymich okazów. Zadanie to okazało się nielicho trudne, gdyż stworzenia były zdumiewająco ciężkie; dziewięciu mężczyzn jednak poradziło sobie z tym nad wyraz sprawnie. W obecnej chwili kilka osób wznosiło, w stosownej odległości od obozowiska, śnieżną zagrodę, w której dla większej wygody przy karmieniu miały być trzymane psy. Okazy, za wyjątkiem

jednego, na którym Lakę dokonać miał nader prymitywnej sekcji, wyładowano w pobliżu obozu, na ubitym śniegu. Sekcja okazała się trudniejszym przedsięwzięciem, aniżeli przypuszczano, gdyż pomimo gorąca buchającego z benzynowego pieca w nowo postawionym namiocie laboratoryjnym, zwodniczo elastyczna tkanka wybranego okazu - potężnego i nienaruszonego - nie straciła nic ze swej twardości, dużo większej niż w przypadku zwykłej skóry. Lake zachodził w głowę jak dokonać koniecznych nacięć nie niszcząc zarazem delikatnej struktury, którą pragnął zbadać. Posiadał wprawdzie jeszcze siedem, lepiej zachowanych okazów, ale mimo to było ich zbyt mało, by mógł sobie pozwolić na utratę choćby jednego, chyba że okazałoby się iż w jaskini jest ich jeszcze pod dostatkiem. Dlatego też zrezygnował z dokonania sekcji tego okazu i przyciągnął do namiotu drugi, który choć miał na obu końcach resztki wypustek w kształcie rozgwiazdy, był paskudnie zgnieciony i częściowo rozłupany wzdłuż jednej z bruzd wielkiego korpusu. Wyniki o których niezwłocznie powiadomił nas przez radio, były rzeczywiście ekscytujące i zapierały dech w piersiach. Trudno mu było precyzyjnie operować instrumentami, które z najwyższym trudem cięły anormalną tkankę, ale to co uzyskał wzbudziło w nas najwyższe zdumienie i oszołomienie. Konieczną rzeczą będzie dokonanie diametralnych korekt we współczesnej biologii, bowiem ów stwór nie był produktem żadnego, znanego nauce wzrostu komórkowego. W okazy wystąpiły wyłącznie drobne zmiany mineralne i mimo upływu dobrych 40 milionów lat organy wewnętrzne były absolutnie nienaruszone. Twarda jak podeszwa, nie podlegająca rozkładowi i prawie nic zniszczona tkanka była charakterystyczną cechą struktury stwora, a zatem przejawem jakiegoś organicznego cyklu ewolucji bezkręgowców całkowicie przekraczającego możliwości naszych dociekań. Ma początku wszystko co znał Lakę było wyschnięte, jednak po upływie pewnego czasu, gdy w panującym w namiocie ciepłe rozpoczął się proces odtajania, z nieuszkodzonego boku stwora począł dobywać się płyn organiczny o nader ostrej, odpychającej woni. Mię była to krew, ale gęsta, ciemnozielona ciecz, pełniąca zapewne podobną funkcję. Zanim Lakę osiągnął to stadium badań, wszystkie trzydzieści siedem psów zostało odprowadzonych do niewykończonej jeszcze zagrody opodal obozowiska, choć nawet z tej odległości słychać było ich szaleńcze ujadanie, gdy wyczuwały unoszący się w powietrzu, kwaśny, ostry, drażniący fetor. Ta prowizoryczna sekcja, zamiast cokolwiek wyjaśnić, pogłębiła tylko zagadkę. Wszelkie domysły snute na temat zewnętrznych organów okazu okazały się słuszne i w świetle uzyskanych dowodów nikt nie mógł się wahać, by nazwać owo stworzenie zwierzęciem. Badania wewnętrzne jednak, wykazały istnienie tak wielu cech roślinnych, że Lakę był kompletnie zdezorientowany. Trawienie, cyrkulacja wewnętrzna i wydalanie odbywało się poprzez czerwone rurki umieszczone przy podstawie, w kształcie rozgwiazdy. Ogólnie można stwierdzić, iż jego organy oddechowe przyswajały raczej tlen niż dwutlenek węgla, a co dziwniejsze, natknięto się na wewnętrzne komory powietrza oraz dwa inne, w pełni rozwinięte systemy oddychania - przy pomocy skrzel i porów, najwyraźniej stwór był istotą ziemnowodną, przystosowaną do długotrwałych okresów hibernacji. Jego narządy głosowe zdawały się być połączone z głównym systemem oddychania, aczkolwiek zawierającym w sobie tyle anomalii, że przy tak prowizorycznej sekcji nie sposób ich było wyjaśnić. Artykułowana mowa, w sensie zwykłego wyrażania słów, wydaje się mało prawdopodobna, bardziej logicznym byłoby sądzić, iż stwór wydawał całą gamę dźwięcznych, melodyjnych, świergodzących tonów. Układ mięśniowy rozwinięty był wręcz nadnaturalnie. System nerwowy był tak skomplikowany i wyewoluowany, że Lakę wręcz osłupiał. Jakkolwiek pod pewnymi względami niezwykle prymitywny i archaiczny, stwór posiadał szereg niebywale rozwiniętych i wyspecjalizowanych ośrodków nerwowych i tkanek łącznych. Mózg o pięciu płatach był zaskakująco zaawansowany w rozwoju i posiadał wyraźnie układ sensoryczny, działający po części przy pomocy sztywnych rzę sęk na głowie stworzenia, którego parametry były kom piętnie obce dla jakiegokolwiek organizmu. Prawdopodobnie dysponował więcej niż pięcioma zmysłami, toteż jego zwyczajów i zachowań nie sposób było domyślić się na podstawie analogii. Lakę sadił, że musiało to być stworzenie o ogromnej wrażliwości i różnicowanych funkcjach. Reprodukcyjny jak rośliny okrytozalążkowe, zwłaszcza Pteridophyta, posiadany na czubkach skrzydeł zarodnikami, na tym etapie badań dokładne określenie nazwy owego stworzenia byłoby rzecz niepoważna. Po części roślina, posiadało w trzech czwartych strukturę zwierzęcą. Z pochodzenia było istotą morską; wskazywał na to jego symetryczny kształt oraz nie które inne cechy; nikt jednak nie potrafił określić granic jego późniejszej adaptacji. Skrzydła nieodparcie sugerowały, że to stworzenie latające. Sposób w jaki zdołało przejść swą potwornie złożoną ewolucję, na nowo narodzonej ziemi, w tak szybkim czasie, by zostawić odciski w skałach archaiku był równie niepojęty jak pewne mity, powracające w osobliwy sposób we wspomnianiach Lake'a - o wielkich Starych Istotach, które przybyły z gwiazd i, dla żartu lub przez pomyłkę, stworzyły życie na ziemi, a także szalone, zwariowane opowieści o zamieszkujących w głębi ziemi przybyszach z kosmosu, opowiadane mi przez kolegę, badacza folkloru z wydziału anglistyki w Miskatonic. Lakę brał rzecz jasna pod uwagę możliwość, że prekambryjskie odciski mogli po zostawić mniej rozwinięci jeśli chodzi o ewolucję, przodkowie obecnego okazu, ale po rozważeniu rozwiniętych właściwości strukturalnych starszych skamielin, szybko odrzucił tę łatwą teorię. Kontury późniejszych stworzeń wykazywały bowiem raczej cofanie się, aniżeli posłę? w ewolucji. Rozmiar pseudostóp malał, a cała morfologia upraszczała się, tracąc swą złożoność. Ponadto przebił dane nerwy i organy wyraźnie sugerowały regresję w stosunku do form bardziej złożonych. W zadziwiający sposób przeważały tu organy ulegające zanikowi, bądź organy szczątkowe. Ogólnie rzecz biorąc, niewiele to wyjaśniało i Lakę znów powrócił do mitologii nadając swym znaleziskom tymczasową, żartobliwą nazwę - Starsze Istoty. Około 2:50 nad ranem zdecydował wreszcie zakończyć pracę i udać się na spoczynek. Organizm, na którym prowadził sekcję przykrył brezentem, wyszedł z namiotu laboratoryjnego i z zainteresowaniem począł oglądać nienaruszone okazy. Promienie nie gasnącego, antarktycznego słońca ponownie dotarły do ich tkanek i czubki głów oraz rurki dwóch czy trzech okazów zaczęły się z wolna rozwijać; Lakę nie sądził jednak, by w powietrzu o temperaturze bliskiej zeru istniało niebezpieczeństwo ich rozkładu, niemniej zebrał wszystkie nienaruszone okazy razem, nakrywając je zbędnym namiotem, aby w ten sposób uchronić je przed bezpośrednim działaniem procesów słonecznych, a zarazem stłumić nieco woń. która - jak wszystko wskazywało - drażniła zaprzęgowe psy; wrogość tych zwierząt stała się rzeczywistym problemem, mimo sporej bądź co bądź odległości w jakiej je trzymano i coraz wyższych ścian ze śniegu, które wciąż zwiększająca się liczba osób wznosiła pospiesznie wokół ich zagrody. Z powodu przybierającej na sile wichury - wszystko wskazywało na to, iż od strony tytanicznych, posępnych gór nadciągała nielicha śnieżycy - musiał przycisnąć jeszcze brzegi namiotu kilkoma ciężkimi bryłami zlodowaciałego śniegu. Znów powróciły obawy przed antarktycznymi zawieruchami, toteż pod

nadzorem Atwooda zaczęto obwarowywać śniegiem od strony gór namioty, zagrodę dla psów i prowizoryczne schronienia dla samolotów. Te ostatnie, wzniesione z twardego śniegu i w trudnych warunkach, nie były dostatecznie wysokie; koniec końców Lakę polecił zaprzestać innych prac i zająć się tylko tym jednym za daniem. Było już po czwartej, kiedy Lakę dał nareszcie sygnał do zakończenia transmisji, radząc nam, byśmy również pozwolili sobie na odrobinę odpoczynku, tak jak uczynią to jego ludzie, kiedy ściany hangaru będą odpowiednio wyższe. Mastępnie uciął sobie niedługą, przyjacielską pogawędkę z Pabodiem raz jeszcze wychwalając jego doprawdy doskonałe świdry, które pomogły mu dokonać wielkiego odkrycia. Do pochwały i pozdrowień dołączył się Atwood, ja zaś przestałem Lake'owi kilka ciepłych słów, przyznając mu rację co do podjęcia wyprawy na zachód. Na koniec ustaliliśmy kolejną łączność radiową na dziesiątą rano. Gdyby do tej pory wichura ustała, Lakę miał wystać samolot po grupę z mojej bazy. Tuż przed udaniem się na spoczynek wysłałem ostatnią wiadomość na "Arkham" z instrukcją, by nieco stonowano wiadomości wysyłane tego dnia w świat. Wszystkie szczegóły bowiem były tak radykalne, że wzbudziłyby falę nieufności i niedowierzania; należało rozgłaszać informacje o naszych odkryciach nader oględnie, aż do chwili kiedy będziemy w stanie wszystko uzupełnić, wyjaśnić i udokumentować.

[<- **Rozdział 1**] [**Początek**] [**Rozdział 3** ->]

3

Sądzę, że tego ranka nikt z nas nie spał ani długo, ani głęboko, nie pozwalały na to zarówno gwałtowność wichury, jak i podniecenie spowodowane odkryciami Lake'a. nawet tam, gdzie się znajdowaliśmy, podmuchy wiatru były tak potężne, że nie potrafiliśmy sobie wyobrazić jego siły w obozie Lake'a, bezpośrednio pod ogromnymi, nieznanymi wierzchołkami, skąd brał swój początek. McTighe obudził się o dziesiątej i jak było ustalone próbował nawiązać łączność z Lake'm; występujące jednak w rozszalałym powietrzu na zachodzie, jakież zakłócenia natury elektrycznej uniemożliwiały łączność. Kiedy połączyliśmy się z "Arkham", Douglas oznajmił nam, że też próbował, bezskutecznie, nawiązać kontakt z grupą Lake'a. nie wiedział nic o huraganie, gdyż choć u nas wiało jeszcze z uporczywą furją, w cieśninie McMurdo panowała względna cisza i spokój. Przez cały dzień niespokojnie nasłuchiwaaliśmy, starając się od czasu do czasu nawiązać z Lake'm kontakt - bez skutku. Około południa z zachodu nadciągnęła jeszcze silniejsza burza i zaczęliśmy już obawiać się o bezpieczeństwo naszego obozu; niebawem jednak wichura przycichła i tylko na krótko - o drugiej po południu - zaatakowała nas ponownie, pełną mocą. O trzeciej wiatr był już bardzo słaby, a my zdwoiliśmy wysiłki, by połączyć się z Lake'm. Wiedząc, że dysponuje czterema samolotami, zaopatrzonymi w doskonałe nadajniki krótkofalowe nie potrafiliśmy wymyśleć jakiegokolwiek zwykłej przyczyny, która mogła spowodować jednoczesną awarię wszystkich czterech urządzeń, niemniej jednak, grobowa cisza przeciągała się i kiedy rozmyślaliśmy o szaleńczej sile wichury jaka musiała rozszalać się nad ich obozowiskiem, przychodziły nam do głowy najgorsze przypuszczenia. O szóstej nasze obawy stały się jednoznacznie mroczne i złowogie. Po radiowej konsultacji z Douglasem i Thorfinnssenem, postanowiłem podjąć kroki w celu wyjaśnienia sytuacji. Piąty samolot, pozostawiony w bazie zaopatrzeniowej w cieśninie McMurdo, z Shermanem i dwoma marynarzami był w dobrym stanie i gotowy do natychmiastowego użytku, a wszystko wskazywało, że czarna godzina, kiedy to miał zostać przez nas wykorzystany, właśnie wybiła. Połączyłem się przez radio z Shermanem i poleciłem mu jak najszybciej dołączyć do mnie z samolotem i dwoma marynarzami z bazy południowej, zwłaszcza, że panowały wręcz wymarzone warunki powietrzne, następnie omówiliśmy skład grupy biorącej udział w nadchodzących poszukiwaniach, ustalając, że należy zaangażować całe nasze siły, łącznie z saniami i psami, które miałem ze sobą. nawet tak duży ładunek znaczył niewiele dla olbrzymiego samolotu, zbudowanego zgodnie z naszym zamówieniem do transportu ciężkich urządzeń. W przerwach wciąż usiłowałem nawiązać łączność z Lake'm, ale nadal bez rezultatu. Sherman z marynarzami: Gunnarssonem i 1-arsenem wy startowali o 7:50 nawiązując z nami kontakt kilkakrotnie podczas lotu, by donieść o jego spokojnym przebiegu. Do naszej bazy przybyli o północy i niezwłocznie pr/y stąpiliśmy do omówienia kolejnego kroku. To nader ryzykowne przedsięwzięcie - lecieć nad Antarktydą pojedynczym samolotem bez wsparcia żadnych baz po dro dze, nikt jednak nie zamierzał cofać się przed tym, co było absolutną koniecznością. O drugiej, po wstępnym załadunku samolotu udaliśmy się na krótki spoczynek, ale już o czwartej byliśmy znów na nogach golowi cło kończyć pakowania i załadunku. Wystartowaliśmy 25 stycznia o godzinie 7:15 rano, udając się w kierunku zachodnim. Pilotem był McTighe. Ma pokładzie znajdowało się dziesięciu ludzi, siedem psów, sanie, zapas paliwa i żywności oraz szereg innych przedmiotów, łącznie Z pokładową radiostacją. Powietrze było czyste, zupełnie spokojne, temperatura względnie łagodna i nic przewidywaaliśmy większych kłopotów z osiągnięciem punktu, w którym Lakę rozbił swój obóz. nurtował nas jedynie problem co znajdziemy - lub czego NIE ZNAJDZIEMY u celu naszej drogi, gdyż na próby nawiązania łączności z obozem odpowiedzią była niezmiennie grobowa cisza.

Marynarz Larsen pierwszy dostrzegł postrzępioną linię gór, a jego krzyki sprawiły, że wszyscy czym prędzej rzuciliśmy się do okien wielkiej kabiny samolotu. Pomimo dużej prędkości przybliżały się bardzo wolno, toteż doszliśmy do wniosku, że muszą być niesłychanie odległe i widoczne wyłącznie dzięki swej niewiarygodnej wysokości. Stopniowo jednak pięły się coraz to wyżej i coraz bardziej posępne ku zachodniemu niebu; niebawem mogliśmy już rozróżnić poszczególne nagie, poczerwiałe, mroczne wierzchołki budzące w nas uczucie nierealności i złudy, gdy tak obserwowaliśmy je, zalane czerwonym antarktycznym blaskiem w drażniącym tle opalizujących chmur lodowego pyłu. W całym tym widowisku zawierała się uporczywa, przenikająca do głębi aluzja potwornej tajemnicy, która miała zostać niebawem wyjawiona. Zupełnie jakby owe potężne, niczym zrodzone z nocnych koszmarów iglice, były wrotami przerażającej bramy wiodącej w głąb krain zakazanych snów, w głąb labiryntu, gdzie mieszają się ze sobą otchłanie minione go czasu, przestrzeni i innych wymiarów, nic potrafiłem stłumić w sobie odczucia, że były to złe twory - prawdziwe Góry Szaleństwa, których odległe stoki wyzierały majacząc nad jakąś przekłętą, najgłębszą z możliwych, otchłanią. A owo tło, przelewających się, na wpół rozświetlonych chmur przywodziło na myśl niemożliwe do opisanía, mgliste kosmiczne rubieże, wykraczające daleko poza ziemskie przestrzenie i przywodziło na myśl przejmujące uczucie kompletnej obcości, oderwania, pustki i śmierci panującej

od stuleci w tej dziewiczej, niezbadanej południowej krainie. To młody Danforth pierwszy zwrócił naszą uwagę na zadziwiające regularności w zarysie majaczących na tle nieba wyższych gór. Przylegały do nich fragmenty geometrycznych sześcianów, o których wspominał Lakę w swoich komunikatach, i które praktycznie usprawiedliwiały jego porównanie do powstałych w sennych wizjach ruin prastarej świątyni, na spowitych chmurami szczytach azjatyckich gór, tak subtelnie i osobliwie namalowanych przez Koericha. Prawdę mówiąc, w tym niezmiernie kontynencie tajemniczych gór było coś natrętnie i złowieszczo rocrichowskiego. Odczułem to już w październiku, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Ziemię Wiktorii, a teraz uczucie to powróciło na nowo ze zdwojoną siłą. Tym razem towarzyszyło mu dodatkowo niepokojące wrażenie analogii do mitów z archaiku; wrażenie iż ta wstrząsająca kraina śmierci przypomina okryty złą sławą, posępny płaskowyż Leng, z pradawnych legend. Mitologowie umiejscawiają go w Azji Centralnej, ale pamięć ludzkiej rasy - lut) jej poprzedników, jest długa i może być tak, że pewne opowieści pochodzą z krain, gór i świątyń starszych niż Azja, starszych niż jakikolwiek ludzki świat, który znamy. Kilku odważnych mistyków napomknęło o praarchaicznej genezie fragmentarycznych Manuskryptów Pnakolyckich sugerując, że wyznawcy Tsathoggui byli równie obcy człowiekowi jak sam Tsathoggua. Leng, gdziekolwiek by się nie znajdował w czasie i przestrzeni, nic należał do miejsc które chciałbym odwiedzić, czy choćby znaleźć się w ich pobliżu. Mię chciałbym również zetknąć się bliżej ze światem, który sprowadził tak zagadkowe, pochodzące z archaiku, odrażające monstra o jakich wspominał La ke. W tej chwili żałowałem wręcz, że w ogóle czytałem plugawy "Necronomicon" i prowadziłem rozmowy z tym nieprzyjemnym erudyta, badaczem folkloru, Wilmarthem z naszej uczelni, nastrój ten bez wątpienia jedynie wzmógł moją reakcję na dziwaczny miraż, który roztoczył się przed nami pośród coraz bardziej opalizującego zenitu, w miarę jak zbliżaliśmy się do masywu i zaczęliśmy dostrzegać widoczne na dole, mocno pofałdowane pogórze. W minionych tygodniach widziałem tuziny polarnych miraży, a niektóre z nich były równie niesamowite i fantastycznie żywe jak ten. Teraz jednak wyczuwałem w nim całkowicie nowy, nieokreślony i groźny symbolizm; ciarki przeszły mi po plecach, gdy ujrzałem ów kryjący labirynt bajecznych murów, wież i minaretów wylaniający się z rozszalałego lodowego wszechświata przed naszymi oczami. W sumie owo gigantyczne miasto o nieznaną człowieka, przechodzącej ludzkie wyobrażenie architektury, z rozległymi skupiskami czarnych jak noc wytworów sztuki kamieniarskiej zdawało się, w przerażający sposób urągać wszelkim prawom geometrii. Występowały tam ścięte stożki - niekiedy z terasami, zwieńczone wysokimi, cylindrycznymi szczytami - tu i ówdzie bulwiaste rozszerzonymi, często z warstwami ciężkich, fryzowanych tarcz; dziwne, zwieszające się, przypominające stoły konstrukcje przywodzące na myśl sterty nakładających się jedne na drugą prostokątnych lub owalnych płyt i pięcioramiennych gwiazd. Były tam kompozycje stożków i piramid, zarówno samych, jak i przyozdobionych walcami i sześcianami. Gdzieś tam strzelały w górę wąskie, smukłe jak igły wieżycy - i co zastanawiające - zawsze w grupach po pięć. Wszystkie te, przypominające wytwory chorej wyobraźni, budowle zdawały się być połączone ze sobą rurowymi mostami przechodzącymi z jednego na drugi na różnych, zawrotnych wysokościach. Dopiero one oddawały całą skalę przytłaczającego ogromu owej niesamowitej, zapierającej dech w piersiach budowli. Generalnie miraż przypominał niektóre z bardziej szalonych form zaobserwowanych i opisanych w 1820 roku przez arktycznego wielorybnika Scoresby'ego. Teraz jednak i w takim miejscu, w obliczu mrocznych, nieznanych zdających się sięgać niebios górskich wierzchołków, w chwili gdy nasze umysły dręczyła wizja innego, jeszcze starszego świata i przeczucie nieszczęścia, które prawdopodobnie spotkało większą część naszej ekspedycji, wydawało się nam iż posępny miraż stanowi ostrzeżenie przed czającym się tu ukrytym, nieskończonym złem. Byłem zadowolony, kiedy wizja zaczęła w końcu się rozmywać, aczkolwiek w trakcie tego procesu niektóre z wieżyczek i iglic przybrały jeszcze ohydniejsze, pomimo iż tylko przejściowe, kształt 'lidy w końcu cała iluzja rozplynęła się pośród opalizującej kipieli, ponownie zaczęliśmy spoglądać w kierunku ziemi; zbliżała się bowiem kres naszej podróży. Przed nami pięły się strzeliście przypominające o zawrót głowy nieznaną górę, niczym przerażający wał obronny wzniesiony przez gigantów, a ich dziwaczna regularność widoczna była, z zaskakującą ostrością, nawet bez lornetek. Znajdowaliśmy się teraz nad najniższymi partiami pogórza i dostrzegliśmy pośród śniegu, lodu i nagich skał głównego płaskowyżu kilka burych płatów, które jak sądziliśmy były miejscem obozu i prac wiertniczych Lake'a. Wyższe partie pogórza rozciągały się na przestrzeni 5 czy 6 mil tworząc odrębny masyw, wyraźnie odcinający się od przeraźliwej linii wyższych niż himalajskie wierzchołków. Po dłuższym czasie Kopc - student, który zastąpił McTighe'a przy sterach - skierował maszynę w dół, ku ciemnemu punktowi po naszej lewej stronie, którego rozmiar świadczył, iż musiał to być obóz. W tym samym czasie McTighe przekazał ostatni komunikat, jaki w nieocenzurowanej formie otrzymał świat od naszej ekspedycji. Wszyscy, rzecz jasna, czytali krótkie i niepełne doniesienia o naszym dalszym pobycie na Antarktydzie. W kilka godzin po lądowaniu przesłaliśmy ocenzone już meldunek o tragedii jaka się tu wydarzyła, niechętnie wspominając o przerażającej wicherze jaka nadeszła poprzedniego dnia, lub noc wcześniej, niosąc zagładę całej grupie Lake'a. Jedenaście trupów, młody Oedney zaginiony. Społeczeństwo wybaczyło nam, iż nie zagłębialiśmy się w szczegóły, zdając sobie sprawę z ogromu szoku i żalu wywołanego tym strasznym dramatem, wierząc zarazem, że to huraganowy wicher i jego niszcząca siła sprawiły, iż owych jedenaście ciał nie nadawało się do transportu. Prawdę mówiąc pochlebiam sobie, że nawet w obliczu takiego nieszczęścia, w kompletnym oszołomieniu i chwytającej za serce grozie udało się nam niemal w każdym przypadku, w niewielkim tylko stopniu rozminąć z prawdą. Sęk bowiem w tym, że nie śmieliśmy wyznać wszystkiego; nie uczyniłbym tego i dziś, gdyby nie konieczność przestrzeżenia innych przed bezimiennym koszmarem, rakiem jest, iż huraganowy wicher poczynił w obozie potworne spustoszenia. Burza miotająca z furją odłamki lodu, musiała swymi rozmiarami przekraczać wszystkie jakie dotąd napotkała nasza ekspedycja. Jeden ze schronów samolotowych - wydaje się iż wszystkie były zbyt słabe i niezdolne, by stawić czoła podobnemu żywiołowi - został praktycznie starty na miazgę, a rusztowanie odległego świdra dosłownie rozniesione na kawałki. Metalowe szczątki samolotów i urządzeń wiertniczych wygładzone zostały na wysoki połysk, a dwa niewielkie namioty, pomimo iż znajdowały się za obwarowaniami ze śniegu, kompletnie rozpląszczone. Wszystkie drewniane powierzchnie wystawione na działanie wichury obdarte były z farby i podziurawione jak ser szwajcarski. Ma śniegu nie pozostały żadne ślady. Mię znaleźliśmy też żadnego z archaicznych obiektów biologicznych w stanie nadającym się do transportu. Zebraliśmy jedynie kilka okazów minerałów z ogromnej sterty zawierającej zielonkawą odłamki steatytu z dziwnymi odciskami w kształcie rozgwiazdy i niewyraźnych śladów punkcików, które spowodowały tyle wątpliwości. Ponadto trochę skamieniały

kości, wśród których były egzemplarze noszące osobliwe ślady uszkodzeń. Mię przeżył ani jeden pies. Ich w pośpiechu budowana w pobliżu obozu zagroda ze śniegu była prawie całkowicie zburzona. Uszkodzenia te mogły być dziełem wichury, aczkolwiek większe szkody widniejące w murze od strony obozowiska, czyli od zawietrznej, zdawały się sugerować, iż były one dziełem samych psów, które walcząc jak oszalałe rozbiły ścianę pragnąc wyrwać się na wolność. Zaginęły wszystkie trzy pary sań, co tłumaczyliśmy działaniem wichru, który porwał je w nieznanne. Urządzenie wiertnicze i aparatura do topienia lodu znajdujące się w miejscu wiercenia były zbyt niszczące, aby można je było naprawić. Użyliśmy ich zatem do zaczopowania w niewielkim tylko stopniu zniszczonej bramy wiodącej w przeszłość, otwartej przez Lake'a. Pozostawiliśmy też w bazie dwa najbardziej uszkodzone samoloty, zwłaszcza że w naszej grupie było tylko czterech pilotów z prawdziwego zdarzenia - Sherman, Dantbrth, McTighe i Ropes - a na dodatek Danforth był w zbyt kiepskim stanie psychicznym, aby pilotować maszynę. Zabraliśmy natomiast ze sobą wszystkie książki, aparaturę naukową oraz różne inne przedmioty, które przypadkiem weszły nam w ręce, jakkolwiek wiele z nich było uszkodzonych i nie mogło się nam na wiele przydać. Zapasowe namioty i futra albo zaginęły, albo były w takim stanie, że nie nadawały się już do użytku.

Mniej więcej o czwartej po południu, po dalekim zwiadzie lotniczym ostatecznie uznaliśmy Gedney'a za zaginionego i przesłaliśmy ocenzurowaną wiadomość na "Arkham", skąd miano przekazać ją dalej. Sądzę, że udało nam się utrzymać komunikaty w spokojnym i wymijającym tonie. Mówiliśmy głównie o poruszeniu wśród psów, których szaleńczy niepokój wywołany bliskością pradawnych okresów biologicznych spodziewał się wyjaśnić nieżyjący Lake. Nie wspomnieliśmy natomiast nic, o podobnym zaniepokojeniu, kiedy weszły w pobliżu osobliwych, zielonkawych steatytów i niektórych innych przedmiotów znajdujących się na miejscu tragedii - instrumentów naukowych, samolotów, urządzeń tak w samym obozie jak i w miejscu wierzeń. Wszystko było potrząskane, bezlitośnie rozwleczone, nosiło ślady działalności wiatru, który musiał wiać tu z przerażającą i zadziwiającą siłą. W obozie powinno być czternaście okazów biologicznych, i jeżeli o nie chodzi - informację jak przekazaliśmy były, ogólnie mówiąc zdawkowe. Powiedzieliśmy, że znaleziono wyłącznie egzemplarze uszkodzone, których wygląd jednak w pełni potwierdził, że opis Lake'a był wyjątkowo dokładny. Było nam trudno nie mieszać w tę sprawę osobistych uczuć, ale nie wyznaliśmy dokładnej liczby ani nie wspomnieliśmy o stanie znalezionych przez nas zwłok. Uzgodniliśmy między sobą, że nie powiemy niczego, co mogłoby sugerować popadnięcie w obłęd niektórych ludzi Lake'a. A wszystko zdawało się na to wskazywać, kiedy odkryliśmy sześć uszkodzonych monstrów pogrzebanych pieczołowicie, w pionowej pozycji w grobach w śniegu. Ich głębokość sięgała 9 stóp, a każdy z grobów zwieńczony został pięcioramiennym kopcem oznaczonym na szczycie grupą punkcików, układającą się dokładnie w taki sam wzór jak na osobliwych, zielonkawych steatytach z warstw pochodzących z mezozoiku. natomiast osiem nieuszkodzonych okazów, o których wspominał Lake musiało zostać porwany przez wicher. Zadbaliśmy również o to, by z nadto nie wzburzyć umysłów opinii publicznej, toteż nie powiedzieliśmy z Danforthem zbyt wiele o przerażającej podróży nad górami, którą odbyliśmy następnego dnia. Tylko dlatego, iż całkowicie odciążony samolot był w stanie przelecieć nad masywem górskim na tak ogromnej wysokości, miłosierny los ograniczył liczebność grupy rekonesansowej do naszej dwójki. Kiedy już wracaliśmy, Danforth był bliski hysterii, choć z podziwu godnym uporem trzymał język za zębami, nie musiałem go przekonywać i zmuszać do obietnic, że nie doda nic ponad to co zdecydowaliśmy zgłosić oficjalnie oraz zachowa milczenie na temat szkiców i innych rzeczy przywiezionych przez nas z rekonesansu w kieszeniach, jak również na temat Filmów, które potem wywołały prywatnie, tylko dla naszego użytku. Tak więc część obecnej relacji będzie czymś zupełnie nowym, tak dla Pabodiego, McTighe'a, Ropesa, Shermana i całej reszty, podobnie jak i dla całego świata, niewątpliwie milczenie Danforth'a jest głębsze od mojego, widział on bowiem, lub wydaje mu się, że widział coś o czym nawet mnie nie powiedział. Jak wszystkim wiadomo, raport nasz zawierał opowieść o niezwykle trudnej wspinaczce, potwierdził też opinię Lake'a, że ogromnie wierzchołki zbudowane są z łupków archaicznych i innych bardzo dawno sfałdowanych warstw, które nie uległy przekształceniom od czasów co najmniej środkowej epoki komanczańskiej. W dalszej części raportu znajdowała się ogólnikowa wzmianka o regularności kształtów przylegających do gór sześcianów i formacji w kształcie wałów obronnych, stwierdzenie iż wejścia do jaskiń wskazują na istnienie zjawiska rozpuszczania wapiennych żył, przekonanie, że niektóre stoki i przełęcze są dostępne dla wytrwałych wspinaczy. Raport kończył się informacją, iż po tajemniczej, drugiej stronie gór rozciąga się ogromny superpłaskowyż, równie starożytny i nic zmieniony jak same góry. Leży on na wysokości 20 tysięcy stóp, i pokryty jest groteskowymi formacjami skalnymi wystającymi spod cienkiej pokrywy lodowej, kończy się zaś niskim pogórzem, ciągnącym się od głównej powierzchni płaskowyżu, do podnóża zaskakująco urwistych, najwyższych wierzchołków masywu. Wszystkie te dane są pod każdym względem prawdziwe i w zupełności usatysfakcjonowały naszych towarzyszy w obozie, naszą trwającą 16 godzin nieobecność, dłuższą niż tego wymagał lot, lądowanie, rekonesans i zebranie próbek skalnych, usprawiedliwiliśmy przedłużającym się niczym za sprawą złych mocy, niepomyślnym wiatrem oraz lądowaniem na wspomnianym, dalszym pogórzem, na szczęście opowieść nasza brzmiała zwyczajnie i na tyle prozaicznie, że nikt nie zapragnął powtórzyć naszego lotu. Gdyby mimo tego ktoś próbował to uczynić, wykorzystalbym wszelkie możliwe środki perswazji aby go powstrzymać - nie wiem co zrobiłby Danforth. Podczas naszej nieobecności Pabodie, Sherman, Ropes, McTighe i Williamson uwijali się jak frygi przy naprawie dwóch mniej uszkodzonych samolotów Lake'a, doprowadzając je, acz z pewnym trudem, do stanu używalności. Samoloty postanowiliśmy załadować następnego ranka i jak najszybciej wyruszyć z powrotem, do naszej starej bazy. Mimo okrężnej drogi był to niewątpliwie najbezpieczniejszy sposób dotarcia do cieśniny McMurdo; lot w linii prostej ponad nieznanymi obszarami martwego od wieków kontynentu, byłby wielokrotnie bardziej ryzykowny. W wyniku tragicznego zdziesiątkowania naszej wyprawy oraz zniszczenia urządzeń wiertniczych dalsza kontynuacja badań nie wchodziła w grę. nurtujące nas wątpliwości i dojmująca zgroza, o których nie wspomnieliśmy słowem, sprawiły iż pragnęliśmy tylko najszybciej jak to możliwe uciec z tego południowego świata pustki i bezbrzeżnego szaleństwa.

Jak już ogół czytelników wie, nasz powrót do zamieszkałego świata odbył się bez dalszych nieszczeń, następnego dnia wieczorem, 27 stycznia, wszystkie samoloty, po szybkim locie non-stop dotarły do naszej starej bazy. 28 w

dwóch etapach osiągnęliśmy cieśninę McMurdo. Jedyna przerwa w locie była krótka i wywołała ją awaria sterów podczas szalonej wichury, na jaką natknęliśmy się nad polem lodowym po opuszczeniu terytorium wici kiego płaskowyżu. pięć dni później "Arkham" i "Miskatonic" z całą załogą i sprzętem na pokładach pozostawiły za sobą grubiejące z dnia na dzień coraz bardziej pola lodowe i wpłynęły na morze Kossa; na zachodzie, przed nami na tle zachmurzonego, mrocznego, antarktycznego nieba widniały kontury absurdalnie niskich gór na Ziemi Wiktorii. Zawodzenie wiatru, przechodzące w przeciągły gwizd zmrażało mnie do szpiku kości. Niecałe dwa tygodnie później opuściliśmy ostatnie rubieże polarnej krainy, dziękując niebiosom, że udało nam się ująć całość z tego strasznego, przekłętą światła, gdzie życie i śmierć, czas i przestrzeń zawarty czarne, bluźniercze sojusze w nieznanym epokach, kiedy materia zaczęła wykonywać, pierwsze nieśmiałe jeszcze ruchy i pływać po nie do końca wówczas ostudzonej powierzchni planety.

Od chwili naszego powrotu, zachowując pewne wątpliwości i domysły dla siebie, z zaskakującą jednością i wzajemnym zaufaniem robimy wszystko, by zniechęcić innych do prowadzenia badań na terytorium Antarktydy. Nawet młody Danforth w nerwowym załamaniu nie zająknął się słowem przed swoimi lekarzami - jak już wspominałem faktycznie istnieje coś, o czym myśli, że tylko on to widział i nawet mnie tego nie zdradza, choć, jak się wydaje, zwierzenie takie poprawiłoby jego stan psychiczny, gdyby się na nie zdecydował.. Moglibyśmy sobie wiele wyjaśnić, a jemu przyniosłoby to ulgę, choć to wszystko zapewne było tylko złudzeniem, mglistą konsekwencją wcześniejszego szoku. W każdym razie takie odniosłem wrażenie po tych kilku rzadkich chwilach wylewności, kiedy bełkotał mi do ucha rozmaite chaotyczne zdania, zdania i słowa które wyrzucał z siebie gwałtownie i nerwowo, aż do chwili kiedy pozornie odzyskiwał nad sobą panowanie. Trudno nam będzie odwieść innych od wyprawy na wielkie, białe południe, zwłaszcza że nasze wysiłki mogą odnieść przeciwny skutek, przyciągając uwagę ciekawskich. Powinniśmy byli wiedzieć od początku, że ludzka ciekawość jest nieśmiertelna, a wyniki uzyskane i ogłoszone przez naszą wyprawę staną się dostateczną pokusą dla innych, by zapragnęli wyruszyć w tę samą, trwającą od wieków pogoń za nieznanym. Doniesienia Lake'a o tych biologicznych potwornościach wzbudziły wśród kolegów i paleontologów najwyższe zainteresowanie, jakkolwiek byliśmy na tyle przezorni, że ukryliśmy fragmenty szczątków wydobyte z grobów w których pogrzebane zostały okazy, oraz fotografie tych okazów, wykonane w chwili ich odnalezienia. Powstrzymaliśmy się także przed pokazaniem jeszcze bardziej zagadkowych, uszkodzonych kości i zielonkawych steatytów; Danforth natomiast i ja bacznie strzeżliśmy zdjęć zrobionych przez nas na superpłaskowyżu za łańcuchem górskim. Zachowaliśmy również dla siebie pewne pocięte rzeczy, które wygładziliśmy, rozprostowaliśmy i po przestudiowaniu ich ze zgrozą, zabraliśmy w kieszeniach do bazy. Obecnie jednak przygotowana jest ekspedycja Starkweatera i Moora, dysponująca aparaturą i sprzętem dużo lepszym od naszego. Jeżeli nie odwiedzimy ich od tego zamierzenia, dotrą do samego pola Antarktydy i tak długo będą wiercić i topić, aż odkryją to, o czym my już wiemy doprowadzając tym samym do końca świata. Dlatego muszę przerwać milczenie: opowiem o wszystkim, nawet o tym niewiarygodnym, przerażającym bezimiennym tworze szpa Górze Szaleństwa.

[<- Rozdział 2] [Początek] [Rozdział 4 ->]

4

Z wahaniem i bardzo niechętnie powracam pamięcią do obozu Lake'a i tego, co w rzeczywistości tam odkryliśmy - i do owego tworu za Górą Szaleństwa. Prosto i naturalnie byłoby złożyć wszystko na karb szaleństwa jakie ogarnęło część grupy Lake'a. Sama demoniczna górka wicherka wystarczyła, by w tym sercu krainy pustki i tajemnic, doprowadzić każdego do obłądzenia. Ukoronowaniem potworności był stan zwłok - zarówno ludzkich jak i psich. Wszystkie one wyglądały strasznie -rozdarte i rozszarpane w tyleż szatański co niewytłumaczalny sposób. Na ile zdołaliśmy się zorientować przyczyną śmierci było albo uduszenie, albo rozdarcie na sztuki. Prawdopodobnie kłopoty zaczęły się od psów, które wpadły w popłoch; wygląd ich prowizorycznej zagrody świadczył, że wydostały się z niej siłą. Wprawdzie, z powodu wrogiego stosunku zwierząt do tych piekielnych istot z archaiku, zagroda stała w pewnej odległości od obozu, ale ów środek ostrożności okazał się niewystarczający. Pozostawione za kruchymi, niedostatecznie wysokimi ścianami, sam na sam z potwornym huraganowym wiatrem, psy musiały wpaść w panikę, nie sposób stwierdzić czy przyczyną owego popłochu był tylko wiatr, czy jakiś przenikliwy, przybierający na sile fetor wydzielany przez te koszarne okazy, niemniej jednak, cokolwiek się tam wydarzyło było w dostatecznym stopniu odrażające i plugawe. Chyba najlepiej będzie jeśli opowiem o wszystkim otwarcie, nie siląc się na delikatność, opierając się o bezpośrednie obserwacje i jedyne nasuwające się logiczne wnioski, zarówno Daniortha jak i moje. Muszę stanowczo oświadczyć, iż zaginiony Gedney nic byt w żaden sposób odpowiedzialny za obrzydliwe, przyprawiające o mdłości okropieństwa jakie zastaliśmy w obozie. Wspomniałem już, iż ciała były w straszliwy sposób poszarpane. Teraz zaś pragnę dodać, że niektóre z nich były porozrywane i rozczłonkowane w zdumiewająco nieludzki, i dokonany z zimną krwią sposób. Dotyczyło to zarówno ludzi jak i psów. Wszystkie co bardziej zdrowe i tłuste zwłoki, zarówno stworzeń dwu- jak i czworonożnych miały wyciętą i usuniętą, niczym przez skrupulatnego rzeźnika, główną masę tkankową. Ale najpotworniejsze skojarzenia budziła rozsypana wokoło, w osobliwy sposób sól, pochodząca z rozbitych skrzyń przechowywanych w samolotach. Odkryliśmy to wszystko w jednym z prymitywnych hangarów, z którego wywleczony został aeroplan. Niestety wiatr pozacierał wszystkie ślady, które mogłyby udzielić nam jakichkolwiek wiarygodnych wyjaśnień. Mię dostarczyły leżące żądnych wskazówek strzępy odzieży zdartej brutalnie z ciał ludzkich okazów. Bezsensownym jest tu również wspomnienie, iż wydawało się nam, że w osłoniętym od wiatru kącie zniszczonego ogrodzenia dostrzeżliśmy słabe na wpół zamazane ślady na śniegu, nic należały one bo wiem do żadnej ludzkiej istoty, lecz nieodparcie kojarzyły się ze skamieniałymi odciskami, o których nieszczęsny, nieżyjący już Lake tyle nam mówił przez ostatnie kilka dni. Jak już zaznaczyłem, okazało się że bez śladu zaginęli młody Gedney i jeden z psów. Gdy dotarliśmy do tego przerażającego hangaru przegapiliśmy początkowo zwłoki dwóch mężczyzn i dwóch psów, jednak po przebadaniu potwornych grobów weszliśmy do całkiem nienaruszonego namiotu, w którym przeprowadzona była sekcja, natknęliśmy się na kolejną osobliwość. Wnętrze nie wyglądało tak jak podczas

badań prowadzonych przez Lake'a, gdyż z prowizorycznego stołu znikły przykryte szczątki pradawnego monstrum. Prawdę mówiąc już wcześniej domyślaliśmy się, że jeden ze znalezionych przez nas sześciu niedbale i obłąkańczo pogrzebanych stworów - ten, który wydawał z siebie osobliwy, drażniący nozdrza fetor - może być owym uszkodzonym okazem, który usiłował badać Lake. Ma samym siodeł laboratoryjnym i wokół niego poniewierały się inne rzeczy i niewiele czasu zajęło nam stwierdzenie, iż są to starannie, choć osobliwie i niewprawnie wypreparowane organy człowieka i psa. Aby nie ranić uczuć tych co przeżyli, zatajamy tożsamość owego nieszczęśnika. Urządzenia anatomiczne Lake'a zniknęły, lecz natknęliśmy się na ślady świadczące, że zostały pieczołowicie oczyszczone. Zniknął również piec benzynowy, a wokół natknęliśmy się na sporą ilość wypalonych zapalek. Owe ludzkie szczątki pogrzebaliśmy obok zwłok pozostałych dziewięciu mężczyzn; szczątki psa z pozostałymi trzydziestoma pięcioma psami. Co się tyczy dziwnych plam na stole laboratoryjnym i na stercie rozsypanych bezceremonialnie opodal, i potraktowanych w nader barbarzyński sposób ilustrowanych książek, byliśmy zbyt wstrząśnięci by snuć jakiegokolwiek domysły. To właśnie wzbudzało w obozowisku największą zgrozę, niemniej jednak natknęliśmy się w nim na inne, równie zdumiewające rzeczy. Zniknięcie Gedney'a, psa, ośmiu nieuszkodzonych okazów biologicznych, trzech par sań, rozmaitych instrumentów, ilustrowanych książek technicznych i naukowych, materiałów piśmiennych, latarek elektrycznych z bateriami, żywności, paliwa, pieca, zapasowych namiotów, kombinezonów futrzanych i tym podobnych, wykraczało poza granice zdrowego rozsądku. Podobnie rzecz miała się ze strzępiastymi kleksami atramentu na niektórych kawałkach papieru oraz ewidentne oznaki czyjegoś manipulowania i eksperymentowania przy samolotach i innych urządzeniach mechanicznych, zarówno w bazie jak i w miejscu gdzie prowadzono wiercenia. Mię oszczędzono również kredensu z żywnością, zniknęły różne artykuły, a blaszane puszki, otwarte w najbardziej niewiarygodny sposób i w nieprawdopodobnych miejscach, ułożono w odrażający swym komizmem stos. Kolejną, pomniejszą zagadkę stanowiła obfitość rozsypanych zapalek, wypalonych, całych i połamanych. Równie tajemniczy wydawał się fakt, iż dwie lub trzy plandeki namiotowe oraz kilkanaście futrzanych kombinezonów, jakie znaleźliśmy nieopodal, pocięto i poszarpano w nader osobliwy i oryginalny sposób, w niemożliwym do określenia celu. Wszystko to było przykładem nieokiełzanego szaleństwa. Przewidując okoliczności zbliżone do obecnych, sфотографowaliśmy szczegółowo wszystkie główne dowody obłądu jaki dotknął ludzi w obozie. Na nich właśnie pragniemy się oprzeć, uzasadniając nasz sprzeciw wobec organizowanej właśnie Ekspedycji Starkweathera i Moora. Pierwszą czynnością po odnalezieniu przez nas zwłok w hangarze było sфотографowanie ich, a następnie otwarcie ułożonych w szeregu, makabrycznych grobów zwieńczonych pięcioramiennymi, śnieżnymi kopcami. Trudno było nie dostrzec analogii tych potwornych muld zdobionych grupkami punkcików i dziwnymi, zielonkawymi steatytami, opisywanymi przez nieszczęsnego Lake'a; podobieństwo to przybrało jeszcze na sile, gdy natknęliśmy się na całą stertę tych minerałów. Należy jasno powiedzieć, iż generalnie kształt tych steatytów aż do obrzydliwości przypominał zbliżoną wyglądem do rozgwiazdy głowę owych pochodzących z archaiku istot. Jednomyślnie stwierdziliśmy, że podobieństwo to musiało mieć ogromny wpływ na przeczulone, przemęczone umysły ludzi Lake'a. Przyjęliśmy zgodnie, iż to właśnie szaleństwo - ześrodkowujące się w Gedney'u jako jedynym przypuszczalnie ocalałym - było powodem wszystkich przerażających wypadków jakie miały tu miejsce.

Nię będę jednak na tyle naiwny, by sądzić że żaden z nas nie żywił najdzikszych, najbardziej fantastycznych podejrzeń, których jednak zdrowy rozsądek nie pozwalał nam do końca sformułować.

Po południu Shennan, Pabodie i McTighe wyruszyli samolotem na zwiad, by spenetrować całe okoliczne terytorium. Bez rezultatu. Grupa patrolowa doniosła jedynie o gigantycznej barierze łańcucha górskiego, który nie tracąc ani jarda ze swej przeraźliwej wysokości, ani nie zmieniając struktury geologicznej rozciągał się, jak okiem sięgnąć w prawo i w lewo. Na niektórych jednak wierzchołkach wyraźnie można było dostrzec formacje ukształtowane na podobieństwo watorów i iglic, wzmagających tylko fantastyczne podobieństwo do malowanych przez Roericha azjatyckich wzgórz z ruinami. Rozkład tajemniczych pieczar widniejących w czarnych, zmiecionych ze śniegu skalnych ścianach wydawał się nieregularny nawet z tak dużej odległości. Pomimo całej grozy sytuacji w naszych wnętrzach pozostało dość naukowego zapału i żądzy przygód, byśmy pragnęli zbadać nieznaną krainę znajdującą się poza owymi tajemniczymi górami. Zgodnie z naszym wymijającym komunikatem, po dniu pełnym zakłopotania i dojmującej zgrozy o północy udaliśmy się na spoczynek, ale w głowach mieliśmy już gotowy plan odbycia następnego dnia jednego lub więcej lotów ponad masywem górskim. Zamierzaliśmy dokonać tego na pokładzie odciążonej maksymalnie maszyny, zaopatrzonej jedynie w kamerę lotniczą i mżądzenia geologiczne. Postanowiliśmy, że jako pierwsi polecą: Danforth i ja. W związku z tym, jako że planowaliśmy start wczesnym rankiem wstaliśmy punktualnie o 7. Jednak silny wiatr, o którym wspominaliśmy w krótkim, posłanym w eter komunikacie opóźnił start i ostatecznie wyruszyliśmy około dziewiętej. Studiując notatki sporządzone przez Pabodiego podczas jego popołudniowego lotu i sprawdzając ich treść z sekstanssem, wyliczyliśmy że najniższa i możliwa do osiągnięcia przełęcz w masywie znajduje się nieco na prawo od nas, w zasięgu wzroku od obozu sięgając wysokości 24 tysięcy stóp nad poziomem morza. Tam zatem skierowaliśmy najpierw nasz, odciążony specjalnie na ten rekonesansowy lot, aeroplan. Sam obóz, na spływającym z wysokiego, kontynentalnego płaskowyżu pogórz leżał na wysokości około 12 tysięcy stóp; różnica wysokości jaką mieliśmy do pokonania nie była znów taka wielka, jak się to mogło wydawać. Jednak, wnosząc się odczuwaliśmy skutki rozrzedzonego powietrza i dotkliwe zimno, gdyż dla polepszenia warunków widoczności zostawiliśmy otwarte okienka kabiny, naturalnie mieliśmy na sobie najgrubsze i najcieplejsze futra. Kiedy zbliżyliśmy się do zakazanych szczytów mrocznych i złowróżbnych gór, nad linią wyciętego szczelinami śniegu i lodowca, ujrzeliśmy jeszcze więcej zadziwiająco regularnych formacji przylegających do stoków i raz jeszcze powróciłem myślami do osobliwych azjatyckich malowideł Nicholasa Koericha. Starożytne i zwierzęte warstwy skalne zgadzały się w pełni z doniesieniami Lake'a, potwierdzając fakt, że szczyty te piętrzą się tu w niezmienionej formie od wczesnych czasów ziemskiej historii, zapewne zaś od ponad 50 milionów lat. Jak dużo wyższe były kiedyś, daremnie by zgadywać, ale wszystko wskazywało, iż w tym dziwnym regionie istnieją niezrozumiałe wpływy atmosferyczne, nie sprzyjające zmianom i spowalniające typowe procesy klimatycznego niszczenia skał. Najbardziej jednak fascynowała nas chaotyczna mozaika owych regularnych sześcianów, wałów i jaskiń. Kiedy Danforth siedział za

sterami lustrowałem je przy pomocy lornetki, wykonując jednocześnie zdjęcia lotnicze. Aby umożliwić i jemu obserwację zajmowałem od czasu do czasu miejsce w fotelu pilota, jakkolwiek moja znajomość awiacji jest czysto amatorska. Dostrzeżliśmy bez trudu, że większość owych tworów uformowana była z archaicznych kwarcytów o innej barwie, odmiennej niż materiał z którego zbudowane były pozostałe formacje na całej rozległej przestrzeni. Okazało się również, że ich regularność była jeszcze bardziej niesamowita i niewiarygodna niż wspominał nieszczesny Lakę. Tak jak mówił, ich krawędzie były pokruszone i zaokrąglone w wyniku trwającego przez niezliczone stulecia procesu wietrzenia. Tylko ich nadprzyrodzona twardość uchroniła je od całkowitego zniszczenia. Wiele z nich, zwłaszcza tych najbliższych stoków górskich sprawiało wrażenie, że wykonane są z tego samego budulca co otaczające je skały. Całość wyglądała jak ruiny Macchu Picchu w Andach lub ściany pierwotnych fundamentów w Kish, które odkopała w 1929 roku Ekspedycja Muzeum Ziemi z Oxfordu; zarówno Danforth jak i ja podzielaliśmy wrażenie, iż są to głazy Gigantów, jak ochrzcił je Lakę w rozmowie ze swoim towarzyszem lotu, Carrollem. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem jak wytłumaczyć istnienie podobnych rzeczy w takim miejscu i jako geolog czułem się całkowicie bezradny, formacje wulkaniczne często są zadziwiająco regularne -jak np. słynna Granfs Causeway w Irlandii - ale ów szokujący masyw, wbrew pierwotnym doniesieniom Lake'a, że dostrzeżę dymiące stożki wulkanów, nosił wszelkie cechy struktury niewulkanicznej. Intrygujące, niezwykle regularne otwory wejściowe do jaskiń, w pobliżu których występowały osobliwe formacje stanowiły kolejną, choć już nie tak tajemniczą zagadkę. Były one, jak wspominał w swoich doniesieniach Lakę prawie kwadratowe lub półkolisty, zupełnie jakby ich naturalne otwory, dla większej symetrii, ukształtowała jakaś czarodziejska ręka. Ich liczba i rozstawienie były niewiarygodne, nieomal zdumiewające, sugerując iż cały ten obszar był niczym wielki plaster miodu, podziurawiony tunelami wydrążonymi w warstwach wapienia. Nie mogliśmy zajrzeć głębiej do ich wnętrza, ale na pierwszy rzut oka groty sprawiały wrażenie, iż nie było w nich stalaktytów ani stalagmitów.

Na zewnątrz stoki górskie, w których znajdowały się owe szczeliny wydawały się niewiarygodnie gładkie i regularne; Danforth napisał nawet, że drobne szczeliny i szczyby powstałe wskutek procesów wietrzenia układają się w niezwykle wzory. Przepętniony grozą i uczuciem niesamowitości, po tym co ujrzał w obozie wyznał, że zwietrzeliny w jakiś niewyraźny sposób przypominają mu owe zaskakujące grupy punkcików, którymi upstrzone były prastare, zielonkawe steatyty i które w tak odrażający, plugawy sposób powtórzone zostały na śnieżnych kopcach znaczących miejsce pochówku sześciu upiornych monstrów z przeszłości.

Wznosiliśmy się stopniowo nad coraz wyższe partie pogórza, a następnie wzdłuż niego, ku wybranej przez nas przełęczy. Od czasu do czasu spoglądaliśmy na pokryty śniegiem i lodem łąd, zastanawiając się czy mielibyśmy szansę dotrzeć tu dawniej, mając do dyspozycji dużo prostszy sprzęt. Ku naszemu zdumieniu spostrzeżliśmy, że teren nie był zbyt trudny i pomimo szczelin lodowych oraz innych czyhających niebezpieczeństw możliwy do pokonania przez sanie Scotta, Shackletona czy Amundsena. niektóre lodowce wiodły bezpośrednio na nagie, omiatane wiatrami przełęcze, a gdy dotarliśmy już nad tę, którą wybraliśmy z Danforthem, stwierdziliśmy że i ona nie stanowi wyjątku od reguły. Trudno opisać uczucia jakie przepełniały nas, gdy szykowaliśmy się do okrążenia masywu i zerknięcia na nietkniętą ludzką stopą świąt; nawet jeśli nie mieliśmy powodu przypuszczać, że terytorium po drugiej stronie łańcucha gór może różnić się zasadniczo od tych, w których już byliśmy i które znamy. Tchnienie złowrogiej tajemnicy tkwiącej w tych granicznych górach i w przyzywającej otchłani opalizującego morza niebios rozpościerającego się migotliwie pomiędzy ich spiczastymi wierzchołkami było sprawą niezwykle subtelną, których nie sposób oddać zwykłymi, pisanyymi słowami. Była to raczej kwestia mglistej psychologicznej symboliki i skojarzeń natury estetycznej - mieszanina egzotycznego malarstwa, poezji i mitów kryjących się w zakazanych i powszechnie unikanych księgach. Nawet wiatr zdawał się być przesycony świadomym, okrutnym i bezlitosnym złem; słysząc to było w poszumie wichru, bo gdy jego poddmuchy wpadały i wypadały z wszechobecnych, rezonujących otworów jaskiń można było - przez sekundę lub dwie - wychwycić nader osobliwy, melodyjny świergot czy gwizd. Pobrzmiwała w nim mętna nuta kojarząca się z odrazą i wstrętem, tak złożone i trudne do określenia jak żadne inne z naszych mrocznych doznań.

Po mozolnym wznoszeniu się byliśmy już, wedle wskazań sekstansu, na wysokości 25.570 stóp. Dokładnie przed nami majaczyła przełęcz - była gładka i omieciana do czysta przez bezlitosny wiatr, rozciągnięta między dwoma mrocznymi strzępiastymi, złowrogimi cieniami górskich szczytów. Za nią było niebo wypełnione wirującymi oparami i rozjaśnione blaskiem nisko zawieszzonego, polarnego słońca - niebo owej odległej, tajemniczej krainy, której, jak sądziliśmy, nigdy dotąd nie oglądało ludzkie oko. Jeszcze parę stóp w górę i nareszcie ją zobaczymy. Pośród odgłosów zawodzącego, świszczącego wiatru, którego poddmuchy przetaczały się ponad przełęczą, i mieszającym się z nimi wyciem silników naszych maszyn trudno było mi zamienić z Danforthem choćby słowo; krzyczeliśmy więc do siebie, wymieniając przy tym znaczące spojrzenia. Aż wreszcie, uzyskawszy właściwy pułap pokonałszy granicę Gór Szaleństwa i znaleźliśmy się oko w oko z niezgłębionymi tajemnicami starej i całkowicie obcej ziemi.

[<- **Rozdział 3**] [**Początek**] [**Rozdział 5** ->]

Wydaje mi się, że kiedy ostatecznie wzniesiliśmy się ponad przełęcz i ujrzeli co poza nią leży, obaj wydaliśmy głośny krzyk, w którym mieszały się pospołu groza, zdumienie, przestach i niewiara we własne zmysły. Rzecz jasna, obaj musieliśmy dysponować jakimś naturalnym, skrytym głęboko w naszych umysłach wytłumaczeniem, aby się na nim oprzeć i nie utracić zmysłów. Myśleliśmy wówczas zapewne o takich rzeczach jak groteskowe zwietrzeliny skalne w Ogrodzie Bogów w Colorado, czy wyrzeźbione przez wiatr głazy na pustyni w Arizonie. Być może w pierwszej chwili sądziliśmy nawet, że to tylko miraż, taki jak ten którego byliśmy świadkami poprzedniego ranka, kiedy po raz pierwszy zbliżaliśmy się do Gór Szaleństwa. Z całą pewnością tak to sobie tłumaczyliśmy,

omiatając wzrokiem bezkresny, naznaczony przez gwałtowne nawałnice płaskowyż, i zdawało by się nie mający końca labirynt olbrzymich, regularnych kamiennych mas o geometrycznych wzorach, które wznosiły swe splekane, naznaczone otworami grot grzebienie, ponad płaszcz lodowca, nie grubszy w swych najgłębszych miejscach niż 40 czy 50 stóp, a miejscami jeszcze cieńszy. Efekt tego potwornego widoku był wręcz nie do opisania; początkowo wydawało się, że w tym miejscu nastąpiło jakieś diaboliczne pogwałcenie wszelkich znanych praw natury. Ma tym piekielnie starym płaskowyżu, wznoszącym się 20 tysięcy stóp ponad poziomem morza, gdzie klimat od czasów praludzkich, czyli od dobrych 500 tysięcy lat, jest zabójczy dla wszystkich form życia, jak okiem sięgnąć, rozciągał się labirynt głazów ułożonych w takim porządku, że tylko desperacki odruch ludzkiego zdrowego rozsądku mógł przypisać ich powstanie ślepym i naturalnym siłom. Początkowo, jak dyktował nam rozum, odrzuciliśmy ewentualność, że sześciany i wały obronne usytuowane na górskich zboczach mogą być innego niż naturalne pochodzenia. Jakże zresztą mogłoby być inaczej skoro w czasach, kiedy ów rejon zamierał poddając się z wolna panującej tu dziś niepodzielnie lodowej śmierci, człowieka z trudem można było odróżnić od olbrzymieli małą? W obecnej chwili jednak ów zdrowy rozsądek uległ poważnemu zachwianiu, bowiem cały ten labirynt Gigantów, gdzie roilo się wręcz od równobocznych, zaokrąglonych lub kanciastych bloków skalnych zaprzeczał wszelkim wytlumaczeniem podsuwanym przez nasz zdrowy rozsądek. A więc jednak tamta piekielna lata morgana miała naturalne wytłumaczenie, najwyraźniej w wyższych partiach atmosfery istniała jakaś pozioma warstwa lodowego pyłu, za pośrednictwem której ów szokujący kamienny wytwór przesyłał swój obraz poprzez góry. zgodnie z prawem odbicia światła, naturalnie fantom był zdeformowany, wykoślawiony i wyolbrzymiony - miał elementy których nie posiadało jego rzeczywiste źródło; teraz jednak, gdy ujrzeliśmy pierwowzór mira żu przekonaaliśmy się, że jest on jeszcze bardziej odraża jacy i złowieszczy niż jego odległe wyobrażenie. Jedynie niewiarygodna, nieludzka masywność tych rozległych kamiennych wież i wałów uchroniła ów przerażający twór od kompletnej zagłady w przeciągu setek tysięcy, a mo że i milionów lat, jakie minęły od chwili ich pojawienia się na tej pępnej, niegościnniej wyżynie. Corona Mundi - Dach Świata... kiedy spoglądaliśmy z zawrotnej wysokości na to niewiarygodne zjawisko, czyniły się nam na usta wszelkie fantastyczne określenia. Znowu przyszył mi na myśl niesamowite, pradawne mity, które kołatały mi się po głowie od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzalem wymarły, antarktyczny świat... legendy o demonicznym płaskowyżu Leng, o Mi-Go, albo odrażających Ludziach Śniegu z Himalajów, o Manuskryptach Pnakotyckich z ich praludzkimi implikacjami, o kulcie Cthulhu, "Necronomiconie" i hyperborejskich opowieściach o bezkształtnym Tsathoggua, i jeszcze gorszych istotach towarzyszących tej przybyłej z gwiazd półistocie. Ów twór rozciągał się na wszystkie strony na długości wielu mil - i tylko czasami tu i ówdzie widać było nieznaczne zmniejszenie się skalnej formacji. Wodząc wzrokiem na prawo i lewo wzdłuż podstawy niskiego, choć stopniowo wznoszącego się pogórza, odgradzającego twór od głównego łańcucha gór, ustaliliśmy bezspornie, że rozciąga się ono nieprzerwanie, za wyjątkiem jednego tylko miejsca, po lewej stronie przełęczy, przez którą się tu dostaliśmy. Trafiliśmy całkiem zresztą przypadkiem w lukę w masywie czegoś, co zdawało się być niewiarygodnie złożonym tworem sięgającym nie wiadomo jak daleko. Pogórze było rzadziej usiane groteskowymi, kamiennymi budowlami i łączyło upiorne miasto ze znanymi nam już sześcianami i wałami obronnymi, pełniącymi najwyraźniej funkcję górskich stanic. Tych ostatnich, podobnie jak osobliwych, mrocznych wejść do jaskiń było tyle samo na zewnętrznych, co na wewnętrznych skalnych stokach, niewyobrażalny, niemożliwy do opisanego słowami koszmarny labirynt składał się w przeważającej części z nagich ścian, mierzących od 10 do 150 stóp wysokości; ich grubość zaś wahała się od 5 do 10 stóp. Tworzyły je ogromne bloki czarnego pierwotnego łupku i piaskowca, przeważnie o wymiarach 4 na 6 na 8 stóp; w kilku miejscach wydawały się być one wycięte bezpośrednio w litej, szorstkiej skale prekambryjskiej płyty. Budowle miały rozmaite rozmiary, natknęliśmy się tam zarówno na olbrzymią ilość ukształtowanych niczym plaster miodu, ogromnych struktur, jak i na mniejsze, oddzielne budynki. Generalnie twory te miały kształt stożkowy, piramidalny lub tera-sowy, niemniej jednak widzieliśmy tu również wiele figur w kształcie walców, sześcianów, wielościanów i innych osobiwie usytuowanych kanciastych budowli, których pięcioramienny układ kojarzyć się mógł z nowoczesnymi fortyfikacjami. Ich budowniczości musieli być prawdziwymi ekspertami w dziedzinie stosowania formacji łukowych, których ogromna liczba, podobnie jak kopuł, istniała tu zapewne w czasach rozkwitu miasta. Cały ten labirynt był niewiarygodnie zwietrzały. Powierzchnię lodowca, z którego wystrzeliwały wieże zaścilały zwałone bloki i zalegające tu od niepamiętnych czasów odłamki skalne. W miejscach gdzie pokrywa lodowa była przezroczysta, mogliśmy dostrzec niższe partie gigantycznych tworów i zachowane w lodzie, rozpięte na różnych wysokościach kamienne mosty łączące poszczególne wieże. Ma nagich ścianach zauważyliśmy wyraźne ślady po takich samych, widniejących tu niegdyś, jeszcze wyższych mostach. Bliższe oględziny ukazały niezliczoną ilość okien. W niektórych tkwiły jeszcze okiennice ze skamieniałego drewna, większość tych otworów była jednak pusta, a ich wygląd sprawiał doprawdy nader ponure i złowrogie wrażenie. Rzecz jasna większość ruin nie miała dachów, a ich górne krawędzie były nierówne i zaokrąglone przez wiatr; podczas gdy inne, stożkowe i piramidalne, osłonięte przez stojące przy nich wyższe budowle zdołały zachować swój pierwotny kształt i, jeśli nic liczyć drobnych wykruszeń czy wgłębień na ich powierzchni, były praktycznie nie tknięte. Przy pomocy samej tylko lornetki z trudem zdołaliśmy dostrzec coś, co wyglądało jak całe rzędy rzeźb dekoracyjnych, tu również natrafiliśmy na osobiwie grupy punkcików, a ich obecność na pradawnych budowlach w obecnej sytuacji nabrała dużo większego znaczenia. W wielu miejscach budynki były kompletnie zniszczone, a pokrywa lodowa, wskutek różnych procesów geologicznych poszyta głębokimi szczelinami. W innych z kolei, wytwory sztuki kamieniarskiej zostały starte aż do poziomu pokrywy lodowej. Jeden rozległy pas ciągnący się od wnętrza płaskowyżu aż do rozpadliny u stóp pogórza, około mili na lewo od przełęczy przez którą się tu dostaliśmy, nie był w ogóle zabudowany. Jak przypuszczaliśmy było to koryto wielkiej rzeki, która przed milionami lat, przepływała przez miasto, wpadając w jakąś fantastyczną podziemną otchłań, wewnątrz bariery górskiego łańcucha. Bez wątpienia była to kraina jaskiń, przepaści i podziemnych tajemnic wykraczających poza ludzką zdolność pojmowania.

Wracając do towarzyszących nam odczuć i wspominając nasze oszołomienie, mogę się jedynie dziwić, iż udało się nam zachować przynajmniej pozory trzeźwości i równowagi umysłowej. Naturalnie zdawaliśmy sobie sprawę, że coś - chronologia, teoria naukowa czy wreszcie nasza własna świadomość - było tu w fatalny sposób wypaczone, zachowaliśmy jednak równowagę w stopniu wystarczającym by pilotować samolot, przeprowadzić dość

szczegółowe obserwacje i wykonać szereg doskonałych zdjęć, które być może przysłużą się jeszcze zarówno nam jak i całemu światu. W moim przypadku, zbawienne okazały się zakorzenione głęboko nawyki naukowca - oszołomienie i uczucie czyhającego na nas zagrożenia zdominowane zostały przez ciekawość i żądę zgłębienia owych pradawnych tajemnic; pragnienie dowiedzenia się jakie istoty zbudowały i zamieszkiwały w tym nieprawdopodobnym, gigantycznym kamiennym labiryncie oraz ustalenia związku między tym unikalnym siedliskiem życia a resztą świata w tamtym czasie, czy ogólnie rzecz biorąc w innych czasach. Miejsce to nie mogło być bowiem zwykłym miastem. Musiało stanowić początek i środek jakiegoś archaicznego, niewiarygodnego rozdziału ziemskiej historii, który zatracił się całkowicie w chaosie miotanej potężnymi konwulsjami ziemi, na długo przed tym jak rasa ludzka wydzwignęła się ze stadium małpy, a którego echa pobrzmiwają jeszcze w najbardziej mrocznych, zakazanych i wypaczonych mitach. Mieliśmy przed sobą przedwieczne megalopolis, w porównaniu z którym legendarna Atlantyda, Lemuria, Commoriom, Uzuldaroum i Olathoe w krainie Lomar są tworamami dnia, nawet nie wczorajszego a dzisiejszego; megalopolis należące do tak praludzkich, bluźnierczych miejsc, o których nie można mówić inaczej niż szeptem, jak Walusja, R'lyeh, Ib w krainie Mnar i Bezimienne Miasto w Pustyni Arabskiej. Kiedy przelatywaliśmy nad labiryntem potężnych, tytanicznych wież, popuszczaliśmy wodzy fantazji bląkając się bez celu w krainie fantastycznych skojarzeń, a nawet wręcz szukając związku pomiędzy tym zaginionym światem a mymi najdzikszyimi snami, zrodzonymi z obłądnej, niewysłowionej grozy koszmaru w obozie. Aby jak najbardziej odciążyć samolot bak z paliwem był napełniony tylko częściowo; toteż musieliśmy znacznie ograniczyć nasz zakres badań. Lo mimo to, już po zejściu na pułap, gdzie praktycznie nie było wiatru, przebyliśmy jeszcze olbrzymi szmat drogi, lub raczej powinienem powiedzieć - powietrza. Koryto rzeki znaczyło się szeroką, wklęsłą linią, a sam płaskowyż stał się dzikszymi i jakby nieznacznie wznosił się ku górze, nikiąc w spowijającej zachód mgłę. Jak dotąd wszelkie obserwacje czyniliśmy z powietrza, ale opuszczenie płaskowyżu bez podjęcia próby wejścia do którejś z monstrualnych budowli było dla nas nie do przyjęcia. Dlatego też postanowiliśmy wyszukać jakieś płaskie miejsce na pogórzach w pobliżu przełęczy, która stanowiłaby dla nas punktu orientacyjny - tam wylądować i przygotować się do pieszego rekonesansu. Jakkolwiek łagodnie opadające stoki były częściowo pokryte ruinami, to lecąc na niewielkiej wysokości wypatrywaliśmy sporą liczbę miejsc nadających się do lądowania. Ponieważ w drodze powrotnej musieliśmy ponownie przeciąć ogromny masyw górski, szukaliśmy miejsca położonego najbliżej przełęczy. Koniec końców o 12:50 wylądowaliśmy na gładkim, twardym polu śnieżnym pozbawionym jakichkolwiek przeszkód i nadającym się doskonale do późniejszego, łatwego i szybkiego startu. Małak krótki okres czasu i przy kompletnym braku wiatru nie zachodziła konieczność zabezpieczenia maszyny murem ze śniegu. W tej sytuacji upewniliśmy się tylko, że płoży samolotu były należycie ustawione, a wszystkie ważniejsze części maszyny zabezpieczone przed zimnem. Ponieważ czekała nas piesza wędrówka, zdjęliśmy z siebie najgrubsze futra, które nałożyliśmy na czas lotu. Zabraliśmy ze sobą lekki ekwipunek, na który składał się kieszonkowy kompas, ręczna kamera, żelazna racja żywnościowa, gruby notatnik i papier, dłuto oraz młotek geologiczny, worek na okazy, zwój liny alpinistycznej oraz potężne latarki elektryczne z zapasem baterii; cały sprzęt mieliśmy w samolocie, przewidując możliwość lądowania w celu wykonania zdjęć, rysunków i szkiców topograficznych, oraz zebrania okazów skał z pozbawionych śniegu stoków, odkrywek czy górskich jaskiń. Byliśmy również zaopatrzeni w spory zapas papieru, który planowaliśmy podrzeć na kawałki, włożyć do worka na okazy i używać w miarę potrzeby, znacząc nimi przebytą drogę we wnętrzu jakiegoś labiryntu, gdyby przyszło nam takowy spenetrować. Papier ten obecnie zabraliśmy ze sobą na wypadek, gdybyśmy natrafili na system jaskiń, gdzie brak przeciągów ułatwiłby nam stosowanie tej szybkiej i prostej metody zamiast tradycyjnego wykuvania śladów w skalnej ścianie. Schodząc ostrożnie w dół po zlodowaciałym śniegu w kierunku zdumiewającego, kamiennego labiryntu majaczącego na tle opalizującego, zachodniego nieba, przeczuliśmy czekające nas osobliwości, podobnie jak to miało miejsce przed czterema godzinami, gdy zbliżaliśmy się do niezbadanej, górskiej przełęczy. To fakt, oswoił się już z widokiem tej niewiarygodnej tajemnicy kryjącej się za barierą górskiego masywu, obecnie jednak perspektywa dotarcia do pradawnych murów, wzniesionych przez rozumne istoty, zapewne przed milionami lat, kiedy nie istniała jeszcze żadna ze znanych ras ludzkich, wydawała się wręcz przerażająca a upiorne implikacje kosmicznej anomalii nieomal mroziły nam krew w żyłach. Choć na tej wysokości rozrzedzone powietrze powodowało, iż każdy wysiłek był dużo większy niż normalnie, zarówno Danforth jak i ja radziliśmy sobie nad wyraz dobrze, czując że jesteśmy w stanie pokonać każdą przeszkodę, jaka stanęłaby nam na drodze. Gdy wreszcie mogliśmy dotknąć zwietrzałych, gigantycznych bloków, poczuliśmy że nawiązaliśmy pierwszą, niezwykłą i nieomal bluźnierczą więź łączącą nas z zapomnianymi wiekami, niedostępnymi dla reszty naszego gatunku. Wal o kształcie gwiazdy mierzył około 500 stóp rozpiętości i zbudowany był z bloków jurajskiego piaskowca o niejednorodnych wymiarach, przeważnie jednak 6 na 8 stóp. na wysokości jakichś 4 stóp nad poziomem lodowca znajdował się rząd łukowato sklepionych otworów strzelniczych, lub może okien o szerokości 4 stóp i wysokości 5 stóp każde, umieszczonych symetrycznie wzdłuż ramion gwiazdy i w jej kątach wewnętrznych. Zagląając przez nie do środka mogliśmy stwierdzić, że kamienne mury mierzą dobrych 5 stóp grubości, ale wewnątrz nie zachowały się żadne ściany działowe. Mał ścianach od środka dostrzec można było rzędy płaskorzeźb lub rzeźb, co zaobserwowaliśmy już wcześniej przelatując zarówno nad tą jak i nad innymi podobnymi formacjami. Choć niegdyś musiały istnieć niższe kondygnacje obecnie były one pokryte grubą warstwą śniegu i lodu. Wpełzliśmy przez jedno z okien i na próżno staraliśmy się odszyfrować prawie kompletnie zatarte wizerunki na murach. Skutą lodem podłogą w ogóle nie zaprzęaliśmy sobie głowy. Loty rozpoznawcze wykazały, że wiele budynków w głównym mieście było mniej oblodzonych i prawdopodobnie jeśli tylko dotrzemy do budowli w której zachował się dach, uda się nam znaleźć. nie zablokowane zmarzliną korytarze i przejścia wiodące do rzeczywistego poziomu gruntu. Zanim opuściliśmy naszą budowlę skrętnie ją obfotografowaliśmy i z osłupieniem obejrzeliliśmy gigantyczne bloki skalne, ułożone bez odrobiny zaprawy murarskiej. W tym momencie bardzo przydałby się nam Pabodie ze swoją znajomością inżynierii, rozwiązałaby zapewne zagadkę w jaki sposób w tak nieprawdopodobnie odległych czasach, gdy wznoszone było owo miasto, jęgo budowniczo wie transportowali na to odludzie gigantyczne bryły budulca.

Nigdy nie zapomnę naszego półmilionowego marszu w dół wzgórze, ku właściwemu miastu, gdy wysoko nad naszymi głowami pośród sięgających ku niebu wierzchołków górskiego masywu rozlegało się próżne i wściekle zawrozdzenie

wiatru. Pamiętam to w najdrobniejszych szczegółach. Coś takiego, za wyjątkiem Danfortha i mnie, mogło przydarzyć się człowiekowi tylko w jakimś fantastycznym sennym majaku. Efekty wizualne były niewiarygodne. Pomiedzy nami a rozszalałymi oparami na zachodzie rozciągał się ogromny labirynt mrocznych, kamiennych wież, których niesamowite i dziwaczne kształty oglądane - w miarę jak się zbliżaliśmy pod różnymi kątami - wywierały na nas coraz to nowe wrażenie. Był to miraż zaklęty w litej skale i gdyby nie zdjęcia nadal wątpiłbym czy coś takiego może w ogóle istnieć. Budową przypominały kamienny wał, który niedawno oglądaliśmy, jednak obłądnych kształtów wież w samym mieście po prostu nie sposób opisać. Nawet nasze fotografie ilustrują wyłącznie jedną czy dwie formy ich nieskończonej różnorodności, nadnaturalnej wręcz wielkości i kompletnie obcej egzotyki. Znajdowały się tam formy geometryczne dla których nie znalazłby nazwy nawet sam Euklides - stożki normalne i ścięte, regularne i nieregularne, terasy o wyzywających wręcz dysproporcjach, słupy o bulwiastych rozszerzeniach, osobliwe rzędy złamanych kolumn, pięcioramienne lub pięciokrawędziowe formacje uderzające szaleńczą wręcz groteskowością. Kiedy podeszliśmy bliżej, zdołaliśmy dostrzec tu i tam rysujące się pod przezroczystą warstwą lodu rurowe, kamienne mosty łączące na różnych wysokościach porzucane w szaleńczy sposób budowle. Nie było tam zwykłych ulic - w naszym tego słowa znaczeniu - jedynie szeroki pusty pas, znajdujący się po lewej stronie, w odległości mili, od miejsca, gdzie pradawna rzeka przepływała przez miasto, w stronę gór. Przy pomocy lornetek dostrzegliśmy zewnętrzne, poziome wstęgi całkiem prawie zatartych płaskorzeźb oraz występujące tu bardzo często grupy punkcików. Dzięki tej rozległej panoramie mogliśmy sobie w pewnym stopniu wyobrazić jak to miasto wyglądało kiedyś, nawet jeśli w obecnej chwili większość dachów i szczytów uległo zniszczeniu. W całości jawiło się jako labirynt krętych zaułków i uliczek, z których wszystkie bez wyjątku były głębokimi wąwozami, a niektóre z powodu zwieszających się nad nimi budowli lub przerzuconych łuków mostów przypominały bardziej tunele. Teraz, rozpościerając się poniżej nas majaczyło niczym wytwór z fantastycznego snu, skąpany w mlecznych oparach zachodnich mgieł, przez których północny kraniec próbowało przedrzeć się swym blaskiem wiszące nisko, czerwone, wczesnopołudniowe słońce; kiedy zaś skryło się na chwilę za którąś z masywniejszych budowli i całą okolicę spowiły mroczne cienie, efekt był tak niewiarygodnie zatrważający, że mam nadzieję iż nigdy nie będę musiał próbować tego opisać. W takich chwilach nawet ciche zawodzenie i melodyjne granic niewyczuwalnego tu, a hulającego na przełęczach potężnego górskiego masywu wichru niosły w sobie wyraźną dzikszą nutę umyślniej złośliwości.

Ostatni odcinek drogi był niezwykle ostry i stromy; na krawędzi, gdzie zmieniało się nachylenie stoku, spod lodu wystawała strzępiasta skata i pomyśleliśmy, że musiała tu kiedyś istnieć sztuczna trasa, zaś pod lodowcem ciągnie się kondygnacja schodów, lub czegoś w tym rodzaju. Kiedy, przestępując fragmenty zwałonych skał i starając się w miarę możliwości omijać z daleka gigantyczne, pokruszone, naszpikowane otworami ściany, dotarliśmy w końcu do miasta, zaczęły targać nami takie odczucia, że do dziś jeszcze zadziwia mnie samokontrola jaką udało się nam sobie narzucić. Danforth, z natury porywczy zaczął snuć jakieś obłądne domysły na temat kosmaru jaki wydarzył się w obozie, nie podjąłem jednak tego tematu będąc przez cały czas pod wrażeniem górujących nad nami kształtów upiornych, obłądnych budowli pochodzących z tak koszarnej przeszłości. Ich widok budził w moich myślach dziwne skojarzenia, których nie chciałem rozwijać. Spekulacje Danfortha wywarły również silny wpływ na jego wyobraźnię, upierał się bowiem, że na jednym z placów, gdzie zaślana rumowiskiem alejka zakręcała pod ostrym kątem, dostrzeżę na ziemi niktłe ślady, które bynajmniej mu się nie podobają; w innym znów miejscu przystanął by posłuchać subtelnego wymaginowanego dźwięku, dochodzącego z jakiegoś nieokreślonego miejsca: ów stłumiony, melodyjny ton - jak stwierdził mój towarzysz - na pozór nie różnił się od szumu wiatru w górskich jaskiniach, a jednak w niepokojący sposób wydawał się odmienny. Powtarzające się nieustannie formy pięciokąta w otaczającej nas architekturze oraz kilka ściennych arabesków, które zdołaliśmy rozszyfrować niosły w sobie mgliste, złowieszcze skojarzenia, z których nie potrafiliśmy się otrząsnąć, a które napawały nas przeraźliwą, choć jedynie podświadomą pewnością dotyczącą pierwotnych istot, które zbudowały i zamieszkiwały to plugawe, bezbożne miasto. Niemniej jednak, przepełniający dotąd nasze dusze naukowy i awanturniczy zapał nie wygasł i mechanicznie wypełniliśmy nasze zadanie, pobierając próbki różnego typu skał występujących w tych kamiennych tworach. Pragnęliśmy zgromadzić ich możliwie najwięcej, i później na ich podstawie wysnuć jak najdalej idące wnioski co do wieku tego miejsca. W ogromnych, zewnętrznych ścianach nie spotkaliśmy żadnej skały młodszej niż jurajska czy komanczańska, i żaden z kamieni w mieście nie pochodził z okresu późniejszego niż pliocen. Błądziliśmy uporczywie po tym królestwie śmierci, panującej tu od co najmniej 500 tysięcy lat, a prawdopodobnie nawet dłużej. Brnąc dalej w głąb labiryntu, w mrocznym cieniu rzucanym przez piętrzące się góry, przystawaliśmy przy każdej napotkanej szczelinie szukać możliwości dostania się do środka. Niektóre znajdowały się poza naszym zasięgiem, inne z kolei wiodły do zablokowanych lodem ruin równie spustoszonych i pozbawionych dachu, jak ów wał obronny na wzgórzu. Jeden z otworów choć obszerny i kuszący prowadził ku z pozoru bezdennej otchłani i nie oferował żadnej możliwości zejścia w jej czeluść. Tu i ówdzie mieliśmy okazję przyjrzeć się bliżej skamieniałemu drewnu okiennic. Wielkie wrażenie wywierał na nas niewiarygodny wiek te go drewna, dający się wywnioskować z wciąż jeszcze widocznych słojów. Pochodziło ono z mezozoicznych roślin nagozależkowych i drzew iglastych, głównie kresowych sagowców, oraz z palm wachlarzowych i wczesnych roślin okrytozależkowych, pochodzących zapewne z trzeciorzędu. Nie stwierdziliśmy niczego, co byłoby młodsze niż pliocen. Okienne te, których krawędzie nosiły ślady zniszczonych, dawno już nie istniejących zawiasów, posiadały różnorodne zestawienie. Jedne z nich znajdowały się po zewnętrznej, inne po wewnętrznej stronie framug. Były umieszczone na stałe, dzięki czemu przetrwały, mimo iż tkwiące w nich elementy metalowe i zamocowania już dawno temu przeżarte zostały przez rdzę. Po pewnym czasie natknęliśmy się na rząd okien, w wybrzuszeniach gigantycznego pięciokrawędziowego stożka o nieuszkodzonym wierzchołku, prowadzących do rozległej, doskonale zachowanej sali o kamiennym podłodze; znajdowały się one jednak zbyt wysoko, by można było przedostać się przez nie do środka bez użycia liny. Mieliśmy ze sobą linę, ale nie paliło się nam zjeżdżać całe 20 stóp w dół - zwłaszcza tu, na płaskowyżu, gdzie rozrzedzone powietrze stawiało sercu olbrzymie wymagania. Ogromne pomieszczenie było zapewne korytarzem lub dziedzińcem, a światło naszych elektrycznych latarek wydobywało z ciemności śmiałe, wyraźne i zaskakujące płaskorzeźby rozmieszczone wzdłuż ścian na szerokich, poziomych wstęgach oddzielonych, przez takiej samej szerokości pasma klasycznych

arabesek. Zrobiliśmy dokładne notatki dotyczące tego miejsca, planując tu wrócić, jeśli tylko nie napotkamy innej, ciekawszej budowli oferującej dużo dogodniejszy dostęp. Koniec końców natrafiliśmy na otwór jakiego szukaliśmy; sklepione wejście o szerokości 6 i wysokości 10 stóp, noszące ślad kończącego się tam niegdyś powietrznego mostu rozpiętego nad alejką mniej więcej 5 stóp nad obecnym poziomem lodowca. Takie przejścia stanowiły rzecz jasna połączenia z górnymi piętrami, a w obecnym przypadku jedno z takich pięter jeszcze istniało. Ów dostępny dla nas budynek składał się z kilkunastu prostokątnych tarasów, i stał po naszej lewej stronie, skierowany ku zachodowi. Po drugiej stronie alei, gdzie ziało kolejne łukowe przejście, znajdował się zniszczony walec bez okien z osobiwym wybrzuszeniem, jakieś 10 stóp nad otworem. W środku panowały egipskie ciemności i sklepione przejście zdawało się prowadzić w otchłań bezdennej pustki. Nagromadzony gaz czynił wejście do budynku po lewej stronie dwakroć łatwiejszym, ale przez dłuższą chwilę wahaliśmy się czy skorzystać z tej nadarzającej się, z dawna wyczekiwanej okazji. Jakkolwiek od jakiegoś już czasu penetrowaliśmy owo skupisko archaicznych tajemnic, to w obecnej chwili musieliśmy podjąć kolejną decyzję, czy wejść do wnętrza kompletnie zachowanej budowli, która przetrwała i pochodziła z legendarnego, starszego świata, którego natura stawała się dla nas coraz bardziej oczywista i odrażająca. W końcu ruszyliśmy, gramoląc się w górę po rumowisku, w kierunku majaczącego wyżej otworu. Podłoga wewnątrz wyłożona była wielkimi płytami z łupku i wyglądała na to, że prowadzi do długiego, wysokiego korytarza o ścianach pokrytych płaskorzeźbami. Dostrzegając wiele wewnętrznych łukowych przejść, które zeń prowadziły, zdaliśmy sobie sprawę jak bardzo złożony musi być kompleks znajdujących się wewnątrz pomieszczeń. W tej sytuacji postanowiliśmy zastosować metodę rozrzucania na trasie strzępków papieru. Dotychczas nasze kompasy oraz towarzyszący nam widok górującego nad okolicznymi wieżami górskiego masywu, wystarczały nam w zupełności; teraz jednak potrzebowaliśmy czegoś więcej, aby się nie zgubić. Podarliśmy więc papier na odpowiedniego rozmiaru kawałki i włożyliśmy do torby, którą miał nieść Danfbirth. Jego zadaniem było również rozrzucanie strzępów papieru, miał to czynić na tyle ekonomicznie jak na to pozwalały względy bezpieczeństwa. Wybrana przez nas metoda powinna uchronić nas przed zabłądzeniem, zwłaszcza że wewnątrz posępnej budowli nie wyczuliśmy żadnych silniejszych prądów powietrznych. Jeśli trafimy w strefę przeciągów albo skończymy się nam papier, będziemy naturalnie zmuszeni wykorzystać bezpieczniejszą, choć bardziej żużącą i czasochłonną metodę wycinania znaków w skałę. Mię sposób było, bez uprzedniego sprawdzenia określić jak rozległe otwiera się przed nami terytorium. Bliskość i gęstość połączeń między poszczególnymi budowlami sugerowały, że będziemy mogli przedostawać się z jednej do drugiej po znajdujących się pod powłoką lodu kamiennych mostach, chyba że natkniemy się na naturalne rozpadliny czy geologiczne zapadliska; wyglądało bowiem na to, iż zlodowacenie nie dotarło w głąb murów prastarych budowli. Prawie wszędzie gdzie występował przezroczysty lód, widać było okna z zamkniętymi na głucho okiennicami; wszystko wskazywało na to, iż miasto w tak jednolitym stanie pozostawało aż do chwili nadejścia lodowca, który skryształizował niższe partie miasta nadając im formę jaką prezentowały po dzień dzisiejszy. Prawdę mówiąc odnieśliśmy wrażenie, że to miasto zostało raczej celowo zamknięte i opuszczone, niż zniszczone jakimś nagłym kataklizmem czy stopniowym powolnym upadkiem, w mglistych, dawno zapomnianych stuleciach. Czy przewidziano nadejście lodowca i bezimienna "ludzkość" opuściła to miasto, by znaleźć sobie nową siedzibę w miejscu nie skazanym na zagładę? Precyzyjne ustalenia fizjograficzne warunków towarzyszących tworzeniu się w tym miejscu pokrywy lodowej muszą zostać odłożone na później, nie występował tu - z nielicznymi wyjątkami - proces kruszenia. Być może to napór nagromadzonych śniegów, powodzi lub wylew jakiegoś starożytnego, lodowcowego jeziora sprawiły, że miasto zachowało się w tak wyjątkowym stanie.

[<- **Rozdział 4**] [**Początek**] [**Rozdział 6** ->]

6

Niełatwo będzie zdać szczegółową i uporządkowaną relację z naszej wędrówki wewnątrz tej ogromnej, martwej od wieków, podziurawionej jak plaster miodu prastarej kamiennej budowli, potwornego siedliska starszych sekretów, których echo rozbrzmiało po raz pierwszy od niezliczonych epok pod wpływem odgłosów naszych kroków. Fotografie, wykonywane przy użyciu flesza stanowią doskonałe świadectwo wyjawianej przez nas obecnie prawdy, wielka szkoda iż nie mieliśmy wówczas ze sobą większej ilości filmów. Kiedy się skończyły, sporządziliśmy w notesach prymitywne szkice niektórych płaskorzeźb o szczególnie uderzających rysach. Budynek do którego trafiliśmy miał ogromne rozmiary i kunsztowny styl, a architektura tej nieznannej bezimiennej geologicznej przeszłości wywarła na nas iście wstrząsające wrażenie. Wewnętrzne ściany nie były już tak masywne jak zewnętrzne, a na niższych kondygnacjach zachowały się znakomicie. Całość budowli miała strukturę labiryntową, poziomy pięter zaś przejawiały osobliwe i zadziwiające różnice asymetryczne, gdyby zatem nie podarty na strzępy papier, który zostawialiśmy za sobą, zgubilibyśmy się zaraz na początku drogi, najpierw postanowiliśmy zbadać bardziej zniszczone, górne poziomy. Dotarliśmy tam po stromych, poprzecznie żebrowanych kamiennych podestach, czy też pochylniach, które w całej budowli pełniły rolę schodów. Pomieszczenia miały rozmaite kształty, jakie tylko można by sobie wymarzyć - od pięcioramiennych gwiazd po trójkąty i sześciiany. Należy wspomnieć, że ich średni rozmiar wynosił mniej więcej 50 na 50 stóp szerokości i 20 stóp wysokości, choć zdarzały się też większe izby. Po dokładnym zwiędzeniu wyższych partii oraz poziomo samego lodowca, zaczęliśmy schodzić, piętro po piętrze do części podziemnej. Wkrótce przekonaaliśmy się, że faktycznie trafiliśmy do nieprzerwanego ciągu pokoi i przejść wiodących zapewne ku bezkresnemu, rozciągającemu się za tym budynkiem labiryntowi. Gigantyczna masywność i ogrom wszystkiego co nas otaczało sprawiały przytłaczające wrażenie; poza tym, w napotykanym kształtach, wymiarach, proporcjach, dekoracjach i wszelkich niuansach konstrukcyjnych tego bluźnierczego, kamiennego tworzywa tkwiło coś nieuchwytnie, acz głęboko nieludzkiego. Ma podstawie treści płaskorzeźb bardzo szybko doszliśmy do wniosku, iż owo potworne miasto liczy sobie wiele milionów lat. Mię potrafiłmy jeszcze wyjaśnić zasad inżynierii zastosowanej tu do wzniesienia konstrukcji oraz zapewnienia anormalnej równowagi tak ogromnych mas skalnych, aczkolwiek w dużym stopniu opierano się tu na technice łukowej. Pomieszczenia które zwiedziliśmy były całkowicie ogołcone ze sprzętów ruchomych, co potwierdzało nasze domysły, iż miasto zostało opuszczone celowo. Wiodącym elementem zdobień były

płaskorzeźby, które ciągnęły się poziomymi wstęgami o szerokości 5 stóp i wypełniały całą przestrzeń ścian od podłogi po sufit. Przeplatane były, tej samej szerokości pasmami arabesek. Napotykał się rzecz jasna wyjątki od tej reguły, niemniej jednak, przeważał właśnie taki układ. Często też, obok którejsz ze wstęg z arabeskami pojawiały się grupy gładkich wolut zawierających układające się w osobliwy deseń punkciki. Wkrótce przekonaliśmy się, że technika wykonania była dojrzała, perfekcyjna i estetycznie sięgała najwyższego poziomu cywilizacyjnego mistrzostwa, aczkolwiek w każdym szczególe kompletnie obca jakiegokolwiek znanej tradycji artystycznej rasy ludzkiej, nie spotkałem nigdy w życiu płaskorzeźby, która precyzją wykonania dorównywała by tym reliefom. najdrobniejsze szczegóły świata zarówno fauny jak i Hory oddane były, mimo olbrzymiej skali tych rzeźb, ze zdumiewającą plastycznością, powszechnie zaś stosowane w nich desenie były cudami zawiłości i zręczności nieznanymi twórców. Arabeski stanowiły przykład wszechobecnego tu wykorzystania zasad matematycznych i tworzyły je zawiłe acz symetryczne kształty o licznych załamaniach i kątach stanowiących wielokrotność liczby pięć. Wstęgi malowideł reprezentowały wysoce sformalizowaną tradycję i w osobliwy sposób operowały perspektywą, posiadały jednak artystyczną siłę wyrazu, która głęboko nas poruszyła, mimo otchłani dzielących nas epok geologicznych. Ptie sposób porównać tej sztuki z tą, którą można oglądać w naszych muzeach. Ci którzy obejrzą nasze zdjęcia odnajdą zapewne niezbrane analogie, w pewnych groteskowych koncepcjach najbardziej śmiałych futurystów. Ornamentykę arabesek tworzyły linie wyżłobień, których głębokość w niezwiernych skałach wahała się od 1 do 2 cali. Kiedy pojawiały się woluty z grupami punkcików, najwyraźniej napisy w jakimś nieznanym, pierwotnym alfabecie, wgłębienie powierzchni mierzyło około 1,5 cala, a samych kropek jakieś pół cala więcej. Wstęgi malowideł znajdowały się nad płaskorzeźbami, a ich powierzchnia sięgała o jakieś 2 cale głębiej w powierzchnię twardej, kamiennej ściany. Tu i ówdzie dostrzegaliśmy jeszcze ślady dawnych, wyblakłych barw, jednak w ogromnej większości niezliczone stulecia zniszczyły i starły wszelkie oznaki nałożonych na mury barwników. Im dłużej oglądało się zdumiewającą technikę, tym większy czuło się podziw wobec tych pradawnych dzieł sztuki. Tematyka rzeźb dotyczyła życia w minionej epoce, w której powstały. Przeważone były na nich spore fragmenty zapominanej przed wiekami historii, niewiarygodne wręcz pragnienie Starej Rasy do utrwalania wizerunków przedstawiających wycinki historii - ów cudowny zbieg okoliczności działający na naszą niekorzyść - sprawiło, iż rzeźby te niosły w sobie potężny ładunek informacji i z tego też względu przedkładaliśmy ponad wszystko fotografowanie i kopiowanie tych właśnie wytworów sztuki. W niektórych pomieszczeniach elementem dominującym były rozliczne mapy, wykresy astronomiczne i inne modele naukowe w powiększonej skali - wszystkie one potwierdzały otwarcie i w pełni to, czego dowiedzieliśmy się z fryzów i płaskorzeźb na ścianach. Mówiąc o tym co odkryliśmy w posępnym kamiennym mieście mogę mieć jedynie nadzieję, iż wśród ludzi którzy mi ostatecznie uwierzą, moje słowa wzbudzą roztrofną ostrożność przeważającą nad pochopną ciekawością. Byłoby rzeczą straszną, gdyby ostrzeżenia mające zniechęcić wszystkich do odnalezienia tej krainy śmierci, grozy i koszmarów, wzbudziły w nich zgoła odmienne pragnienie.

W pokrytych płaskorzeźbami ścianach wykute były wysokie okna i masywne, dwunastostopniowe wejścia, w których tu i ówdzie zachowały się jeszcze skamieniałe, drewniane deski - fragmenty starannie wypolerowanych i rzeźbionych okiennic i drzwi. Wszystkie metalowe części już dawno temu uległy zniszczeniu, ale niektóre drzwi pozostały na swoich miejscach i gdy przechodziliśmy z jednego pomieszczenia do drugiego, musieliśmy je sforsować siłą. Przetrwały również, choć bardzo nieliczne, ramy okienne z osobliwymi, przezroczystymi elipsowatymi szybami. Znajdowało się tam również sporo ogromnych wnęk, zasadniczo pustych, choć w jednej znaleźliśmy dziwny przedmiot wycięty z bryły zielonkawego steatytu, który musiał być uszkodzony, albo z innych powodów nie wart dalszego wykorzystania. Inne otwory bez wątpliwości wiodły do dawnych pomieszczeń z urządzeniami mechanicznymi, służącymi do ogrzewania, oświetlania itp. -jak sugerowało wiele płaskorzeźb. Sufity przeważnie były nagie, ale w niektórych pomieszczeniach wyłożono je zielonym steatytem czy jakimiś płytkami, które w większości już poodpadały. Podłogi też pokryte były płytkami, aczkolwiek w ogólnym rozrachunku przeważał goły kamień. Jak już stwierdziłem, brakowało tu mebli czy innych ruchomych sprzętów, ale płaskorzeźby dawały doskonałe pojęcie o dziwnych przedmiotach, które wypełniały ongiś te podobne do grobowców, rozbrzmiewające głuchym echem pomieszczenia. Ponad poziomem lodowca podłogi generalnie zasłane były grubą warstwą gruzów, śmieci i rozmaitych szczątków, jednak w głębi labiryntu ich stan znacznie się poprawiał.

Centralny dziedziniec - podobnie jak w innych budowlach widzianych z powietrza - powodował, że wnętrza nie były pogrążone w całkowitych ciemnościach; dlatego też bardzo rzadko, w wyższych pomieszczeniach, za wyjątkiem sytuacji kiedy z uwagą przyglądaliśmy się szczegółom płaskorzeźb musieliśmy przyświecać sobie elektrycznymi latarkami. Poniżej mapy lodowej jednak, półmrok gęstniał i w wielu miejscach na nierównym poziomie ziemi panowały już całkowite ciemności. Jeżeli idzie o nasze odczucia, gdy penetrowaliśmy ów pogrążony od wieków w ciszy labirynt nieludzkich, kamiennych budowli, należy stwierdzić iż z każdym krokiem ogarniał nas coraz bardziej dojmujący, beznadziejnie oszołamiający chaos ulotnych nastrojów, wspomnień i odczuć. Już samo, przyprawiające o zgrozę wrażenie starożytności i zabójcza pustka panująca w tym miejscu mogły w dostatecznym stopniu przepęlić bojaźnią każdą wrażliwą duszę, w naszym zaś przypadku dochodził do tego jeszcze niewyjaśniony koszmar jaki wydarzył się w obozie i to co ujrzeliśmy na otaczających nas, pokrywających niemal wszystkie ściany, płaskorzeźbach. Kiedy więc natrafiliśmy na partię doskonale zachowanych reliefów, których interpretacja nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, niewiele potrzebowaliśmy czasu, by poznać odrażającą, plugawą prawdę, którą - naiwnością byłoby utrzymywać, że było inaczej - obaj z Danforthem podejrzewaliśmy już wcześniej, choć ani ja, ani on nie napomknęliśmy o tym ani słowem. Pryśły litościwe wątpliwości co do natury istot, które zbudowały i zamieszkiwały to potworne, wymarłe miasto przed milionami lat, kiedy przodkowie człowieka byli prymitywnymi, archaicznymi ssakami a po tropikalnych stepach Europy i Azji włóczyły się wielkie dinozaury. Dotychczas rozpaczliwie, jak tonący brzytwy, trzymaliśmy się alternatywy, utrzymując - każdy przed samym sobą - że wszechobecny, pięcioramienny motyw oznaczał wyłącznie jakieś kulturowe czy religijne wyobrażenie istniejącego w archaiku przedmiotu czy istoty o takim a nie innym, charakterystycznym kształcie, podobnie jak motywy dekoracyjne krety minojskiej

przedstawiały często świętego byka, egipskie - skarabeusza, rzymskie - orła i wilczycę, a dzikich plemion rozmaite, wybrane zwierzęce totemy. Zostaliśmy jednak brutalnie pozbawieni naszej jedynej ostoi, i zmuszeni stawić czoła porażającej umysł prawdzie, której czytelnik tych stron niewątpliwie domyślił się już dawno temu. Z najwyższym trudem ośmielam się opisać to wszystko, bez owijania w bawełnę, choć może wcale nie będzie to konieczne. Istoty, które w czasach dinozaurów zbudowały i zamieszkiwały w tym przerażającym, kamiennym mieście nie były dinozaurami, ale czymś o wiele gorszym. Dinozaury bowiem były względnie nowym i prawie bez-rozumnym gatunkiem, zaś budowniczości miasta byli starzy i mądrzy, a pozostawione przez nich, wyryte w kamieniu ślady przetrwały blisko miliard lat - uczynili to w czasach, kiedy prawdziwe życie na ziemi nie wyszło poza stadium zorganizowanych grup komórek, uczynili to zanim na ziemi zaistniało w ogóle prawdziwe życie.

Byli tworamami i panami owego życia, to oni je bowiem ujarzmili i to o nich mówią zapewne diaboliczne, starsze mity; o których przerażające wzmianki widnieją na kartach przeżartych pleśnią Manuskryptów Pnakotyckich i odrażającego, bluźnierczego "Necronomiconu". Były to wielkie "Stare Istoty", które spłynęły z gwiazd, kiedy ziemia była jeszcze młoda - istoty ukształtowane przez obcą ewolucję, o możliwościach przekraczających wszystkie twory naszej planety. I pomyśleć tylko, że zaledwie dzień wcześniej Danfbirth i ja spoglądaliśmy na szczątki ich skamieniałych przed tysiącletnimi ciał, a nieszczęsny, nieżyjący już dziś Lakę i jego ludzie ujrzeli ich kształt w całej okazałości...

Jest rzecz jasna niemożliwe, abym zrelacjonował we właściwej kolejności wszystkie etapy jakimi dochodziliśmy do pełnej wiedzy o tym potwornym rozdziale praludzkiego życia. Po pierwszym wstrząsie jakie spowodowało nasze odkrycie musieliśmy chwilę odetchnąć, aby dojść do siebie; i dopiero o godzinie trzeciej wyruszyliśmy na dalsze, systematyczne poszukiwania. Czyżby w budynku, do którego weszliśmy pochodziły z nieco późniejszego okresu, sprzed około 2 milionów lat, jak oszacowaliśmy na podstawie ich cech biologicznych, geologicznych oraz pewnych zjawisk w nich danych astronomicznych, i reprezentowały dziedzinę sztuki, którą można nazwać dekadencją w porównaniu z okazami oglądanymi w starszych budowlach, do których trafiliśmy zaraz po przekroczeniu mostów pod pokrywą lodową. Jeden z gmachów, wycięty w jednolitej bryle skalnej po chodził na pierwszy rzut oka sprzed 40, może 50 milionów lat, z wczesnego eocenu lub górnej kredy, a w jego wnętrzach znajdowały się płaskorzeźby, których artysta przyćmiewał wszystko, co dotąd napotkaliśmy, z jednym tylko przerażającym wyjątkiem. Była to, jak zgodnie stwierdziliśmy, najstarsza miejscowa budowla, którą spenetrowaliśmy. Gdyby nie zdjęcia, robione przy użyciu flesza, które niebawem zostaną rozpowszechnione powstrzymałbym się od opowiadania o tym co odkryłem i wywnioskowałem na podstawie płaskorzeźb, z obawy by po okrzyknięciu szaleńcem nie zamknięto mnie w zakładzie dla obłąkanych. Oczywiście, nieskończenie wczesne dzieje przedstawione w tej różnorodnej i złożonej historycznej mozaice przedstawiające życie istot o głowach w kształcie rozgwiazdy, jeszcze w czasach nim dotarły one na ziemię, na innych planetach, w innych galaktykach można z łatwością potraktować jako fantastyczną mitologię stworzoną przez same te istoty. niektóre jednak fragmenty zawierają wzory i diagnozy tak niesamowicie zgodne z najnowszymi odkryciami matematyki i astrofizyki, że sam nie bardzo wiem co o tym sądzić. Niech osądzą to inni, kiedy ujrzą te fotografie. Naturalnie każda grupa płaskorzeźb na które się natknęliśmy opowiadała zaledwie ułamek jakiejś historii, poszczególnych stadiów dziejów tych istot nie poznawaliśmy we właściwej kolejności, niektóre z rozległych pomieszczeń zawierały, jeśli chodzi o reliefy i przedstawione na nich historie, zwartą całość. W innych natomiast historia ciągnęła się przez cały szereg oddzielnych komnat i korytarzy, najlepsze z map i wykresów znajdowały się na ścianach przerażającej otchłani, znajdującej się nieco poniżej poziomu starożytnego gruntu. Była to pieczara, zapewne coś w rodzaju centrum edukacyjnego, wysoka na dobrych 60 stóp i o powierzchni 200 stóp kwadratowych. Znajdowało się tam wiele szokujących, powtórzonych scen, które mieliśmy okazję oglądać już wcześniej w innych pomieszczeniach i budowlach; najwyraźniej pewne rozdziały dziejów czy przełomowe chwile w historii owej rasy cieszyły się u niektórych dekoratorów czy mieszkańców szczególnym uznaniem. Czasami jednak, przy ustalaniu spornych punktów i uzupełnianiu luk, takie odmienione wersje tego samego wydarzenia były nad wyraz przydatne. Wciąż jeszcze zastanawiam się, że zdołaliśmy tak wiele wywnioskować, mając" cło dyspozycji tak niewiele czasu, naturalnie nawet w oliwili obecnej znamy tylko najogólniejsze zarysy - a wiele z tego co wiemy domyśliliśmy się dopiero później, na podstawie skrzętnej analizy wykonanych przez nas zdjęć i szkiców. Być może to na skutek tych późniejszych badań, odświeżonych wspomnień i mglistych odczuć połączonych z ogólną wrażliwością Danfbirtha, ora/, owym przerażającym, trwającym niedługo bo ledwie przez mgnienie oka, widokiem, którego istoty nawet mnie nie odważyły się wyjaśnić, doznał on silnego załamania nerwowego. niemniej jednak musiało tak być, nic mogliśmy bowiem wystosować naszego weta i ostrzeżenia, nie dysponując możliwie najpełniejszymi informacjami. A przestroga jest sprawą nadrzędną. Pewne czynniki, wywierające nieustanny wpływ na ten nieznan, antarktyczny świat zapomnianego czasu i obcych praw natury, sprawiają iż konieczne jest bezwzględne wstrzymanie wszelkich badań na terytorium tego kontynentu.

[<- **Rozdział 5**] [**Początek**] [**Rozdział 7** ->]

Pełne dzieje Starych Istot, na tyle na ile je pognano, ukażą się ostatecznie w oficjalnym biuletynie Uniwersytetu Miskatonic. Poniżej, wyłącznie w ogólnych zarysach i w sposób nieco chaotyczny, bez nadawania mojej relacji jakiejś szczególnej formy, przedstawię pewne uderzające kwestie związane z nimi. Płaskorzeźby opowiadają o przybyciu tych gwiazdnogłowych Istot, z przestrzeni kosmicznej, na rodzącą się dopiero i pozbawioną życia Ziemię. Mówią o przybyciu ich i wielu innych obcych, tak jak to ma miejsce w okresie kosmicznej kolonizacji. Wygląda na to, że Istoty były w stanie przebyć przestrzeń międzygwiazdową na swych błoniastych skrzydłach - co potwierdzają pewne interesujące i osobliwe góralskie legendy, które opowiadał mi przed laty znajomy antykwariusz. Przez dłuższy czas stworzenia te mieszkaly w morskiej głębinie, budując tam fantastyczne miasta i staczając przerażające boje z jakimiś bezimiennymi wrogami, posługując się przy tym tajemniczymi urządzeniami,

wykorzystującymi nieznaną źródło energii. najwidoczniej ich wiedza naukowa i technologia dalece przewyższały wiedzę współczesnego człowieka, jakkolwiek tych najbardziej rozwiniętych i wyszukanych form broni używały tylko, gdy były do tego zmuszone. niektóre płaskorzeźby sugerują, iż miały one za sobą -jeszcze na innych planetach - stadium życia mechanicznego, choć szybko się z niego wycofały, gdy stwierdziły, iż efekty nie satysfakcjonowały ich emocjonalnie i uczuciowo. nadprzyrodzona wręcz odporność ich organizmów i prostota naturalnych potrzeb specjalnie predestynowała je do życia na położonej wysoko równinie, gdzie mogły obywać się bez wymyślnych, sztucznie wyprodukowanych dóbr, a nawet bez odzienia, którego używały tylko sporadycznie, jako ochronę przed wyjątkowo surowymi warunkami naturalnymi. W morskich odmętach, początkowo ze względów żywieniowych a później z innych przyczyn, stworzyły, znanymi im od dawna metodami i przy wykorzystaniu dostępnych substancji, całe ziemskie życie. Bardziej skomplikowane eksperymenty zaczęły przeprowadzać dopiero po unicestwieniu rozmaitych kosmicznych wrogów. Podobnie jak na innych planetach, wyprodukowały nie tylko konieczne pożywienie, ale również pewne wielokomórkowe bryły protoplazmy, zdolne pod wpływem hipnozy formować na krótki czas swą tkankę we wszelkiego rodzaju wymagane organy, tworząc w ten sposób idealnych niewolników, wykonujących dla nich najcięższe prace. Bez wątplenia te właśnie kleiste, lepkie bryły musiał określać Abdul Alhazred w swoim przerażającym "Necronomiconie" tajemniczym, złowrogim mianem Shoggothów - lecz nawet ów szalony Arab nie wspominał, iż stworzenia te istnieją na Ziemi, a nie tylko w snach tych, którzy żują pewien gatunek alkaloidalnych ziół. Kiedy gwiazdnołowe Stare Istoty zsyntetyzowały już dla siebie na Ziemi proste formy żywności i spłodziły spory zapas Shoggothów. pozwoliły, z niejasnych powodów, by również i inne grupy komórek rozwinęły się w kolejne formy życia zwierzęcego i roślinnego. Przy pomocy Shoggothów - których rozmiary mogły być dowolne - niewielkie, niskie, podwodne miasta zmieniły się w rozległe, imponujące labirynty z kamienia, nie różniące się zasadniczo od tych, które później wyrosły na lądzie. Jak wspominałem. Stare Istoty w innych częściach wszechświata prowadziły zazwyczaj lądowy tryb życia, a co za tym idzie zachowały wiele tradycji budownictwa lądowego. Kiedy badaliśmy architekturę tych wszystkich ozdobionych płaskorzeźbami, paleozoicznych miast, włącznie z tym, wymarłym od stuleci, którego korytarze właśnie przemierzaliśmy, byliśmy pod wrażeniem zadziwiającej harmonii wszystkich elementów, której żadną miarą nie potrafiliśmy sobie jeszcze wtedy wytłumaczyć. Wierchołki budowli w otaczającym nas teraz mieście, które już przed wiekami zwietrzały, zmieniając się w bezkształtne ruiny, zostały ze szczegółami odtworzone na niezliczonych płaskorzeźbach. Budowle te, w kształcie stożków i piramid, były opatrzone wielkimi dachami. Ma wierchołkach niektórych z nich widać było rzędy strzelistych iglic i poziomych, muszlowatych dysków zwieńczonych z kolei walcowatymi kominami, I dokładnie to samo obserwowaliśmy w tym nieprawdopodobnym, potwornym i złowrogim mirażu, rzucanym przez martwe miasto; taki właśnie obraz na tle nieba, obraz, który nie istniał już od tysięcy i dziesiątków tysięcy lat, pojawił się przed naszymi nieświadomymi oczyma ponad niezbadanymi. Górami Szaleństwa, gdy pierwszy raz zbliżyliśmy się do zniszczonego w tragicznych okolicznościach obozowiska nieszczęsnego Lake'a.

O życiu Starych Istot, zarówno w morskich głębinach, jak też o losach grupy, która wyszła na ląd, można napisać całe tomy. Te, które żyły w płytkich wodach nadal robiły pełny użytek ze swych umieszczonych na końcach pięciu głównych czułek oczu. Uprawiały sztukę rzeźbiarską i piśmienniczą w niemal nie zmienionej formie; pisały ryłcem na wodoodpornych, woskowych tabliczkach. Te, żyjące w głębinach oceanów - choć celem otrzymania światła wykorzystywały pewne osobliwe fosforyzujące organizmy - dysponowały dodatkowo trudnym do sprecyzowania, szczególnie zmysłem działającym poprzez pryzmatyczne rzeszki umieszczone na szczycie głowy. Zmyśl ten sprawiał, iż wszystkie Stare Istoty w razie potrzeby były częściowo uniezależnione od oświetlenia. Forma ich sztuki rzeźbiarskiej i piśmienniczej w osobliwy sposób zmieniała się wraz ze schodzeniem coraz głębiej pod wodę. Głównym tego powodem były, jak się wydaje, pewne procesy chemiczne związane z utrwalaniem - zapewne mające zabezpieczać fosforescencję - których niestety płaskorzeźby nic są nam w stanie wyjaśnić. Istoty poruszały się w morzu na poły pływając - używając przy tym bocznych, krynoidowych ramion, na poły zaś poruszając rzędem dolnych macek zakończonych pseudostopami. Sporadycznie wykonywały leż ogromne susy, pomagając sobie przy tym dwoma lub więcej skrzydłami, rozkładającymi się niczym wachlarze. Na lądzie zaś używały pseudostóp do chodzenia oraz skrzydeł, na których wznosiły się na ogromne wysokości i pokonywały wielkie odległości. Liczne, smukłe macki, którymi kończyły się krynoidowe ramiona były niewiarygodnie wrażliwe, giętkie, silne i obdarzone idealną koordynacją mięśniowo-nerwową zapewniającą najwyższą sprawność i biegłość we wszystkich czynnościach manualnych, artystycznych jak i wszystkich innych.

Odporność istot była wprost niewiarygodna. Nawet straszliwe ciśnienie panujące na dnie najgłębszych mórz nie czyniło im najmniejszej szkody. Wydaje się, że w ogóle niewiele z nich umierało, pomijając oczywiście przypadki gwałtownego rozstania się z tym światem, ale ogólnie rzecz biorąc, miejsc ich pochówku jest bardzo niewiele. To że nad pogrzebanymi w pozycji pionowej zmarłymi wznosiły pięcioramienne kopce, skłoniło mnie i Danforth'a do głębokich przemyśleń.

Istoty rozmnażały się za pomocą zarodników, zdaniem Lake'a jak rośliny okrytozalążkowe, ale dzięki swej ogromnej odporności i długowieczności, a co za tym idzie braku potrzeby płodzenia kolejnych pokoleń, nie dbały zbyt o rozwój nowych komórek rozrodczych -rzecz jasna za wyjątkiem okazji, gdy w grę wchodziła kolonizacja nowych terenów. Młode Istoty dorastały szybko, a wykształcenie zdobywały w sposób, którego my nie jesteśmy w stanie nawet sobie wyobrazić. Generalnie rzecz biorąc życie intelektualne i twórcze tych stworzeń było wysoko rozwinięte; wytworzyły one szereg zwyczajów i instytucji, które opiszę pełniej w przygotowywanej obecnie monografii. Było ono w pewnym stopniu zróżnicowane, w zależności od tego czy rozwijało się na lądzie czy w morzu - ale i tu i tam jego podstawy i istota były jednakowe. Chociaż zdolne jak rośliny do czerpania pożywienia z substancji nieorganicznych. Stare Istoty znacznie bardziej wołały pokarmy organiczne, zwłaszcza pochodzenia zwierzęcego. Żyjąc w morzach jadły mięso na surowo, na lądzie zaś pieczone. Urządzały polowania i hodowały zwierzęta rzeźne; zabijały je ostrymi narzędziami, których osobliwe ślady na niektórych skamieniałych kościach zaobserwowała nasza wyprawa. Były niesłychanie odporne na różnice temperatur; w swej naturalnej postaci

mogły żyć w wodzie o temperaturze zamrażania. Kiedy jednak nadeszły ostre chłody plejstocenu - blisko milion lat temu - mieszkańcy łądu musieli uciec się do specjalnych środków, łącznie ze sztucznym ogrzewaniem. Koniec końców jednak, zabójcze zimno zmusiło ich do powrotu do morza. Jak mówi legenda, przygotowując się do swych prehistorycznych podróży. Istoty owe wchłonęły sporą ilość pewnych związków chemicznych, które niemal całkowicie uniezależniły je od potrzeby jedzenia, oddychania czy różnic temperatury. Zanim jednak nastały mrozy plejstocenu, metoda ta, w ich kręgu, poszła już dawno w zapomnienie. W każdym bądź razie nie mogły bez uszczerbku dla siebie przedłużać w nieskończoność tego sztucznego stanu.

Posiadając strukturę półroślin. Stare Istoty nie przejawiały biologicznych podstaw do tworzenia rodzin, tak jak to ma miejsce wśród ssaków. Wnioskując jednak z przedstawionych na płaskorzeźbach zajęć i rozrywkę współmieszkańców, wydaje się, iż organizowały one ogromne, wspólne osiedla, tak ze względu na wygodniejsze wykorzystanie przestrzeni, jak i z wrodzonej jedności natury umysłowej. Jeżeli chodzi o wystrój ich domów, sprzęty zajmowały centralną część pomieszczeń, ściany zaś były wolne, by nic nie zasłaniało pokrywających je motywów dekoracyjnych. Oświetlenie, w przypadku Istot łądowych, pochodziło z urządzeń działających, jak przypuszczamy, na zasadzie jakiejś reakcji elektrochemicznej. Zarówno na łądzie, jak i w głębinie stworzenia używały dziwnych stołów, krzesel i łóżek o cylindrycznym kształcie - odpoczywały przecież i spały w pozycji pionowej, ze złożonymi w dół mackami - oraz półtek, na których trzymały spięte zawiasami rzędy kropkowanych, płaskich przedmiotów, pełniących funkcję ich książek. Rząd był najwyraźniej demokratyczny, aczkolwiek z płaskorzeźb, które widzieliśmy, trudno było to wywnioskować z całkowitą pewnością. Rozwinięty był handel zarówno lokalny, jak i pomiędzy miastami - w formie pieniędzy używano niewielkich, płaskich pięcioramiennych żetonów z wrytymi napisami. Prawdopodobnie funkcję środków płatniczych pełniły również te mniejsze, rozmaite, zielone steatyty znalezione przez naszą wyprawę. Chociaż kultura miała w przeważającym stopniu charakter miejski, wśród Istot tych znane było również rolnictwo i uprawa bydła. Istniały też kopalnie oraz, w ograniczonym stopniu, manufaktury. Bardzo rozpowszechnione były podróże, lecz stała migracja należała raczej do rzadkości, za wyjątkiem oczywiście działalności kolonizacyjnej, za pośrednictwem której rasa się rozprzestrzeniała. Nie istniały żadne indywidualne środki transportu, ponieważ do poruszania się na łądzie, w powietrzu czy w wodzie. Stare Istoty były nader hojnie wyposażone przez Maturę. Wszelkie ładunki ciągnęły zwierzęta pociągowe - pod wodą Shoggothy, a na łądzie zadziwiająca ilość gatunków prymitywnych kręgowców, które pojawiły się tam w późniejszych czasach. Kręgowce te, jak również nieprzebrane ilości innych żywych form - zwierząt i roślin, stworzeń zamieszkujących na łądzie, w wodzie i powietrzu - były wytworem ewolucji opartej na żywych komórkach wyhodowanych przez Stare Istoty, które później wymknęły się swym stwórcom spod kontroli. Ich rozwój był tolerowany, gdyż nie zagrażał interesom dominujących Istot, a formy sprawiające jakiegokolwiek kłopoty były rzeczą jasną automatycznie likwidowane, niezwykle zainteresowały nas późniejsze i najbardziej dekadentnie przeżyte przedstawiające prymitywne, powłóczące nogami ssaki, które mieszkańcom łądów służyły niekiedy za pożywienie, innymi razami jako rozrywka, a które kształtem przypominały już nieco małpie i ludzkie sylwetki.

Przy budowie łądowych miast, olbrzymie kamienne bloki, z których wznoszono strzeliste wieże przenoszone były przez szerokoskrzydłe pterodaktyle, należące do gatunku nieznanego paleontologom.

Wytrwałość z jaką Stare Istoty przetrwały wszelkie zmiany geologiczne i wstrząsy skorupy ziemskiej graniczy niemal z cudem. Jakkolwiek żadne lub prawie żadne z ich pierwszych miast nie przetrwało ery archaicznej, to w ich cywilizacji oraz w przekazywaniu ich dorobku nie było przerw. Pierwotnym miejscem ich przybycia na naszą planetę był Ocean Antarktyczny i prawdopodobnie wydarzyło się to niedługo po tym, jak z materii wyrwanej z dna południowego Pacyfiku uformował się księżyc. Zgodnie z tym co widnieje na jednej z reliefowych map, cały glob znajdował się wówczas pod wodą, a w miarę upływu kolejnych stuleci kamienne miasta rozprzestrzeniały się coraz to dalej od terenów antarktycznych. Inna mapa ukazuje rozległą połać łądu otaczającego biegun, gdzie najprawdopodobniej niektóre z tych Istot dokonywały próbnego osadnictwa - chociaż ich główne skupiska przeniesione zostały na dno najbliższego morza, najróźniejsze mapy przedstawiają pękającą i dryfującą masę łądu, której oderwane fragmenty kierują się na północ, utrzymując dokładnie taki kurs, jaki wyznaczyła im teoria dryfu kontynentalnego, rozwinięta w ostatnich latach przez Taylora i Wegenera. Wypiętrzeniu się nowego łądu na południu Pacyfiku towarzyszyły przerażające wypadki, niektóre z morskich miast uległy całkowitej zagładzie, ale nie to było najgorsze. Inna rasa - rasa łądowych Istot przypominających z wyglądu ośmiornice - będąca zapewne legendarnym, przedludzkim potomstwem Cthulhu - zaczęła niebawem przybywać z bezmiarów kosmosu, rozpętuując potworną wojnę, która na pewien czas ponownie zmusiła Stare Istoty do powrotu w głębinę. Z uwagi na rozkwit osadnictwa łądowego był to dla nich straszliwy okres. Później zawarto pokój, nowe łądy oddano we władanie potomstwu Cthulhu, podczas gdy Stare Istoty zatrzymały dla siebie morze i dawniejsze ziemie. Powstały nowe miasta łądowe - największe z nich na Antarktydzie, uważanej za świętą, tu bowiem po raz pierwszy wylądowały Stare Istoty. Antarktyda ponownie stała się centrum cywilizacji Starych Istot, a wszystkie miasta wzniesione tam przez potomstwo Cthulhu zostały starte z powierzchni ziemi. I nagle łądy Pacyfiku ponownie pogrążyły się w odmętach zabierając ze sobą przerażające kamienne miasta R'lyeh i wszystkie kosmiczne ośmiornice - w wyniku tego Stare Istoty ponownie zapanowały niepodzielnie nad planetą. Mimo to pozostał w nich jakiś nieokreślony lęk, o którym jednak nie chciały wspominać. W późniejszym okresie ich miasta rozsiane były po całym globie - zarówno w wodach, jak i na łądzie. W miarę upływu stuleci nasilał się trend wychodzenia z wody na łąd - było to spowodowane wynurzaniem się z mórz coraz to nowych terenów -jakkolwiek ocean nigdy nie został całkowicie opuszczony. Inną przyczyną masowego osiedlania się na łądzie były kłopoty związane z hodowlą i wykorzystaniem Shoggothów, od których zależało przecież prowadzenie życia w głębinie. W miarę upływu czasu - co potwierdzają wizerunki na płaskorzeźbach - zaginęła sztuka tworzenia nowego życia z materii nieorganicznej i Stare Istoty musiały poprzestać na kształtowaniu form już istniejących. Łatwe do okiełznania okazały się żyjące na ziemi ogromne gady. W morzu reprodukuje się przez podział Shoggothy, zaczęły natomiast osiągać niebezpieczny stopień inteligencji, stwarzając tym samym w pewnym momencie poważny problem. Zawsze były kontrolowane

przez sugestię hipnotyczną Starych Istot, które dzięki dużej plastyczności protoplazmy modelowały w ich ciałach potrzebne aktualnie kończyny i organy. Teraz jednak, pod wpływem dawniejszej sugestii wszczepionej im przez ich władców, coraz częściej u Shoggothów zaczęła pojawiać się zdolność niezależnego modelowania swych bryłowych ciał. Ma dodatek wytworzyły w sobie coś w rodzaju na wpół stałego mózgu, którego własna i niezłomna wola niejednokrotnie sprzeciwiała się żądaniom Starych Istot. Odtworzone w kamieniu wizerunki Shoggothów napełniały mnie i Danforth'a przerażeniem i odrazą, formalnie były to bezkształtne stwory utworzone z kleistej, lepkiej galarety wyglądające niczym zlepek bąbli, z których każdy, przyjąwszy kształt kuli mierzył około 15 stóp średnicy. Zmieniały jednak nieustannie - czy to spontanicznie, czy zgodnie z nadaną sugestią - swój kształt i rozmiary, formując potrzebne w danym momencie kończyny, bądź nietrwałe organy wzroku, słuchu i mowy podobne do tych, jakimi dysponowali ich władcy. Mniej więcej w okresie środkowego permu, około 150 milionów lat temu, stały się szczególnie krnąbrne i wtedy to żyjące w wodzie Stare Istoty, aby je ponownie ujarzmić, wypowiedziały im okrutną wojnę. Mimo dzielącej nas otchłani niezliczonych stuleci, obrazy tej wojny, obrazy bezgłowych, oblepionych śluzem Starych Istot - typowy stan w jakim Shoggothy pozostawiały swoje ofiary - po dziś dzień budzą w nas zdumienie i lęk. Stare Istoty zastosowały w końcu przeciwko buntownikom osobliwą broń, powodującą zaburzenia molekularne, osiągając dzięki niej całkowite zwycięstwo. Kolejne płaskorzeźby ilustrowały okres, w którym uzbrojone Stare Istoty ujarzmiły i złamały Shoggothów, podobnie jak na amerykańskim zachodzie kowboje ujarzmiли dzikie mustangi. Choć podczas rebelii Shoggothy zdradziły zdolność do życia poza środowiskiem wodnym. Stare Istoty nie wykorzystały tego. Ich użyteczność na lądzie nie mogłaby równoważyć kłopotów, jakich nastęrczałoby kierowanie nimi.

W okresie jurajskim Stare Istoty napotkały kolejną przeciwność losu w postaci nowej inwazji z kosmosu; tym razem stworzeń będących na poły grzybami, na poły zaś skorupiakami. Były to bez wątpienia te same stwory, które występują w pewnych powtarzanych wyłącznie szeptem, legendach krain północy, a w Himalajach są znane pod nazwą Mi-Go, albo jako odrażający Ludzie Śniegu. Zanim przystąpiły do walki. Stare Istoty próbowały, po raz pierwszy od chwili przybycia na Ziemię uciec w Kosmos. Mię udało im się jednak opuścić ziemskiej atmosfery. Sekret podróży międzygwiazdnych, czymkolwiek by nie był, został dla owej rasy bezpowrotnie stracony. Ostatecznie Mi-Go wyparły Stare Istoty ze wszystkich terenów północnych; bezsilne okazały się jedynie wobec mieszkańców morza. W ten oto sposób rozpoczął się stopniowy, powolny odwrót starszej rasy do jej pierwotnego, antarktycznego środowiska. Co ciekawe - z płaskorzeźb przedstawiających okres wojny wynika, że zarówno potomstwo Cthulhu jak i Mi-Go zbudowane były z materii całkowicie odmiennej od tej, którą znamy, odmiennej też od substancji, z jakiej uformowane były ciała Starych Istot. Potrafiły przechodzić transformację i reintegrację ciał, co dla ich przeciwników było rzeczą niemożliwą; najwidoczniej musiały pochodzić z jeszcze odleglejszych kosmicznych otchłani.

Stare Istoty, pomijając ich nadnaturalną odporność i osobliwe właściwości witalne, były całkowicie materialne, a ich pierwotna siedziba musiała znajdować się w znanym nam kontinuum czasoprzestrzennym. Miejsce, skąd pochodziły inne, wspomniane tu gatunki jest dla nas zapierającą dech w piersiach zagadką. Wszystko to oczywiście należy przyjąć przy założeniu, że pozaziemskie pochodzenie i anomalie przypisywane najeźdźcom nie są jedynie zwykłymi legendami. Mię jest bowiem wykluczone, że to same Stare Istoty wymyśliły ową kosmiczną otoczkę, by usprawiedliwić swoje klęski, zwłaszcza że główne elementy ich psychiki ukształtowane zostały przez dumę i dogłębne zainteresowanie historią. Jest też rzeczą nader znaczącą, że ich annały pomijają milczeniem wiele innych, zaawansowanych i silnych ras, których potężne kultury i strzeliste miasta figurują uporczywie w niektórych mrocznych legendach.

Ma wielu rzeźbionych mapach z zaskakującą wyrazistością, widzimy zmieniającą się na przełomie długich epok geologicznych postać świata. W niektórych przypadkach istniejąca nauka wymagać będzie wprowadzenia pierwszych poprawek, w innych zaś, idealnie potwierdza swe śmiałe wnioski. Jak już wspomniałem hipoteza Taylora i Wegenera, stwierdzająca że wszystkie kontynenty są fragmentami jednego pierwotnego lądu antarktycznego, który w wyniku działania sił odśrodkowych rozpadł się i rozplynął na wszystkie strony, hipoteza opierająca się na takich faktach jak dopełniające się zarysy Afryki i Ameryki Płd. oraz sposób w jaki są wypiętrzone i ukształtowane olbrzymie masywy górskie, znajduje w tym niesamowitym źródle znakomite potwierdzenie. Mapy najwyraźniej przedstawiają świat z ery karbonu, sprzed stu, a może więcej milionów lat; pokazują wyraźne pęknięcia i rozpadliny, które potem oddzieliły Afrykę od jednej, połączonej krainy Europy, Azji, obu Ameryk oraz kontynentu antarktycznego. Inne mapy z kolei - a zwłaszcza jedna, najbardziej znacząca, bowiem ukazuje powstałe 50 milionów lat temu rozległe martwe miasto, które nas właśnie otaczało - przedstawiały wyraźnie już zarysowane, wszystkie obecne kontynenty. Mapa z najpóźniejszego okresu, wywodząca się zapewne z pliocenu, gdzie przedstawiony świat jest już w przybliżeniu taki, jakim go znamy dzisiaj, pokazuje całkiem wyraźne połączenie Alaski z Syberią, Ameryki Płn. z Europą, poprzez Grenlandię oraz Ameryki Płd. z Antarktydą za pośrednictwem Ziemi Grahama, na mapie z okresu karbonu cały glob, dna oceanów i cała spękana już masa lądów, pokryty jest siatką symboli przedstawiających ogromne, kamienne miasta Starych Istot; na mapach późniejszych widać ich stopniowe wycofywanie się w kierunku Antarktydy. Ma ostatnim, pliocenским egzemplarzu, nie ma już innych miast lądowych za wyjątkiem tych na kontynencie antarktycznym i w Ameryce Płd., miasta podmorskie zaś sięgają już tylko do 50 równoleżnika szerokości południowej. Wiedza i zainteresowanie światem północnym spadają u Starych Istot do zera; do przeszłości należą już dokonywane na błoniastych, wachlarzowatych skrzydłach loty w celu studiowania tamtejszych linii brzegowych.

na płaskorzeźbach rejestrowane były wszystkie wypiętrzenia się gór, rozpad kontynentów wskutek działania sił odśrodkowych, wstrząsy sejsmiczne lądów, dna morskiego oraz inne, naturalne przyczyny zagłady miast. Śledzenie, jak w miarę upływu stuleci liczba miast coraz bardziej się zmniejsza było niewiarygodnie fascynujące. Olbrzymie, wymarłe rozciągające się wokół nas Megalopolis zdawało się być ostatnim, głównym centrum tej rasy - powstałym we wczesnym okresie dolnej kredy, tuż po tytanicznych kataklizmach, które dotknęły Ziemię i obróciły

w gruzy poprzednie, jeszcze rozleglejsze i wspanialsze miasta, zbudowane w nie tak znów bardzo odległym czasie. Wydaje się, że właśnie Megalopolis było głównym i najbardziej uświęconym z wszystkich miejsc; tu właśnie pierwsze Stare Istoty osiedliły się na dnie pierwotnego morza.

Megalopolis rozciągało się wzdłuż potężnego masywu górskiego na przestrzeni ponad stu mil w każdą stronę, a jego ogrom przekraczał możliwości prowadzonych przez nas rekonesansów lotniczych. Fragmenty tego pierwszego podwodnego miasta, w wyniku trwającego całe stulecia procesu kruszenia się warstw, wypchnięte zostały na światło dzienne.

[<- **Rozdział 6**] [**Początek**] [**Rozdział 8** ->]

8

Naturalnie, Danfbtrh i ja studiowaliśmy ze szczególnym zainteresowaniem i z jakimś dziwnie osobistym uczuciem lęku, wszystko co znajdowało się wokół nas. Było tego rzeczywiście sporo; mieliśmy nawet tyle szczęścia że w labiryncie miasta na poziomie gruntu, natrafiliśmy na najpóźniej ze wszystkich datowany dom, którego ściany, choć nieco uszkodzone wskutek pobliskiego osunięcia się gruntu, zawierały płaskorzeźby zdradzające cechy stylu schyłkowego, wręcz dekadentckiego i opowiadające dzieje regionu, daleko późniejsze, niż mapy z okresu pliocenu. Mieliśmy zatem okazję rzucić okiem na agonię tego praludzkiego świata. Było to już ostatnie miejsce które spenetrowaliśmy szczegółowo; to co w nim odkryliśmy odmieniło nasze plany, wskazując zupełnie nowy cel. Z całą pewnością trafiliśmy do najdziwniejszego, najbardziej tajemniczego i przerażającego zakątka globu, narastało w nas przekonanie, iż ta odrażająca wyżyna musi rzeczywiście być owym koszmarnym, legendarnym płaskowyżem Leng o którym szalony autor "Necronomiconu" wspominał z wyraźną niechęcią. Ogromny łańcuch górski był przeraźliwie długi -zaczynał się niskim masywem na Ziemi Leopolda na wybrzeżu morza Weddella i przecinał dosłownie cały kontynent. W schyłkowym okresie, niektóre Stare Istoty zanosiły do tych gór osobliwe modły; żadna jednak nie odważyła się do nich zbliżyć, czy choćby domniemywać co leży po ich drugiej stronie, nigdy nie oglądało ich ludzkie oko - i kiedy rozmyślałem o uczuciach zaklętych w tych rzeźbach, modliłem się, by na zawsze lak pozostało. Z drugiej strony osłaniały je wzgórza ciągnące się wzdłuż wybrzeży Ziemi Królowej Marii i Cesarza Wilhelma; dziękowałem Bogu że nikt nigdy nie był w stanie tam wylądować i wspiąć się na któryś z tamtejszych szczytów. Nie traktuję już tak sceptycznie, jak to miałem w zwyczaju, starych legend i zabobonów; nie wyśmiewam się też z przekonań praludzkich rzeźbiarzy, mówiących iż na każdej z tych posępnych grani rozbłyskują jasne, niczym błyskawice, światła, a z jednego z tych przerażających szczytów przez całą, długą noc polarną bije niewyjaśniony blask. Może więc wzmianki w Manuskryptach Pnakotyckich mówiące nieśmiało o Kadath na Lodowym Pustkowiu posiadają jak najbardziej realne i odrażające podstawy. Terytorium znajdujące się wokół nas, choć nie tak plugawe i przekłete jak inne zakazane ziemie, nie było wcale mniej obce. Wkrótce po założeniu miasta olbrzymi masyw górski stał się siedzibą głównych świątyń i wiele reliefów ukazuje jak groteskowe i fantastyczne wieże wystrzeliwały w niebo, w miejscu gdzie dziś widzieliśmy jedyne zadziwiające przylegające do siebie sześciany i wały. Ma przełomie wieków pojawiły się jaskinie które wykorzystano na użytek świątyń. Z nastaniem kolejnych epok wszystkie wapienne żyły w rejonie zostały wypłukane wodami gruntowymi, a co za tym idzie, całe góry, pogórza i równiny poniżej, poprzecinane zostały istnym labiryntem połączonych ze sobą jaskiń i podziemnych chodników. Wiele malowniczych płaskorzeźb opowiada o eksploracji podziemi i ostatecznym odkryciu głęboko w trzewiach ziemi mrocznego, stykсового morza. Owa bezmierna, mroczna czelusz została bez wątpienia wydrążona przez wielką rzekę, która spływała z bezimiennych, przerażających gór; początkowo zakręcała ona u podnóża masywu Starych Istot i płynęła wzdłuż tego łańcucha aż do Oceanu Indyjskiego, pomiędzy Ziemiami Budda i Tottena na wybrzeżu Wilkesa. Stopniowo na swym zakolu podmywała wapienne pociło że wzgórz, aż w końcu jej odmęty dotarły do jaskiń wy pełnionych wodami gruntowymi, łącząc się z nimi we wspólnym dziele wydrążenia jeszcze głębszej otchłani. Ostatecznie, cała ta masa wód znikła wewnątrz wydrążonych wzgórz, pozostawiając po sobie stare, wyschnięte, ciągnące się aż do oceanu koryto. Większa część, miasta które odkryliśmy została wzniesiona na tym właśnie, prą starym łożysku. Stare Istoty rozumiejąc co się stało, i by zaspokoić swój wiecznie żywy zmysł artystyczny, wyrzeźbiły na kształt pylonów ogromne cyple pogórza, gdzie olbrzymia rzeka rozpoczynała swój spadek w wiekuieste] ciemność. Rzeka, przecięta ongiś licznymi, kamiennymi mostami, była tą samą, której wyschłe koryto widzieliśmy podczas lotniczego rekonesansu. Jej wizerunki uwieńczone w licznych płaskorzeźbach, pomogły nam zorientować się, jak wyglądał ów region w różnych erach, byliśmy więc w stanie naszkicować pospiesznie, acz dokładnie mapę charakterystycznych miejsc - placów, ważniejszych budynków i tym podobnych - która posłużyć nam miała w dalszych badaniach. Mogliśmy wkrótce zre konstruować w wyobraźni cały ten zdumiewający wy twór, tak jak wyglądał on milion, dziesięć lub pięćdziesiąt milionów lat temu; rzeźby mówią nam bowiem dokładnie o znajdujących się tu, w czasach rozkwitu budowlach, górach, placach oraz o wyglądzie przedmieść i całego krajobrazu, tak jak prezentował się on, w bujnej szacie roślinnej trzeciorzędu. Jego piękno musiało być zdumiewające - nieomal mistyczne, a gdy o tym myślałem, zapomniałem o niepokojącym uczuciu ponurego przynębienia, niewiarygodną wręcz starością nieludzkie go miasta, jego masywnością, martwością, pustką i lodowcowym zmierzchem, które połączone, przytłaczały i dławiły mego ducha. Zgodne z niektórymi wizerunkami na płaskorzeźbach, mieszkańcom miasta nieobcy był dojmujący, bezgraniczny lęk - dostrzeegliśmy bowiem pewien powracający motyw przedstawiający Stare Istoty cofające się panicznie przed czymś, co nigdy nie zostało dokładnie przedstawione - a co znalazły w ogromnej rzece, po tym jak spłynęło jej nurtem poprzez gęste, pełne pnący lasy sagowców z przerażających gór na wschodzie. Tylko w jednym, pochodzącym z późniejszego okresu domu z dekadentckimi płaskorzeźbami odkryliśmy zapowiedź ostatecznego nieszczęścia, które w rezultacie doprowadziło do opuszczenia miasta. Niewątpliwie musiały istnieć jeszcze inne, pochodzące z tamtych czasów reliefy, mówiące jawnie iż w tym pełnym napięcia i niepewności okresie nastąpił zanik energii i dążeń, I rzeczywiście niebawem natknęliśmy się na konkretny dowód istnienia takich rzeźb, ale osobiście zetknęliśmy się z nimi tylko wtedy, jeden jedyny raz. Zamierzaliśmy poszukać ich później, lecz jak powiedziałem, niespodziewane

okoliczności zmusiły nas do gwałtownej zmiany planów. To musiał być jednak początek końca. Stare Istoty straciły bowiem wszelką nadzieję na dłuższe zamieszkiwanie w przyszłości tego miejsca i zaprzestały wykonywania ściennych reliefów. Ostateczny czas nadszedł oczywiście wraz z wielkim chłodem, który ogarnął niemal całą ziemię i nigdy już nie opuścił nieszczęsnych biegunów, który na drugim krańcu naszej planety położył kres istnieniu legendarnych krain Lomar i Myperborei. Trudno jest określić dokładnie, kiedy to się wydarzyło, jeżeli chodzi o lata. Współcześnie, początek zlodowacenia oblicza się na około 500 tysięcy lat wstecz, ale na bieguny ów bicz boży spaść musiał dużo wcześniej. Wszelkie obliczenia opierają się wyłącznie na domysłach, ale jest wielce prawdopodobne iż owe schyłkowe dekadencje płaskorzeźby powstały grubo ponad milion lat temu, a faktyczne opuszczenie miasta nastąpiło na długo przed tradycyjnie przyjmowaną datą początku plejstocenu - 500 tysięcy lat temu - wedle szacowań przyjętych dla całej ziemi. Płaskorzeźby z okresu schyłkowego sygnalizują powszechny zanik roślinności, a jeżeli chodzi o Stare Istoty, upadek wsi. Przedstawiały zainstalowane w domach urządzenia ogrzewcze, a podróżujące zimą Stare Istoty opatulone w grube, chroniące przed zimą stroje, natknęliśmy się również na szereg wolut ilustrujących narastającą stale migrację do najbliższych oaz ciepła -jedne stworzenia odlatują ku odległym wybrzeżom do podwodnych miast, inne z kolei schodzą w dół siecią wapiennych jaskiń wydrążonych w masywie górskim, cło pobliskiej, czarnej otchłani wyplukanej przez podziemne wody. Ostatecznie otchłań ta doczekała się masowej kolonizacji. Bez wątplenia wynikało to po części z faktu iż ten właśnie obszar otaczany był tradycyjną czcią - było to bowiem swego rodzaju święte miejsce, ale wydaje się iż większą rolę odegrały tu jednak możliwości dalszego wykorzystywania wielkich świątyń w podziurawionych niczym rzeszoto górach, korzystania z rozległych miast, na powierzchni jako letnich siedzib oraz możliwości przemieszczania się pomiędzy nimi. Połączenie starych siedzib z nowymi usprawniono poprzez szereg ulepszeń istniejących już dróg oraz wykucie licznych, prostych tuneli łączących antyczną metropolię z czarną otchłanią - tuneli wiodących ostro w dół, a których wejścia po dokładnych wyliczeniach - nanieśliśmy pieczołowicie na opracowywaną przez nas mapę. Wszystko wskazywało n.i to iż dwa z nich znajdują się w niezbyt dużej odległości od nas, na skraju miasta przylegającym do gór. Nie powinniśmy mieć większych problemów ze spenetrowaniem ich. Pierwszy z tuneli oddalony był o niecałe ćwierć mili w stronę koryta pradawnej rzeki, drugi zaś, mniej więcej pół mili w kierunku przeciwnym. W otchłani, w niektórych miejscach rozciągały się rozległe, skalne, suche tarasy, ale Stare Istoty wybudowały nowe miasto pod wodą, chcąc niewątpliwie zapewnić sobie stałą temperaturę i możliwie maksimum ciepła. Ukryte morze było niezwykle głębokie i ciepło panujące wewnątrz ziemi gwarantowało możliwość mieszkania w nim przez nieskończenie długie epoki. Istoty, których skrzela nie uległy mutacji, nie miały żadnych kłopotów z przystosowaniem się do częściowego lub stałego przebywania pod wodą. Istnieje wiele płaskorzeźb ukazujących w jaki sposób mieszkańcy miasta odwiedzali swych krewnych pod wodą oraz jak zażywali kąpeli na dnie swej ogromnej, głębokiej rzeki. Ciemności panujące we wnętrzu ziemi również nie przerażały rasy przywykłej do długich, antarktycznych nocy. Jakkolwiek styl rzeźb był niewątpliwie dekadencji, to te najmłodsze, w fragmentach mówiących o budowie nowego miasta w pieczarze z ukrytym morzem mają prawdziwie epicki charakter. Stare Istoty podeszły do sprawy naukowo wydobywając nierozpuszczalne skały z jądra przypominających plaster miodu gór, a by osiągnąć najlepsze rezultaty zatrudniły do budowy najznakomitszych robotników sprowadzonych z najbliższego podwodnego miasta. Robotnicy ci dostarczyli również wszystkiego, co niezbędne do realizacji nowego przedsięwzięcia - tkankę Shoggothów, by wyhodować z niej niewolników do przenoszenia kamieni, a potem zwierzęta pociągowe. Dostarczyły również inny rodzaj protoplazmy którą przetworzono w fosforyzujące organizmy mające dawać światło. W końcu na dnie Styksowego Morza wyrosła potężna metropolia o takiej samej strukturze architektonicznej jak miasto na powierzchni, aczkolwiek zdecydowanie mniej dekadencje, co spowodowane było nieodłącznym zastosowaniem przy piecach budowlanych ścisłych reguł matematycznych. Świeży miot Shoggothów osiągnął ogromne rozmiary i niepoślednią inteligencję, przyjmując i wykonując polecenia ze zdumiewającą bystrością. Ze Starymi Istotami porozumiewały się, naśladując ich głosy - rodzaj melodyjnego świergotu o bardzo szerokiej gamie dźwięków - jeżeli wierzyć wynikom sekcji przeprowadzonej przez nieszczęsnego Lakę 'a - i pracowały bardziej na podstawie poleceń wydawanych słownie niż sugestii hipnotycznej, jak to miało miejsce dawniej. Mimo to jednak trzymane były pod ścisłą kontrolą. Świecące stworzenia bardzo hojnie dostarczały światła i bez wątplenia kompensowały brak znanych Starym Istotom zórz polarnych, płonących nocą w zewnętrznym świecie. Sztuka zdobnicza nie uległa zmianie, jakkolwiek wykazywać zaczęła elementy dekadencje, najwyraźniej Stare Istoty zdawały sobie sprawę z nadchodzącego końca i w wielu przypadkach wyprzedzili politykę Konstantyna Wielkiego, przenosząc ze swego lądowego miasta szczególne piękne rzeźbione starożytne bloki; tak samo uczynił cesarz w schyłkowym okresie swego panowania, ogafając Grecję i Azję z ich najwspanialszych dzieł sztuki, dodając swej nowej stolicy w Bizancjum splendoru większego, niż stać na to było jego poddanych. To, że transfer tych rzeźbionych bloków nie był prowadzony na wielką skalę, brało się bez wątplenia stąd, iż lądowe miasto nic było do końca opuszczone. Kiedy to jednak nastąpiło, a z pewnością było to nieuchronne - zanim jeszcze rozwinął się na dobre polarny plejstocen - Stare Istoty zdążyły rozmiłować się w dekadencje sztuce, lub też przestały postrzegać urok i czar dawnego kunsztu rzeźbiarskiego. Tak czy inaczej otaczające nas, pogrążone od wieków w ciszy ruiny z pewnością nie zostały ogołocone z dzieł sztuki, jakkolwiek najwspanialsze, pojedyncze posągi i inne ruchomości zostały stąd zabrane. Mówiące o tym dekadencje woluty i płaskorzeźby były, jak już wspominałem, najmłodszymi, jakie udało nam się odkryć podczas bądź co bądź, ograniczonych badań. Zostawiają nas one z obrazem Starych Istot krążących nieustannie pomiędzy lądowym miastem w lecie i morską pieczarą w Ziemi, a niekiedy również handlujących z innymi podwodnymi miastami u brzegów Antarktydy. W tym czasie przyszłe losy lądowego miasta musiały już być znane, gdyż tematyka rzeźb dostarcza wielu dowodów, wskazujących na nadejście potwornych chłódów. Ginęła roślinność a przeraźliwe śniegi nie topniały do końca nawet w środku lata. Prawie wszystkie gady wyginęły, to samo spotkało również ssaki. By w dalszym ciągu prowadzić prace w górnym świecie, należało zaadaptować do życia na lądzie niektóre z amorficznych i zadziwiająco odpornych na zimno Shoggothów - co dawniej Stare Istoty czyniły nader niechętnie. W wielkiej rzece wymarło już całe życie a jedynymi mieszkańcami górnych warstw morza pozostały foki i wieloryby. Ptaki odleciały; zostały jedynie wielkie, groteskowe pingwiny. Co wydarzyło się później, możemy jedynie zgadywać. Jak długo zdołało przetrwać nowe miasto w morskiej pieczarze? A może wciąż jeszcze istnieje - kamienny trup spoczywający w mrocznych odwiecznych ciemnościach?

Czy koniec końców podziemne wody zamarzły? Jaki los spotkał miasta na dnie oceanów w świecie zewnętrznym? Czy niektóre ze Starych Istot w ucieczce przed sunącym lodowcem, przenosiły się na północ? Obecna geologia nie natrafiła na ich ślad. Czy przerażający Mi-Go wciąż jeszcze stanowili zagrożenie, zamieszkując w zewnętrznym świecie północy? Czy ktokolwiek może wiedzieć co czai się - lub nie - nawet po dzień dzisiejszy w pozabawionych światła niezbadanych otchłaniach morskich głębin? Stwory te najwyraźniej były w stanie wytrzymać każde ciśnienie, a rybacy wyławiają niekiedy z fal różne, osobliwe rzeczy. Czy teoria wieloryba-zabójcy rzeczywiście wyjaśnia niesamowite i nader tajemnicze rany na ciałach antarktycznych fok zaobserwowane przez Dorchgre-vingka?

W całej tej historii - poza jej koszmarem - jest coś anormalnego... dziwne rzeczy, które tak usilnie staraliśmy się złożyć na karb czyjegoś szaleństwa... te przerażające groby... ilość i rodzaj zaginionych przedmiotów... Gedney... niezemska odporność tych archaicznych monstrów i odrażające, żywe dziwolągi jakie zgodnie z treścią płaskorzeźb posiadała ta rasa... Danforth i ja w ciągu kilku ostatnich godzin zobaczyliśmy sporo różnych rzeczy i byliśmy gotowi uwierzyć, oraz zachować niezłomne milczenie w kwestii niewiarygodnych sekretów pierwotnej natury.

[<- Rozdział 7] [Początek] [Rozdział 9 ->]

9

Wspomniałem już, że nasze badania spowodowały natychmiastową zmianę najbliższych planów. Miało to oczywiście związek z wykutymi drogami wiodącymi w głąb czarnego wewnętrznego świata, o którego istnieniu nic dotąd nie wiedzieliśmy; teraz zaś nurtowało nas niepokonane pragnienie aby go jak najszybciej odnaleźć i spenetrować. Ze skali płaskorzeźb wynioskowaliśmy, że stromo opadający chodnik mierzy około mili, potem zaś, którymś z sąsiednich tuneli możemy dotrzeć do krawędzi przyprawiającej o zawrót głowy, mrocznego urwiska skalnego wielkiej otchłani, skąd znajdujące się wzdłuż jej brzegów, ulepszone przez Stare Istoty, ścieżki wiodły na skalisty brzeg pograżonego w wiecznej nocy oceanu. Odkąd się o nim dowiedzieliśmy wabił nas tak, że nie sposób było oprzeć się pragnieniu ujrzenia na własne oczy tej bajecznej czeluści. Poza tym zdawaliśmy sobie sprawę że jeśli chcemy dokonać tego podczas obecnego rekonesansu, musimy rozpocząć poszukiwania natychmiast. Była ósma wieczorem i nie mieliśmy wystarczającej ilości baterii by móc stale oświetlać sobie drogę. Pod poziomem lodowca podczas dokonywania szczegółowych badań, szkiców i zapisków używaliśmy latarek blisko pięć godzin bez przerwy i obecnie, mimo specjalnych suchych ogniw, nasz zapas baterii wystarczyłby najwyżej na 4 godziny. Używając jednak tylko jednej latarki - za wyjątkiem rzecz jasna szczególnie interesujących lub trudnych miejsc - mogliśmy nieco przedłużyć margines bezpieczeństwa. Bez światła nie poradziłibyśmy sobie w tych gigantycznych katakumbach; dlatego też, by odbyć podróż w głąb otchłani musieliśmy zrezygnować z dalszego odszyfrowywania fresków ściennych. Zamierzaliśmy oczywiście wrócić tu i zabawić kilka dni, a może nawet parę tygodni by przeprowadzić intensywne badania i zrobić całą serię zdjęć. Ciekawość brała górę nad zgrozą - teraz jednak musieliśmy się pospieszyć. Zapas papieru do oznaczania drogi pozostawiał wiele do życzenia, a ponieważ nie chcieliśmy poświęcać zapasowych notatników i szkicowników, postanowiliśmy podrzeć jeden gruby notes. W najgorszym razie zawsze możemy uciec się do wyrąbywania śladów w skale, w przypadku zaś, gdybyśmy kompletnie stracili orientację, aż do skutku będziemy krążyli na chybił trafił poszczególnymi tunelami, aż wyjdziemy na światło dzienne. I tak oto z zapalem wyruszyliśmy w wskazanym kierunku - do najbliższego tunelu. Zgodnie z informacjami zawartymi na płaskorzeźbach, na podstawie których sporządziliśmy naszą mapę poszukiwane wejście do tunelu nie mogło znajdować się dalej niż ćwierć mili od nas; przesterzeń tę wypełniały masywnie wyglądające budowle, identyczne jak spenetrowane już przez nas pod lodowcem. Samo wejście miało znajdować się w piwnicy, w kącie najbliższej pogórza, w rozległej pięcioramiennej budowli pełniącej najwyraźniej ongiś funkcje publiczne, zapewne o charakterze ceremonialnym, którą musieliśmy widzieć podczas penetrowania ruin, z pokładu samolotu. Wracaliśmy pamięcią do naszego lotu, ale żadna taka budowla nic przychodziła nam na myśl. Doszliśmy zatem do wniosku że jej górna część musiała być poważnie uszkodzona, lub - co również było możliwe - cała budowla, obrócona w gruzy spoczywała teraz w dostrzeżonej przez nas rozpadlinie skalnej. W tym drugim przypadku tunel będzie zapewne zasypany lodem - wtedy spróbujemy szczęścia z następnym, najbliższym wejściem oddalonym o niecałą milę na północ. Leżące pośrodku koryto rzeki uniemożliwiałoby nam dotarcie, podczas tego rekonesansu, do któregoś z południowych tuneli; co więcej, gdyby okazało się że oba sąsiadujące ze sobą tunele są zasypane, wątpliwe czy nasze latarki wytrzymałyby podjęcie kolejnej próby z trzecim korytarzem północnym, oddalonym o milę od drugiego z wybranych przez nas przejść. Kiedy z pomocą mapy i kompasu brnęliśmy przez labirynt, w niezbyt przyjemnym półmroku, badając zrujnowane, lub zgoła nieźle zachowane pokoje i korytarze, wspinając się na mosty i pochylnie przecinające wyższe piętra, i ponownie schodząc na dół - napotykając na zasypane otwory wejściowe i stosy gruzu, przyspieszając od czasu do czasu na lepiej zachowanych, i niewiarygodnie pustych, jakby oczyszczonych odcinkach trasy, myśląc kierunki i wracając do punktu wyjścia (w takich sytuacjach zbieraliśmy z podłogi pozostawione przez nas strzępy papieru), docierając raz na dno otwartego u góry szybu, w głąb którego sączyło się dziwne światło - towarzyszyły nam bez przerwy ciągnące się wzdłuż całej drogi, pokryte freskami ściany. Wiele z nich musiało opowiadać o wydarzeniach o ogromnym znaczeniu historycznym i jedynie perspektywa ponownych odwiedzin pozwalała nam mijać je bez większego żalu. Kiedy było trzeba, zwalnialiśmy, włączając drugą latarkę. Gdybyśmy mieli więcej Filmów, z całą pewnością przystawilibyśmy co chwile, by zrobić zdjęcia pewnych płaskorzeźb; czasochłonne, ręczne kopiowanie nie wchodziło rzecz jasna w grę.

Ponownie dochodzę do miejsca w którym pokusa zająknięcia się, bądź niedopowiedzenia pewnych faktów jest wyjątkowo silna. Rzeczą konieczną jest jednak ujawnienie wszystkich dalszych wypadków, abym mógł wytłumaczyć dlaczego tak bardzo zależy mi na wstrzymaniu prac badawczych na Antarktydzie. Byliśmy już blisko wejścia do tunelu - przeszliśmy właśnie przez wiszący most i zesłaliśmy do zasypanego gruzami korytarza, którego

ściany pokryte były wyjątkowo hojnie i bogato wyszukаныmi i ewidentnie rytualnymi, dekadencjkimi płaskorzeźbami ze stosunkowo późnego okresu, gdy około wpół do dziewiętej doskonały węch młodego Danfortha wychwycił coś nader niezwykłego. Gdybyśmy mieli tu psa przypuszczam, że ostrzegłby nas już wcześniej. Początkowo nie byliśmy w stanie stwierdzić co było nic tak z niedawno jeszcze kryształowo czystym powietrzem, ale już po kilku sekundach nasze wspomnienia zareagowały aż nadto wyraziście. Spróbuję opowiedzieć o tym bez mimowolnego wzdrygnięcia się. Poczuliśmy smród -mglisty, niewyraźny, delikatny fetor podobny do tego, jaki nieomal przyprowadził nas o mdłości, gdy otworzyliśmy makabryczny, obłąkańczy grób koszarnej istoty, na której nieszczęsny Lakę dokonał prymitywnej sekcji. Rzecz jasna skojarzenie to nie nasunęło nam się aż tak gwałtownie - nie było również do tego stopnia nieodparte, by nie przyszły nam na myśl zgoła odmienne wyjaśnienia. Rozmawialiśmy o nich, pełnym niepokoju i niepewności szeptem, najważniejsze było jednak to, że nie zaprzestaliśmy dalszych poszukiwań - skoro bowiem dotarliśmy aż tak daleko, jedynie jakieś ogromne nieszczęście mogłoby zmusić nas do powrotu. Tak czy inaczej nasze podejrzenia były zbyt fantastyczne, ba, wręcz szalone, abyśmy mogli w nie uwierzyć. Tego typu rzeczy nie zdarzają się w normalnym świecie. Prawdopodobnie to impuls czystego, irracjonalnego instynktu nakazał nam przygasić latarkę, gdyż nagle ni stąd, ni zowąd odechciało się nam oglądać dekadencjkę i złowrogie płaskorzeźby łąpiące na nas złowieszczo z posępnych kamiennych ścian, i z tego samego powodu zamiast iść jak dotąd śmiało i dostojnie poczęliśmy przesuwac się naprzód cicho i na paluszkach, pokonując nad wyraz ostrożnie znajdujące się na naszej drodze, coraz wyższe sterty gruzu i rozmaitych odpadków. Wzrok Danfortha, podobnie jak węch okazał się lepszy od mojego, kiedy bowiem minęliśmy sporą ilość zasypanych wejść do komnat i korytarzy na poziomie gruntu, ponownie to on zwrócił uwagę na osobliwy wygląd podłoża i zaścielających je gruzów. Korytarz jego zdaniem nie wyglądał lak jak powinien po niezliczonych tysiącach lat, odkąd budowle te zostały opuszczone; kiedy zaś nieśmiało włączyliśmy latarki, ujrzeliśmy ciągnący się przez środek przejścia pas wolnej, niedawno oczyszczonej przestrzeni. nieregularność gruzów i odpadków nie pozwoliła na zachowanie wyraźniejszych śladów, ale to co dostrzegliśmy tu i ówdzie pozwoliło nam domyślać się, że ciągnięto tędy jakieś ciężkie przedmioty. W pewnej chwili odnieśliśmy wrażenie, że ślady są równoległe, jakby pochodziły od płóz. To sprawiło, że ponownie się zatrzymaliśmy. Podczas tego właśnie postoju poczuliśmy - tym razem obaj - dochodzący z korytarza przed nami, osobliwy fetor. Może to zabrzmieć paradoksalnie ale wydał się on nam jednocześnie bardziej i mniej przerażający - a właściwie nie tyle przerażający, co niepokojący, zważywszy na miejsce i okoliczności; zakładając oczywiście, że nie był to Gedney - ponieważ była to wyraźna i znana woń paliwa - pospolitej benzyny. Nasze samopoczucie po tym odkryciu pozostawiam do rozstrzygnięcia psychologom. Zrozumieliśmy wówczas, że w głąb tego mrocznego, martwego od wieków miejsca musiała zakraść się jakaś potworna istota, niewiarygodna pozostałość po koszarach jakie wydarzyły się w obozie i nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, że sytuacja w której się obecnie znaleźliśmy nie należy bynajmniej do pospolitych. W miejscu tym teraz, bądź od niedawna, działo się coś niezwykłego, wręcz niewiarygodnego. Mimo to, daliśmy się ponieść ciekawości - niepokojowi, autohipnozie - lub być może niesprecyzowanemu myśłom o odpowiedzialności za Gedney'a, które ostatecznie pchnęły nas naprzód. Danforth znów szeptem wspomniac mi o śladzie, który, jak mu się zdawało, zauważył w alejce skręcającej do znajdujących się powyżej ruin - i o delikatnym melodyjnym świergocie - szczególe o potencjalnie olbrzymim znaczeniu w świetle raportu z sekcji dokonanej przez Lake'a, pomimo iż dźwięk ów w dużej mierze przypominał odgłosy echa u wylotu jaskiń, na omiatanych gwałtownym wiatrem górskich szczytach - a który miał podobno usłyszeć, dobiegający z czeluści nieznanych otchłani, w dole. Ja, z mojej strony, również szeptem napomknąłem o stanie w jakim pozostawiono obóz - o tym co /ginęło, i w jaki sposób obłąd jednego człowieka, który pozostał przy życiu mógł przynieść niewiarygodne, niewyobrażalne wręcz rezultaty - dziką, szaleńczą wyprawę poprzez monstralne, upiorne góry i zejście w głąb nieznanych, pierwotnych, kamiennych budowli... Nie potrafiliśmy przekonać siebie nawzajem, ba, żaden z nas nie był w stanie przekonać samego siebie. Gdy staliśmy tak w bezruchu, wygasiliśmy światło, zauważyliśmy że przesączaający się tu nikły blask dnia nieznacznie rozprasza panujące wokoło ciemności. Odruchowo zaczęliśmy przesuwac się naprzód, sporadycznie oświetlając sobie drogę światłem latarek. Ślady w stertach gruzu wywarły na nas piorunujące wrażenie, z którego nic potrafiliśmy się otrząsać; zapach benzyny coraz bardziej przybierał na sile. Wokół nas narastały coraz wyższe sterty gruzu i niebawem dotarliśmy do kresu wędrówki. Droga była zasypana, nie mogliśmy przedostać się dalej. A więc nasze pesymistyczne przypuszczenia dotyczące zaobserwowanej z samolotu szczeliny okazały się uzasadnione. Badany przez nas tunel był ślepy, a my nie mogliśmy dotrzeć do piwnicy, gdzie znajdowała się szczelina wiodąca ku otchłani. Mijając pokryte groteskowymi reliefami ściany zawalonego korytarza, w świetle latarek ujrzeliśmy kilka, w różnym stopniu zatarasowanych wejść; z jednego z nich - całkiem zabijając ową inną, delikatną woń - dobiegał szczególnie silny zapach benzyny. Kiedy zajrzeliśmy uważniej w głąb otworu, dostrzegliśmy natychmiast że z tego właśnie przejścia gruz został, stosunkowo niedawno, skrętnie usunięty. Jakikolwiek koszmar mógł się tam czaić, droga ku owym okropieństwom stała dla nas otworem, nie sądzę, by ktokolwiek dziwił się, że przed podjęciem decyzji czy podążyc dalej, odczekaliśmy jakiś czas. Kiedy jednak odważyliśmy się w końcu przekroczyć czarne, łukowato sklepione wejście, pierwszym naszym odczuciem było rozczarowanie. W wypełnionej gruzami, ozdobionej wymyślnymi freskami krypcie, idealnym sześciacie o bokach długości około 20 stóp nie pozostał żaden współczesny przedmiot, który swym rozmiarem przykułby naszą uwagę; zaczęliśmy więc odruchowo szukać jakiegos dalszego przejścia. Ma próżno. Dopiero w chwilę potem, bystry wzrok Danfortha wypatrzył miejsce, gdzie zalegający podłogę gruz był poruszony. Oświetliliśmy je niezwłocznie promieniami obu naszych latarek i ujrzeliśmy prosty i zwyczajny widok, niemniej jednak waham się o nim opowiadać, ze względu na wnioski jakie nasuwał, na wyrównanej z grubsza stercie gruzu poniewierało się kilkanaście niewielkich, rozrzuconych w nieładzie przedmiotów, a w jednym z kątów musiała zostać rozlana spora ilość benzyny; stało się to względnie niedawno, skoro nawet na tym tak wysoko położonym superpłaskowyzu wydzielala tak silną i drażniącą woń. Innymi słowy nie mogło być to nic innego jak obozowisko, obozowisko istot, które podobnie jak my zawrócone zostały przez nieoczekiwaną blokadę drogi wiodącej do czeluści. Powiem krótko - wszystkie przedmioty pochodziły z obozu Lake'a; były tam blaszane puszki, otwarte w równie osobliwy sposób, jak te które znaleźliśmy w spustoszonej obozie, spora ilość wypalonych zapatek, trzy ilustrowane książki pokryte, w większym lub mniejszym stopniu, dziwnymi plamami i smugami, pusta butelka po atramencie z barwnym pudełkiem

zawierającym instrukcję, złamane pióro wieczne, strzępy futer i brezentu, zużyte baterie z opakowaniem, folder, który był załączony do grzejników namiotowych oraz rozrzucone, pocięte kartki. Już samo to było okropne, ale kiedy wygładziliśmy pomięte kartki papieru i ujrzelśmy co na nich widniało, wrażenie było wstrząsające. Znaleźliśmy się w samym sercu najgorszego, niewyobrażalnego koszmaru. W obozie Lake'a natknęliśmy się na pokryte tajemniczymi kleksami kartki papieru, i powinno nas to w pewnym sensie przygotować do tego znaleziska, niemniej jednak nie spodziewaliśmy się, że podobne rzeczy przyjdzie nam oglądać tu, w praludzkich kryptach koszmarnej miasta z zapomnianej przeszłości. Szok jakiego doznaliśmy był przerażający. Tego po prostu było już za wiele. Grupki kropek czy punkcików imitujące te, które widniały na zielonkawych steatytach, oraz identyczne znaki na upiornym, pięcioramiennym nagrobnym kopcu mogły być dziełem obłąkanego Gedney'a. Nic jest wykluczone, że również on sporządził te pospieszne, zdawkowe szkice jedne bardziej, inne znów mniej dokładne - z zarysami sąsiednich części miasta i wytyczoną trasą z przedstawionego kółkiem miejsca leżącego poza naszym szlakiem - miejsca, które dzięki płaskorzeźbom zidentyfikowaliśmy jako ogromną, wzniesioną w kształcie walca wieżę, oraz rozległą okrągłą czeluść, zaobserwowane przez nas z samolotu - do naszej pięcioramiennej budowli, z wejściem do tunelu. Mógł on -powtarzam - sporządzić te szkice - zostały one bowiem, z całą pewnością opracowane, podobnie jak nasza mapa, gdzieś wewnątrz lodowcowego labiryntu, na podstawie płaskorzeźb z późniejszego okresu; ale innych niż te, które my mieliśmy okazję oglądać, i z pomocy których korzystaliśmy, niemniej jednak wiedziałem, że Gedney nie miał za grosz artystycznego talentu i nie był w stanie sporządzić takich szkiców. Technika jakiej użyto była pewna, niezawodna i osobiwa - niewątpliwie wyższa mimo pośpiechu i wyraźnych niedokładności wykonania od techniki dekadentkich płaskorzeźb; łatwa do rozpoznania i charakterystyczna dla Starych Istot z okresu najwspanialszego rozkwitu tego wymarłego miasta. Są tacy, którzy stwierdzą, że Danforth i ja musieliśmy postradać rozum, że po tym wszystkim nie wzięliśmy nóg za pas aby ratować życie; tym, którzy przeczytali moją relację aż do tego miejsca, nie muszę przypominać, że nasze konkluzje wówczas były - pomimo ich szaleńczej niewiarygodności - w pełni sformułowane. Być może postradaliśmy zmysły, ale czyż nie powiedziałem, że te straszliwe wierzchołki były Górami Szałeństwa? Myślę jednak, że podobnego ducha, aczkolwiek nie w tak skrajnej formie - spotykamy u ludzi, którzy podkradają się do zabójczych drapieżników w afrykańskiej dżungli, by je sfotografować lub badać ich zwyczaje. Choć byliśmy na wpół sparaliżowani grozą, trawił nas żar zdumienia, oszołomienia i ciekawości, który na koniec zatriumfował. Mię mieliśmy naturalnie zamiaru stanąć twarzą w twarz z tym czy z tymi -o których wiedzieliśmy że tam są; czuliśmy jednak, że do tej pory musieli prawie na pewno odejść. Może odnaleźli inne, sąsiednie wejście do otchłani i tamtędy zeszli w głąb czarnej jak noc czeluści pełnej okrucich zapomnianej przeszłości, ku ostatecznej otchłani, której nigdy nie widzieli. A jeśli i to wejście było zablokowane, mogli udać się na północ w poszukiwaniu innego, nie zapominajmy, iż byli oni po części niezależni od światła. Wracając myślami do tej chwili z trudem przypominam sobie uczucia jakie nas ogarnęły. Tyle tylko że to, co nieoczekiwanie zmieniło nasze plany i spowodowało, iż obraliśmy inny cel naszej wędrówki wzmogło w nas jednocześnie nadzieje. Z całą pewnością nie mieliśmy zamiaru spotykać się z tym, co budziło w nas nieodpartą grozę - ale nie zaprzeczę iż podkradaliśmy się dalej z podświadomym pragnieniem zobaczenia pewnych rzeczy z jakiegoś dogodnego, ukrytego miejsca. W dalszym ciągu pałaliśmy chęcią ujrzenia samej otchłani; pojawił się jednak kolejny, pośredni cel - ogromny, kolisty plac widniejący na znalezionych przez nas pomiętych kartkach ze szkicami, natychmiast rozpoznaliśmy w nim monstrualną, cylindryczną wieżę, widniejącą na najwcześniejszych freskach, choć z góry wyglądała jedynie jak potworny, ogromnych rozmiarów, okrągły otwór. Jakaś tkwiąca w niej moc, bijąca nawet ze sporządzanych w pośpiechu rysunków sprawiła, że przyszły nam na myśl jej poziomy; zatopione głęboko pod powierzchnią wydawnego lodu, które wciąż jeszcze musiały stano wić osobiwość o nieznanym nam, lecz z pewnością przydatkowym znaczeniu. Może zawierała w sobie jakieś cuda architektury, których dotąd nie mieliśmy okazji oglądać. Zgodnie z płaskorzeźbami, na których była przedstawiona, jej wiek musiał być rzeczywiście nieprawdopodobny - stanowiła jedną z pierwszych budowli wzniesionych w mieście. Jej rzeźby -jeżeli tylko się za chowały - musiały przedstawiać najwyższą wartość. Co więcej jednak, owa wieża mogła stanowić istniejące po dziś dzień doskonałe połączenie z zewnętrznym światem - drogę krótszą niż ta którą obecnie szliśmy, i którą za pewne zeszli przed nami tamci. W każdym bądź razie pozostało nam jedynie przestudiować uważnie te potworne szkice - jak się okazało idealnie pokrywały się z naszymi - i zawrócić wskazanym kursem do kolistego placu; trasę tę nasi anonimowi poprzednicy musieli po konać już dwukrotnie. Kolejna brama wiodąca do otchłani powinna znajdować się za wieżą. Nie muszę opowiadać o naszej podróży - w trakcie której znaczyliśmy drogę zostawiając na ziemi strzępki podartego papieru - nie różniła się ona bowiem od poprzedniej, kiedy to zabrnęliśmy w ślepy zaułek, tyle tylko że wiodła nieco bliżej poziomemu gruntu a niekiedy nawet łączyła się z podziemnymi korytarzami budowli. Od czasu do czasu dostrzegaliśmy na gruzie czy odpadkach zalegających ziemię, osobiwe, niepokojące ślady, a kiedy znaleźliśmy się już poza zasięgiem woni benzyny ponownie poczuliśmy - spazmatycznie - ów jeszcze bardziej uporczywy i odrażający fetor. Od chwili, gdy minęliśmy rozgałęzienie dróg co pewien czas, jakby ukradkiem wodziliśmy promieniem latarki po ścianach; za każdym razem napotykał się doskonale zachowane niemal wszechobecne płaskorzeźby, które jak wszystko na to wskazywało zdawały się być podstawą twórczości Starych Istot. Po pewnym czasie, kiedy pokonywaliśmy długi, łukowato sklepiony korytarz, którego podłoga pokryta coraz grubszą warstwą lodu musiała znajdować się nieco poniżej poziomu gruntu, dostrzegliśmy przed nami silne światło płynące z zewnątrz i mogliśmy wyłączyć latarkę. Wydawało się, że dochodzimy do kolistego placu i nie możemy już być zbyt daleko od powierzchni. Korytarz kończył się zaskakująco niskim tukiem jak na te megalityczne ruiny, ale jeszcze zanim go minęliśmy, zdołaliśmy już sporo zobaczyć. Rozciągała się za nim ogromna, kolistą przestrzeń mierząca pełne 200 stóp średnicy - usłana gruzem i zawierająca wiele zatarasowanych bądź zasypanych łukowatych przejść identycznych jak to, które właśnie mieliśmy przekroczyć. Jej ściany były wspaniale rzeźbione w kształt zwiniętej spiralnie wstęgi o nieprawdopodobnych proporcjach odzwierciedlającej, mimo bezlitosnych zwierzelin spowodowanych Faktem, iż budowla ta znajdowała się bądź co bądź na otwartej przestrzeni, przepych artystyczny przekraczający swym rozmachem wszystko co mieliśmy okazję zobaczyć do tej pory. Usłana gruzem podłoga była prawie w całości pokryta grubą warstwą lodu i odnieśliśmy wrażenie, że prawdziwe dno znajduje się na znacznie większej głębokości. Ale najbardziej uderzającym obiektem na tym placu była gigantyczna, kamienna rampa - pochyłość, która mijając ostrym

skrętem na zewnątrz łukowate przejście wiła się spiralnie w górę po zdumiewającej, cylindrycznej ścianie, niczym wewnętrzny odpowiednik serpentyn, które pięły się ongiś po zewnętrznej stronie monstualnych wież czy zigguratów starożytnego Babilonu. Jedyne szybkość lotu - wprawiająca w oszołomienie - i perspektywa z jakiej obserwowaliśmy wieżę przed wylądowaniem sprawiły, że nie dostrzeżliśmy tych szczegółów z powietrza. To z kolei spowodowało, że zaczęliśmy szukać innej drogi do poziomu znajdującego się pod lodowcem. Pabodie byłby zapewne w sianie stwierdzić jakiej techniki użyto, by utrzymać tę konstrukcję w całości, ale Danfbrth i ja mogliśmy się jedynie zachwycać i wyrażać swój podziw. Zauważyliśmy wprawdzie tu i tam kamienne konsolle i filary, ale wszystkie one wydawały się nie dość mocne, niemal nieadekwatne w stosunku do powierzonych im funkcji. Całość była doskonale zachowana, aż po obecny wierzchołek wieży - szczegół godny najwyższej uwagi ze względu na to, iż szczyt budowli znajdował się na otwartej przestrzeni - jej mury zaś spisały się doskonale, jeżeli chodzi o uchronienie większości płaskorzeźb, pokrywających wnętrze budowli. Kiedy wkroczyliśmy w niepokojący półmrok spowijający dno tego olbrzymiego cylindra - niewątpliwie wie najstarszej budowli jaką ujrzeliśmy nasze oczy - z oszołomieniem stwierdziliśmy, że ściany wieży poprzecinane serpentynami kamiennej pochyłości wystrzelują w górę na wysokość dobrych 60 stóp. Oznaczało to że zewnętrzne zlodowacenie mierzy - zgodnie z dokonaniem przez nas pomiarami z powietrza - jakieś 40 stóp; krawędź ziejącej czeluści, którą widzieliśmy z wlotu samolotu, znajdowała się bowiem na dwudziestostopowej wysokości kopcu usypanym z potrzaskanych szczątków kamiennej budowli i skryta była w trzech czwartych za linią zakrzywionych półkolistych ścian, dużo wyższych i masywniejszych ruin. Wedle płaskorzeźb pierwotny wieża stała na środku rozległego, kolistego placu i mierzyła zapewne od 500 do 600 stóp wysokości. Przy jej wierzchołku znajdowały się rzędy poziomych dysków a górną krawędź okalały smukłe, spiczaste iglice. Większość zawała się raczej na zewnątrz niż do środka - co niewątpliwie było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdyż w przeciwnym razie kamienna rampa mogłaby zostać obrócona w perzynę a wnętrze wieży zablokowane. Pochyłość została jedynie mocno naruszona, podczas gdy łukowato sklepione przejście u dołu oraz zostało niedawno odgruzowane, natychmiast domyślił się, iż właśnie tą drogą zesłali na dół tamci oraz stwierdziliśmy, że będzie to zarazem najlogiczniejsza droga naszego powrotu, aczkolwiek strzępy rozrzuconego przez nas papieru pozostały w całym innych, mroczniejszych korytarzach. Wejście do wieży oraz terasowa budowla, w której rozpoczęliśmy wędrówkę, znajdowały się w tej samej odległości od pogórza na którym czekał samolot, a eksploracja znajdujących się pod lodem budowli, jaką planowaliśmy przeprowadzić jeszcze podczas obecnego rekonesansu i tak generalnie ograniczała się do tego terenu. To zadziwiające, ale nadal myśleliśmy o ewentualnych późniejszych wyprawach; na przekór temu co zobaczyliśmy na własne oczy, i czego się tylko domyślaliśmy. Kiedy jednak, nader ostrożnie, ruszyliśmy w dalszą drogę przestępując ponad zalegającymi podłożem stertami gruzu ujrzeliśmy widok, który na pewien czas usunął na drugi plan wszystkie inne sprawy. W rogu pod wystającą kamienną pochyłością, innymi słowy w miejscu, którego dotąd nie byliśmy w stanie dostrzec, stały, ustawione szeregiem, trzy pary sań. Sanie - te sanie, które zniknęły z obozu Lake'a, były mocno nadwyżone podróżą - wszystko wskazywało na to, iż bezceremonialnie, wręcz na siłę wleczono je przez rozległe połacie terenu pokryte gruzem i kamiennymi występami, a przenoszono jedynie w miejscach całkowicie nieprzejezdnych. Ładunek umieszczono na nich wyjątkowo pieczołowicie i sprytnie - cały sprzęt jaki wpakowano na sanie został skrzętnie przymocowany rzemieniami - bez trudu dostrzeżliśmy przedmioty, które doskonale pamiętaliśmy -piec benzynowy, puszkę z paliwem, pudełko z instrumentami, konserwy, jakieś przedmioty - zapewne książki owinięte czasowo w brezent, i inne opakowane już nieco luźniej, których nie zdołaliśmy zidentyfikować. Wszystko to pochodziło z obozu Lake'a. Po tym, co ujrzeliśmy wcześniej, w tamtym pomieszczeniu, byliśmy w pewnym stopniu przygotowani do tego odkrycia. Prawdziwy szok przeżyliśmy, gdy podeszliśmy by rozwiązać jedną z płacht brezentu, bowiem kształt znajdującego się pod nim ładunku dziwnie nas zaniepokoił. Wygląda na to, że tamci, podobnie jak Lake, interesowali się zbieraniem interesujących okazów - dwa z nich mieliśmy właśnie przed sobą. Leżały na saniach, zamrożone na kość, doskonale zachowane, z szyjami oklejonymi plastrem -najwyraźniej znajdowały się na nich jakieś rany - i owinięte starannie płótnem, w celu zabezpieczenia przed dalszymi uszkodzeniami. Były to zwłoki młodego Gedney'a i truchło zaginionego psa.

[<- Rozdział 8] [Początek] [Rozdział 10 ->]

Zapewne wielu ludzi uzna nas za nieczułych i szalonych, że w tej tragicznej sytuacji, po tak posępnym, makabrycznym odkryciu mogliśmy myśleć o wiodącym na północ tunelu i o otchłani. Nie powiem, że myśli takie zrodziły się w nas natychmiast, niemniej muszę dodać, iż to szczególny przypadek, oraz okoliczności w jakich się znaleźliśmy dały nam pole do całkiem nowych domysłów. Kiedy ponownie przykryliśmy brezentem zwłoki Gedney'a i staliśmy nad nim, pogrążeni w tępy, niemym oszołomieniu, doszły nas niespodziewanie jakieś dźwięki - pierwsze dźwięki, jakie usłyszeliśmy od chwili opuszczenia odkrytego terenu, gdzie z nieziemskich wyżyn dobiegało ciche zawodzenie górskiego wiatru. Mimo, iż był to zwykły i doskonale nam znany odgłos, w tym opuszczonym świecie śmierci brzmiał jeszcze bardziej nieoczekiwanie i przyprawiał o zgrozę bardziej niż jakiegokolwiek inne, fantastyczne i groteskowe tony - obracał bowiem w perzynę wszelkie nasze wyobrażenia o kosmicznej harmonii. Pobrzmiwała w nim osobliwa nuta melodyjnego, o szerokiej gamie, świergotu, o jakim w swym raporcie z sekcji wspominał Lake, i który sprawił, że spodziewaliśmy się napotkać tamtych. Dźwięk ten nasza przepracowana, nadszarpnięta gwałtownością doznawanych wrażeń wyobraźnia, zdawała się wychwytywać od chwili przybycia do koszmarnego obozu śmierci, w każdym głośniejszym zawodzeniu wiatru. Zawierał on w sobie jakąś diaboliczną zgodność z otaczającym nas, martwym od stuleci terytorium. Głos z innych epok należał do cmentarzysk innych epok. A jednak zburzył on tkwiące w nas głęboko przekonania - nasza milcząca zgodność na temat wnętrza Antarktydy. To co usłyszeliśmy, nie było antyczna nutą pogrzebanego bluźnierstwa i najczarniejszego plugastwa starszej ziemi, wręcz przeciwnie - był to dźwięk tak ironicznie i drwiąco zwyczajny, doskonale nam znany z czasów rejsu wzdłuż brzegów Ziemi Wiktorii i naszego pobytu w obozie w cieśninie Mc Murdo, że gdy usłyszeliśmy go tu, w tym mrocznym, zapomnianym od wieków miejscu, ogarnęło nas dojmujące przerażenie. Krótko mówiąc - było to pospolite, ochryple skrzeczenie pingwina. Zduszony dźwięk dochodził z

lodowcowego zapadliska, prawie naprzeciwko korytarza, którym nadeszliśmy - z okolic tunelu wiodącego ku ogromnej otchłani. Obecność żywego ptaka morskiego w takim miejscu - w świecie, którego powierzchnia była od wieków niezmieniona i pozbawiona życia mogła prowadzić tylko do jednego wniosku - tak więc pierwszą naszą reakcją była chęć weryfikacji źródła dźwięku. Odgłos powtarzał się, a niekiedy wydawało się, iż dobywa się on z kilku gardeł. Szukając owego źródła przeszliśmy przez łukowato sklepione wejście, z którego uprzątnięta została większość gruzu. Gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem płynącego z zewnątrz światła, ponownie zaczęliśmy znacząc drogę strzępami papieru, korzystając z nowych jego zapasów, które, z niebывałym wstętem i obrzydzeniem, wyciągnęliśmy z jednego z brezentowych zawiniątek na saniach. W miarę jak zlodowaciała podłoga ustępowała miejsca warstwie tryptonu, spostrzegliśmy wyraźnie pewne osobliwe, długie, ciągnące się ślady. W pewnej chwili Danfbrth dostrzegł wyraźny odcisk, którego opis byłby rzeczą absolutnie zbędną. Kierunek wskazywany przez skrzeczenie pingwina pokrywał się dokładnie ze wskazaniem mapy i kompasu i prowadził nas bezpośrednio ku północnemu wejściu do tunelu.

Z zadowoleniem przyjęliśmy fakt, iż zarówno pozbawione mostu przejście na powierzchni gruntu, jak również korytarze piwnic nie były zasypane. Początek tunelu, zgodnie z mapą powinien znajdować się w podziemiach wielkiej budowli w kształcie piramidy, którą przypominaliśmy sobie dość mgliście z obserwacji dokonanych z pokładu samolotu, jako obiekt nadzwyczaj dobrze zachowany. Światło latarki wyluskiwało z ciemności ciągnące się wzdłuż korytarza rzędy płaskorzeźb, nie zatrzymaliśmy się jednak, by poświęcić którejś z nich choć chwilę uwagi. Kiedy niespodziewanie zamajaczył przed nami gruby, biały kształt włączyliśmy drugą latarkę. Zadziwiająco, jak te nowe poszukiwania odwróciły naszą uwagę od wcześniejszych lęków przed tym, co mogło czaić się w pobliżu. Tamci, zostawiwszy swoje zapasy na ogromnym, kolistym placu planowali zapewne powrót po przeprowadzeniu rekonesansu do wejścia, lub być może nawet w głąb tajemniczej otchłani; porzuciliśmy jednak wszelką ostrożność, tak jakby w ogóle nie istnieli. Ów biały, o kaczkowatym chodzie stwór mierzył wprawdzie pełne sześć stóp wzrostu, ale natychmiast zorientowaliśmy się, że nie jest jednym z tamtych. Tamci byli więksi, ciemni a zgodnie z wizerunkami na freskach poruszali się na lądzie zdumiewająco szybko - co mogłoby kogoś zdziwić z uwagi na osobliwość ich przystosowanych do środowiska morskiego macek, nie będąc upierał się, że ów biały stwór nie napędził nam stracha, gdyż mijałoby się to z celem. Przez chwilę ogarnęło nas dojmujące, pierwotne - żeby nie powiedzieć - prymitywne przerażenie, większe nawet od najgorszego, acz w pełni uzasadnionego lęku przed tamtymi. Kiedy jednak biały kształt znikł w głębi bocznego, łukowato sklepionego wejścia po naszej lewej stronie, dołączając do dwóch innych, które wzywały go głośnym, ochryplym skrzeczeniem, poczuliśmy głębokie rozczarowanie. Był to bowiem tylko pingwin - jakkolwiek olbrzymiego, nieznanego gatunku - większy, niż najpotężniejszy ze znanych pingwinów królewskich i odrażający z uwagi na potworne połączenie albinizmu i zupełnego braku oczu, Kiedy podażyliśmy śladem stwora wchodząc w głąb łukowego przejścia i skierowaliśmy światło obu laterek na obojętną i lekceważącą nas grupkę trzech niezwykle istot ujrzeliśmy, że wszystkie one są pozbawionymi oczu albinosami z tego samego, gigantycznego gatunku. Rozmiarem przypominały pewne archaiczne pingwiny przedstawiane na płaskorzeźbach Starych Istot; doszliśmy do wniosku, że muszą pochodzić z tego samego pnia, który przetrwał dzięki wycofaniu się w cieplejsze, podziemne regiony, a nieustanny mrok pozbawił ich ciała pigmentu i spowodował regresję oczu do stanu wąskich, zgoła bezużytecznych szparek, nie wąpiliśmy ani przez chwilę, że ich obecną siedzibą jest olbrzymia otchłań, której poszukiwaliśmy, a naoczny dowód, że w rozpadlinie zachowało się ciepło i panowały warunki możliwe do utrzymania życia przepełnił nas bezgranicznym zdumieniem i zgoła mieszanymi uczuciami. Zastanawialiśmy się również co sprawiło, że świat odważyły się opuścić swoje terytoria. Spokój i cisza panująca w wielkim wymarłym świecie oraz jego stan świadczyły dobitnie, że nie było ono nigdy normalnym, sezonowym siedliskiem pingwinów; osobliwą mogła się wydawać niezwykła, wręcz ostentacyjna obojętność pingwinów na naszą obecność - wszak przechodząca przed nami grupa tamtych wyraźnie je wystraszyła. Czy to możliwe, by tamci podejmowali przeciw pingwinom jakieś wrogie działania, lub próbowali na nie polować, aby powiększyć w ten sposób swoje zapasy mięsa? Wąpiliśmy też, by ostry fetor, którego psy tak nie znosiły, mógł budzić podobną antypatię u pingwinów - przecież ich przodkowie, jak wszystko na to wskazywało, byli ze Starymi Istotami w doskonałej komitywie - i przyjacielskie stosunki musiały przetrwać w otchłani tak długo, jak długo przetrwała ostatnia flara Istota. Żałując, z typowym dla nas naukowym zapałem, że nie mogliśmy sfotografować tych niezwykle stworzeń, pozostawiliśmy je skrzeczące ochryple w załomie korytarza - i ruszyliśmy w kierunku otchłani, która - o czym byliśmy przekonani - stała przed nami otworem, i do której drogę wskazywały nam od czasu do czasu tropy pingwinów. W jakiś czas potem, opadający stromo, pozbawiony drzwi i co nader osobliwe również płaskorzeźb korytarz, powiedział nam, że zbliżamy się do wejścia do tunelu. Minęliśmy jeszcze dwa pingwiny i zaraz potem usłyszeliśmy przed sobą poskrzekiwania innych. Magle dotarliśmy do końca korytarza. U jego wylotu rozciągała się ogromnych rozmiarów otwarta przestrzeń, której widok zaparł nam dech w piersiach. Była to idealna, odwrócona półkula sięgająca najwyraźniej głęboko pod ziemię, mierząca pełne 100 stóp średnicy i 50 wysokości, z niskimi, łukowato sklepionymi szczelinami zięjącymi wzdłuż całego jej obwodu, za wyjątkiem jednego miejsca, gdzie majaczył mroczny, przypominający wejście do groty, również łukowato zaokrąglony otwór łamiący symetrię podziemia - o wysokości blisko 15 stóp. Było to wejście do ogromnej otchłani. W tej rozległej półkuli, której wklęsnięty dach był imponujący, acz w dekadentcki sposób pokryty płaskorzeźbami przedstawiającymi pierwotny nieboskłon, kołysało się na boki i dreptało kaczkowatym chodem kilka pingwinów albinosów; obcych dla tego miejsca, acz zgoła obojętnych i ślepych. Czarny tunel ział w nieskończoność stromym, opadającym stokiem a wejście do niego zdobiły groteskowo wykute framuga i nadproże. Odnieśliśmy wrażenie, że z tego tajemniczego otworu bije strumień cieplejszego powietrza, a nawet odrobina pary; i zastanawialiśmy się, jakie żywe stworzenia, poza pingwinami mogą ukrywać się w bezdennej otchłani w dole, oraz w sąsiednich poszytych dziurami niczym plaster miodu, gigantycznych górach. Zastanawialiśmy się również, czy ślad dymu bijącego ze szczytu, omyłkowo wzięty przez/ nieszczęsnego Lake'a za przejaw aktywności wulkanicznej - jak również dziwna, zaobserwowana przez nas mgła, płożąca się wokół zwieńczonego kamiennymi wałami górskiego szczytu, nie pochodziły przypadkiem z krętych kanałów przenoszących jakieś bliżej nieokreślone opary z niezgłęzionych czeluści wnętrza ziemi. Wkraczając do tunelu spostrzegliśmy, że jego wymiary - przynajmniej na początku - wynoszą około 15 stóp

w każdą stronę, a ściany, podłóże i łukowate sklepienie stanowią typową kamienną formację. Ściany były z rzadka ozdobione wolutami o konwencjonalnym wzorze z późniejszego, dekadentckiego okresu; a wszystko rażem - konstrukcje i rzeźbienia - były doskonale zachowane. Podłoga była prawie czysta, za wyjątkiem niewielkiej ilości tryptonu z widniejącymi w nim śladami wychodzących z tunelu pingwinów oraz skierowanym w głąb czeluści tropem pozostawionym przez tamtych. Im głębiej się posuwaliśmy, tym stawało się cieplej i niebawem byliśmy zmuszeni porzucić guziki na naszej grubej, futrzanej odzieży. Zastanawialiśmy się, czy gdzieś tam w czeluści zachodzą jakieś procesy wulkaniczne i czy wody tego pozbawionego słońca morza są gorące, niebawem kamienna formacja ustąpiła miejsca litej skale, ale tunel zachował swoje proporcje i regularność. Miejscami było tak stromo, że w podłożu wykute były wgłębienia, przywodzące na myśl stopnie. Zauważyliśmy kilkanaście niewielkich, bocznych galeryjek, nie figurujących na naszych wykresach; żadna z odnóg nie była jednak dość duża, aby pomieścić nam szyki i zakłócić orientację w drodze powrotnej - wszystkie natomiast oferowały możliwość ucieczki w przypadku napotkania jakichś niepożądanych, opuszczających czeluść istot. Odrażający fetor tych stworzeń był bardzo wyraźny. Bez wątpienia zapuszczanie się w tunel w wiadomych okolicznościach granoczyło z samobójczą głupotą, ale dla niektórych ludzi urok niezgłębionego jest silniejszy od wszelkich potencjalnych zagrożeń; ten właśnie urok, w pierwszym rzędzie, przywiódł nas na to nieziemskie, polarne pustkowie. Idąc minęliśmy kilka pingwinów i zastanawialiśmy się, jak długą drogę mamy jeszcze przed sobą. Na podstawie informacji zawartych na płaskorzeźbach oszacowaliśmy, że od otchłani dzieli nas mila marszu, opadającym stromo korytarzem, ale wcześniejsze wędrówki i błędzenie po wymarłym świecie nauczyły nas, że skala na freskach nie była zbyt wiarygodna. Po przejściu około jednej czwartej mili odrażający fetor przybrał wyraźnie na sile, i z uwagą śledziliśmy mijane, boczne otwory, nie widzieliśmy tu mglistych oparów, jak przy wejściu, ale niewątpliwie wynikało to z braku kontrastowego, chłodniejszego powietrza. Temperatura raptownie się podniosła i wcale się nie zdziwiliśmy, gdy natrafiliśmy na bezładny stos przerażająco dla nas znajomych rzeczy. Była to sterta futer i płacht namiotowych zabranych z obozu Lake'a; przeszliśmy obok nich, nie tracąc ani chwili na przyjrzenie się dziwnym kształtom w jakie zostały pocięte, nieco dalej stwierdziliśmy, że ilość i rozmiar bocznych odnóg tunelu powiększa się; wszystko wskazywało na to, iż dotarliśmy właśnie do podziurawionego jak sito - albo plaster miodu - rejonu pod wyższymi partiami pogórza. Odrażający fetor mieszał się teraz z inną, nie mniej paskudną wonią, której źródła nie potrafiliśmy zidentyfikować; sądziliśmy, iż jest to smród gnijących organizmów, lub jakichś nieznanymi, podziemnymi grzybów, i wówczas doszliśmy do rozszerzenia - choć płaskorzeźby niczego takiego nie sugerowały - w miejscu tym tunel się rozszerzał, zmieniając się w wysoką, z wyglądu naturalną, eliptyczną jaskinię o gładkim podłożu. Mierzyła ona około 75 stóp długości i 50 szerokości. Odchodziło od niej wiele ogromnych, bocznych korytarzy wiodących w tajemniczą ciemność. Chociaż jaskinia sprawiała wrażenie naturalnej, bliższe oględziny przy użyciu latarek potwierdziły, iż została utworzona przez sztuczne wyburzenie kilku ścian pomiędzy sąsiednimi komorami. Ściany były nierówne i wysokie, z łukowato sklepionego sufitu zwieszały się stalaktyty, niemniej jednak podłóże zostało wygładzone z gruzu, a nawet kurzu, który to fakt wydał się nam wręcz nienaturalny. Za wyjątkiem korytarza, którym tu dotarliśmy, podłóże we wszystkich tunelach bocznych wychodzących z tego pomieszczenia wyglądało dokładnie tak samo. Na próżno jednak staraliśmy się wyjaśnić powody takiego stanu, nowy, dziwny smród mieszący się z poprzednim, odrażającym fetorem był tu wyjątkowo silny; do tego stopnia, że zupełnie zabijał ten drugi. Całe to miejsce z wypolerowaną, wręcz lśniąca posadzką wprawiło nas w jeszcze większe zaskoczenie, zdumienie i przerażenie, niż wszystko co mieliśmy okazję ujrzeć do tej pory. Regularność tunelu znajdującego się na wprost nas, jak również większa ilość widocznych tam pingwinich odchodów, nie pozwoliły nam na zmylenie drogi i wybranie niewłaściwego, spośród wielu znajdujących się tu korytarzy. Pomimo to, na wypadek jakichś nieprzewidzianych komplikacji zdecydowaliśmy się wznowić oznaczenie przemierzanej przez nas trasy strzępami podartego papieru; nie mogliśmy już bowiem liczyć na podążanie za śladami pozostawionymi w kurzu i gruzie. Posuwając się naprzód omiataliśmy promieniami latarek ściany tunelu - i nagle aż przystanęliśmy ze zdumienia na widok nadzwyczajnej zmiany, jaka w tej części pasaży zaszła, w płaskorzeźbach. Zdawali sobie oczywiście sprawę ze stopnia dekadencji rzeźb Starych Istot w czasach, gdy powstawał ten tunel, i zwróciliśmy uwagę, że arabeski na odcinkach korytarza, które zostawiliśmy za sobą, wykonane były z o wiele mniejszym pietyzmem i wykwiutnością, niż poprzednie. Teraz jednak, w głębszych partiach tunelu, tuż za jaskinią, nastąpiła nagła zmiana, niemożliwa po prostu do wytłumaczenia - różnica zarówno w formie i w jakości, pociągająca za sobą gwałtowną i całkowitą degradację kunsztu twórczego, choć w zaobserwowanych przez nas dotychczas symptomach schyłku nic nie wskazywało na aż tak radykalną zmianę. Ta nowa, zdegenerowana sztuka była ordynarna, prostacka i całkowicie pozbawiona subtelności szczegółów. Płaskorzeźby wpuszczone były na przesadną głębokość we wstęgi, choć generalnie zachowały tę samą linię, co niezbyt gęsto rozsiane woluty we wcześniejszych partiach; reliefy nie zajmowały już jednak całej powierzchni ścian. Danforth wysunął tezę, że mogły to być rzeźby wtórne - rodzaj palimpsestów stworzonych po usunięciu poprzedniego wzoru, nie ulegało wątpliwości, iż pełniły one rolę czysto dekoracyjną i konwencjonalną; składały się z prymitywnych spiral i kanciastych figur, które nie dorównywały opartym na bazie piątki matematycznym układom zdobniczych fresków preferowanym przez Stare Istoty i wydawały się raczej ich mierną parodią, niż próbą podtrzymywania gasnącej tradycji. Mię mogliśmy pozbyć się myśli, że do kryjących się za techniką wrażeń estetycznych dodano jakiś drobny, acz uderzający obcy element i zdaniem Danforth'a to właśnie on był odpowiedzialny za ten nieudolny substytut. Freski były zarazem zbliżone i całkowicie niepodobne do tego, co określaliśmy mianem stylu Starych Istot. Tamci również zwrócili uwagę na wstęgę płaskorzeźb; świadczyła o tym zużyta bateria od flesza leżąca na podłodze przy jednej z najbardziej charakterystycznych wolut. Ponieważ nie mogliśmy poświęcić więcej czasu na ich zbadanie, po pobieżnym tylko przyjrzeniu się freskom ruszyliśmy w dalszą drogę, niemniej jednak co pewien czas omiataliśmy ściany światłem latarek, by przekonać się czy w formie i wykonaniu płaskorzeźb nie nastąpiły dalsze, radykalne zmiany. Mię zauważyliśmy żadnych, poza tym, że freski pojawiały się teraz bardzo rzadko, ze względu na sporą ilość wykutych w ścianach bocznych tuneli o wygładzonych posadzkach. Zobaczyliśmy i usłyszeliśmy tylko kilka pingwinów, aczkolwiek wydawało się nam, że z oddali, gdzieś głęboko w czeluściach ziemi dobiega słabe, lecz uchwytnie skrzeczenie całego ich chóru. Mowy i niemożliwy do zidentyfikowania obór był teraz przeraźliwie intensywny, a jakby tego było mało, powrócił słaby, choć wyczuwalny pierwszy z tajemniczych fetorów. Klęby pary przed nami świadczyły o rosnącej różnicy

temperatur, domyśliliśmy się, że nie znające widoku słońca klify mrocznego morza na dnie wielkiej otchłani muszą być już niedaleko. I właśnie wtedy, całkiem niespodziewanie ujrzeliśmy jakieś obiekty leżące na wypolerowanej, gładkiej posadzce przed nami, obiekty, które z całą pewnością nie były pingwinami, i gdy upewniliśmy się że są kompletnie nieruchome, oświetliliśmy je promieniami obu naszych latarek.

[<- Rozdział 9] [Początek] [Rozdział 11 ->]

11

I znów dochodzę do punktu, w którym jest mi bardzo ciężko mówić. Wprawdzie na tym etapie powinienem być już uodporniony, ale pewne doznania, implikacje i rzeczy które widziałem, poczyniły w moim wnętrzu zbyt wielkie spustoszenie, abym potrafił je jakoś zaleczyć; osiągnąłem tak wysoki stopień wrażliwości, że byle wspomnienie ponownie wzbudza we mnie dojmującą grozę tamtych chwil. Jak już mówiłem ujrzeliśmy jakieś obiekty leżące na wprost nas na wypolerowanej podłodze, i mogę tylko dodać, że niemal jednocześnie w nasze omdrza uderzył niezwykle intensywny smród, wymieszany wyraźnie z odrażającym fetorem tamtych, którzy stąd odeszli. Światło drugiej latarki rozproszyło wszelkie wątpliwości, co do owych tajemniczych obiektów i odważyliśmy się do nich podejść tylko dlatego, że już z daleka widać było iż są równie martwe, jak sześć identycznych okazów wydobytych z monstualnych, ozdobionych kopcami w kształcie gwiazdy grobów w obozowisku nieszczęsnego Lake'a. Były równie niekompletne jak większość tych, które odkopaliśmy, ale sporej wielkości kałuża ciemnozielonej cieczy rozlewająca się wokół nich świadczyła dobitnie, iż ich ciała zostały uszkodzone całkiem niedawno. Było ich cztery, podczas gdy, zgodnie z biuletynem Lake'a, powinno leżeć ich przed nami osiem. Odnalezienie zwłok w takim stanie kompletnie nas zaskoczyło i zastanawialiśmy się jaka potworna walka musiała rozegrać się w tych ciemnościach. Czy pingwiny, broniąc się, bądź atakując, zadawały dziobami tak potężne ciosy? Czyżby tamci zakłócając spokój tego miejsca ściągali na siebie morderczy pościg? Widząc leżące przed nami stwory trudno było w to uwierzyć, gdyż dzioby pingwinów były za słabe by poczynić tak straszliwe uszkodzenie w twardej skórze, którą nawet Lakę podczas sekcji ciał z najwyższym trudem. Ponadto olbrzymie, ślepe ptaki, które mieliśmy okazję widzieć sprawiały wrażenie nastawionych nad wyraz pokojowo. A może rozegrała się tutaj walka pomiędzy tamtymi, a odpowiedzialność za całe zajście ponosiły cztery brakujące okazy? Jeżeli tak, to gdzie teraz były? Czy znajdowały się gdzieś w pobliżu, stanowiąc dla nas bezpośrednie zagrożenie? Powoli i niechętnie, zbliżając się do martwych stworów czujnie i z niepokojem obserwowaliśmy mijane, boczne korytarze. Walka jaka miała tu miejsce musiała nielicho przerazić pingwiny skoro zmusiła je do nietypowego dla nich włączenia się po korytarzach. Musiało się to zatem wydarzyć w pobliżu kolonii, której odgłosy jeszcze niedawno dobiegały nas z niezmiernej otchłani, nic bowiem nie wskazywało, aby gnieździły się tu normalne jakieś ptaki. Walka musiała być krótka i zacięta, a jeśli chodziło o jej przebieg domyśliliśmy się, że słabsza grupa wracająca najprawdopodobniej do ukrytych sań została napadnięta i bezlitośnie wybita przez drugą, silniejszą, prowadzącą jej śladem. Można sobie tylko wyobrazić jak wyglądało owo demoniczne starcie między potwornymi, bezimiennymi istotami wypływającymi z czarnej otchłani, otoczonymi przez stado rozszalałych, skrzeczących, pierzchających w popłochu pingwinów. Powiedziałem, że zbliżyliśmy się do leżących na kamiennej posadzce stworów powoli i z wahaniem. Na Boga, gdybyśmy zamiast do nich podejść, zdecydowali się wówczas wziąć nogi za pas i uciec jak najszybciej z tego bluźnierczego tunelu o śliskiej, gładkiej podłodze i ze zdegenerowanymi, odrażającymi freskami naśladującymi szyderczo usunięte dzieła - uciec, nim zobaczyliśmy to co zobaczyliśmy, nim w naszą pamięć wryło się coś, po czym nigdy już nie odetchniemy swobodnie pełną piersią. Skierowaliśmy promienie obu latarek na spoczywające na ziemi obiekty i natychmiast zwróciliśmy uwagę na wspólny element ich niekompletności. Zmasakrowane, porozrywane, zgniecione i powykręcane, i przebite na wylot ciała co do jednego były zdekapitowane. Każda z przypominających kształtem rozgwiazdę głów została odcięta. Kiedy podeszliśmy jeszcze bliżej, dostrzegliśmy że głowy nie tyle odcięto co raczej oderwano lub wyssano. Ohydna, ciemnozielona posoka tworzyła dużą, rozlewającą się kałużę, ale jej odór był częściowo tłumiony przez inną woń, znacznie ostrzejszą w tym miejscu niż gdziekolwiek indziej podczas naszej wędrówki. Dopiero gdy znaleźliśmy się naprawdę blisko spoczywających na ziemi martwych stworzeń, zrozumieliśmy skąd brał się ten drugi, niewytłumaczalny fetor; i wtedy właśnie Danforth -przypominając sobie najwidoczniej pewne nader wyraziste płaskorzeźby dotyczące historii Starych Istot, powstałe w okresie permu, 1.5 miliona lat temu - wydał przeciągły, przeraźliwy okrzyk, który odbił się historycznym echem pośród łukowato sklepionego, archaicznego tunelu o ścianach ozdobionych przepojonymi ziemią freskami. Ja też o mało nie krzyknąłem - podobnie bowiem jak on widziałem te pierwotne płaskorzeźby i z dreszczem grozy podziwiałem sposób w jaki bezimienny artysta przedstawił powaloną, okaleczoną, pokrytą warstwą ohydneho śluzu Starą Istotę - Starą Istotę, którą podczas wielkiej wojny ze zbuntowanymi niewolnikami, plugawą, przerażającą Shoggothy zabiły w charakterystyczny i upiorny sposób - a mianowicie - wysysając głowę. Były to potworne i odrażające rzeźby, pomimo iż opowiadały o pradawnych minionych już rzeczach; Shoggothy bowiem, i ich dzieło nie powinny być oglądane przez ludzi, ani w jakikolwiek sposób przedstawiane. Szalony autor "Necronomiconu" nerwowo zaklinał się, że żadna z tych istot nie zrodziła się naprawdę na tej planecie, lęgnąc się wyłącznie w snach ludzi używających pewnych odmian narkotyków. Pozbawiona formy protoplazma potrafiąca naśladować i przybierać wszelkie kształty, organy i postępowanie - kleiste zlepki pęczniących komórek nieskoncznie plastyczne i ciągliwie jak guma piętnast stopowe, steroidy - niewolnicy siły sugestii, budowniczości miast - coraz bardziej posępni, coraz bardziej ineligentni, coiaz bardziej naśladowczy... istoty ziemnowodne... Wielki Boże! Jakiż obłąd nakłonił bluźniercze Stare istoty do stworzenia i wykorzystywania takich niewolników? I teraz, kiedy ujrzeliśmy świeży, lśniący, opalizujący czarny śluz przylegający grubym kożuchem do tych bezgłowych ciał, roztaczający wokoło obsceniczny, nowy nieznaný odór, pochodzący ze źródła, które jedynie chora wyobraźnia byłaby w stanie zidentyfikować, śluz przylegający do tych ciał i skrzący się na gładkich partiach przekłętej, pokrytej powtórnie freskami ściany znajomy mi układami punkcików - poznaliśmy czym jest głębia prawdziwego, dojmującego, przenikającego do szpiku kości, kosmicznego przerażenia, nie był to strach przed czwórka tamtych - zbyt dobrze zdawaliśmy sobie sprawę, że nikomu nie mogli już zaszkodzić. Biedacy! W gruncie rzeczy wcale nie byli źli. Byli ludźmi innymi czasów innego

porządku rzeczy. Natura okrutnie sobie z nich zakpiła, co zresztą czeka każdego, komu ludzkie szaleństwo, nieczułość czy okrucieństwo każą w przyszłości kopać na tym odrażająco martwym lub może tylko uśpionym polarnym pustkowiu. Ich powrót do domu za kończył się tragicznie, nie byli również dzikusami czy barbarzyńcami - cóż bowiem uczynili: Co przeżyli? straszliwe przebudzenie w zimnie nieznannej epoki - atak futrzastych, ujadających jak oszalałe czworonogów, a oni, oszołomieni i zaskoczeni musieli się bronić; jednocześnie pojawiają się szalone, białe małpy w dziwacznym ubraniach i z dziwnymi przedmiotami... nieszczęsny Lake, nieszczęsny Gedney... i nieszczęsne Stare Istoty! naukowcy do końca - czyż zrobili coś, czego my nie uczynilibyśmy na ich miejscu? Boże, cóż za inteligencja i wytrwałość! Staliśmy w obliczu niewiarygodnego; podobnie jak nasi jaskiniowi krewniacy i przodkowie stanęli ongiś, oko w oko z czymś niewiele mniej niewiarygodnym! Promienniki, rośliny, monstra, gwiazdny pomiot - czymkolwiek by nie byli, byli ludźmi! Przeszli przez łańcuch oblodzonych górskich szczytów, na zboczach których dawno temu stały ich świątynie, miejsca modlitwy. Odnaleźli swe wymarłe, przekłete miasto i podobnie jak my starali się, na podstawie płaskorzeźb poznać jego późniejsze dzieje. Usiłowali dotrzeć do swych żywych towarzyszy w legendarnych mrocznych głębinach, których nigdy nie widzieli i co odkryli? Obaj odśleliśmy dokładnie o tym samym, gdy wodził się wzrokiem od bezgłowych, pokrytych śluzem kadłubów, po odrażające płaskorzeźby i diaboliczne grupy punkcików świeżego śluzu, patrzyliśmy i zrozumieliśmy co musiało zwyciężyć i przetrwać tam, na dole, w gigantycznym podwodnym mieście pogrążonej w mrokach nocy, strzeżonej przez pingwiny otchłani, skąd obecnie, jakby w odpowiedzi na histeryczny wrzask Danfortha zaczynały buchać złowieszcze, sinobiałe kłęby gęstej mgły. Szok wywołany widokiem tego potwornego śluzu i bezgłowych ciał zmroził nas i sialiśmy niczym dwa nieme nieruchome posągi - dopiero w trakcie późniejszych rozmów skonstatowaliśmy, że nasze myśli biegnęły wówczas tym samym torem. Wydawało się, że staliśmy tak całe wieki, w rzeczywistości jednak nic trwało to dłużej niż 10-15 sekund, nienawistna, złowroga biała mgła, kłębiąc się parła do przodu jakby pchana sunącą za nią ogromną, bezimienną masą; i wówczas dał się słyszeć dźwięk, który obrócił w niwecz wszelkie nasze wcześniejsze ustalenia a jednocześnie przełamał wiążący nas czar i czym prędzej rzuciliśmy się do ucieczki, gnaliśmy co sił w nogach, jak opętani, mijając w drodze powrotnej do miasta, stadka skrzeczących, skonfundowanych pingwinów; pędziliśmy - przez zatopione w lodzie, megalityczne korytarze ku wielkiemu otwartemu placowi, stamtąd zaś w górę po pochyłości kamiennej rampy, ku normalnej zewnętrznej przestrzeni i słonecznemu światłu, nowy dźwięk, jak już wspomniałem obrócił w niwecz wszelkie nasze wcześniejsze ustalenia, ponieważ na podstawie sekcji przeprowadzonej przez nieżyjącego już Lake'a sądziliśmy, że stwory są martwe. Danforth wyznał mi później, iż dźwięk ów był identyczny jak ten, który aczkolwiek bardzo niewyraźny, zdołał usłyszeć dobiegający zza rogu jednej z wąskich alejek, po wyżej poziom lodowca; szokująco przypominał świst wiatru w pobliżu wysoko położonych górskich jaskiń. Ryzykując, że zabrzmi to dziecinnie dodam jeszcze jedno, gdyż w zadziwiający sposób wrażenia Danforth'a pokrywają się z moimi. Oczywiście mogły mieć na to wpływ nasze wspólne lektury, niemniej Danforth wspominał o nieokreślonych, zakazanych źródłach, do których mógł mieć dostęp Poe, kiedy sto lat temu pisał "Artruna Gordona Pyma". Należy pamiętać, iż w tej fantastycznej opowieści występuje, w związku z Antarktydą, słowo o nieznanym acz złowrogim znaczeniu wykrzykiwane skrzeczącym głosem przez gigantyczne, upiorne śnieżne ptaki żyjące w samym sercu tej złowieszczej, mrocznej krainy:

"Tekeli - li! Tekeli - li!" Muszę stwierdzić, iż był to dokładnie ten sam dźwięk, który usłyszeliśmy nieoczekiwanie, dobiegający spoza sunącej w naszym kierunku ściany białej mgły - zdradziecki, melodyjny świergot o nader osobliwej gamie. Zanim rozległy się trzy pierwsze tony czy sylaby, obaj wzięliśmy już nogi za pas - choć wiedzieliśmy, że Stare Istoty, te które przeżyły i zostały zaalarmowane naszym wrzaskiem potrafią poruszać się na lądzie tak szybko, że gdyby tego chciały mogłyby dogonić nas w jednej chwili. Mieliśmy jednak słabą nadzieję, że nieagresywne zachowanie i przejawy rozumnego postępowania mogą sprawić, że w przypadku po chwyceniu przez Istoty zostaniemy oszczędzeni, choćby nawet z czysto naukowej ciekawości i. Ponadto, jeśli tam ci nie będą mieli podstaw, by obawiać się o własne bezpieczeństwo to teoretycznie i nam nie powinni wyrządzić krzywdy. Ponieważ w tej sytuacji ukrywanie się byłoby rzeczą daremną, zapaliliśmy latarkę by omieść jej światłem korytarz za naszymi plecami. Zauważyliśmy, że mgła zaczęła rzednąć. Czy ujrzymy w końcu całego i żywego przedstawiciela gatunku tamtych;' Ponownie dobiegł nas ów zdradliwy, melodyjny świergot: "Tckcii - li! Tckcii - li!" Stwierdziliśmy, że dystansujemy naszego prześladowcę, doszliśmy do wniosku, że istota może być ranna, nie mogliśmy jednak ryzykować, było bowiem rzeczą oczywistą, że owo coś poczęło się do nas zbliżać w odpowiedzi na przeraźliwy krzyk Danforth'a, nie zaś dlatego, że ściagało je jakieś inne stworzenie. Mię mieliśmy jednak czasu, by rozstrzygnąć jakiegokolwiek wątpliwości. Mię byliśmy w stanie określić, gdzie znajdował się obecnie drugi z przerażających, nienazwanych, niepojętych koszmarów - la cuchnąca, plugawa góra rzygającej śluzem protoplazmy której nie widzieliśmy, a której rasa podbiła otchłani i posłała na ląd pionierów, by ponownie osiedlili się w wydrążonych w trzewiach goi tunelach.

Z prawdziwie wielkim bólem zostawiliśmy również tę -najprawdopodobniej okaleczoną starą Istotę - być może ostatnią, która przetrwała - skazaną niechybnie na po wtórne schwytnie i okropny koniec. Dzięki niebiosom, że nic zwołaliśmy tempa ucieczki. Kłębiąca się mgła ponownie zgęstniała i ruszyła do przodu z narastającą prędkością. Stadka pingwinów, wędrujące korytarzami daleko w tyle zaczęły nagle głośno skrzeczeć, wykazując ewidentne oznaki paniki; co było nader zadziwiające, gdy je bowiem mijaliśmy zachowywały się zupełnie spokojnie. Ponownie rozległ się ów złowrogi, o szerokiej (lamie, melodyjny, piskliwy świergot: "Tekli - li.' Tekli -li!" Myliliśmy się. Stwór nie był ranny; \m prosili przystanął, napotykając na drodze ciała swoich martwych krewniaków i widniejące na ścianach ponad nimi, piekielne inskrypcje. nigdy się nic dowiemy jaka była ich treść, ale wygląd cmentarnych kopców w obozie Lake'a uświadomił nam, jak wielką wagę przykładały Stare Istoty do pochówku i oddania należytej czci zmarłym. W świetle, lekkomyślnie przez nas nic gaszonej latarki ujrzyliśmy przed sobą ogromne wejście do pieczary, gdzie zbierały się nitki licznych, pomniejszych lunęli, i byliśmy naprawdę radzi, że zostawiamy za sobą te makabryczne, odrażające freski, których obecność wyczuwalibyśmy, nawet ich nie widząc. Kolejną myślą jaka wzbudził w nas widok wejścia do jaskini było zmylić pościg w labiryncie mniejszych, bocznych korytarzy. Na otwartej przestrzeni natknęliśmy się na kilkanaście ślepych pingwinów albinosów, które

wyglądały na śmiertelnie przerażone tajemnicza, zmierzająca również w ich kierunku istota. Gdybyśmy w tym momencie przygasili latarkę i świecili nią wyłącznie przed sobą to zamęt panujący wśród pingwinów i ich głośne skrzeczenie, w połączeniu z mgłą, mogłyby stłumić odgłos kroków, myląc trop i rzeczywisty kierunek naszej ucieczki. Pośród kłębiących się zaciekle oparów mgły - spowijających pokryta odpadkami i gruzem, nie uprzątnięta już podłoga w głównym tunelu, różniące się diametralnie wyglądem od pozostałych, dalszych korytarzy - z trudem można było cokolwiek dostrzec i sadziliśmy, że nawet Stare Istoty, pomimo iż dysponujące bliżej nie sprecyzowanym, dodatkowym zmysłem, dzięki któremu były w znacznym stopniu uniezależnione od światła, powinny mieć kłopoty z wypatrzaniem nas. Prawdę mówiąc obawialiśmy się nieco, abyśmy w pośpiechu nic zgubili drogi, dlatego też postanowiliśmy podążać dalej korytarzem wiodącym do wymarłego miasta; o skutkach zagubienia się w labiryncie nieznanych pod ziemnych tuneli woleliśmy nawet nie myśleć. Jak i, że pozostaliśmy przy życiu i wydostaliśmy się na zewnątrz jest dostatecznym dowodem, że stwór wybrał niewłaściwy korytarz, podczas gdy my, dzięki łasce opatrności, trafiliśmy na dobry. Same pingwiny nie mogły nas uchronić, ale w połączeniu z mgłą przyczyniły się znacznie do naszego wybawienia. Tylko dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu we właściwym momencie opary były dostatecznie gęste, bowiem tuman mgły nieustannie falował i praktycznie w każdej chwili mógł się przerzedzić. Mgła rzeczywistość rozrzedziła się na krótką chwilę, tuz przed tym jak wydostaliśmy się z odrażającego, pokrytego plugawymi freskami tunelu i wbiegliśmy do jaskini; wtedy to po raz ostatni spojrzeliśmy trwożliwie za siebie i przez ułamek sekundy, właściwie mgnienie oka, dostrzegliśmy podążającą naszym śladem istotę, a w chwilę później przygasiliśmy latarkę i wmieszaliśmy się między pingwiny, w nadziei że w ten sposób uda się nam zmylić pogoń. Jeżeli los, który pozwolił nam skutecznie ukryć się przed prześladowcą okazał się dla nas łaskawy, obraz jaki ujrzeliśmy przez tę krótką chwilę, oglądając się za siebie z pewnością taki nie był - widok ten bowiem przepełnił nasze wnętrza grozą, od której nigdy nie będzie nam dane się uwolnić. Powodem dla którego się obejrzeliśmy był odwieczny instynkt ściganego, który pragnie ocenić kto go ściga i jakim podąża tropem. Możliwe również, iż była to spontaniczna próba odpowiedzi na pytanie z podświadomych pytań zadawanych przez nasze zmysły. Biegając przed siebie koncentrowaliśmy się wyłącznie na problemie ucieczki - nie byliśmy w stanie zająć się drobiazgową obserwacją i analizą szczegółów, niemniej jednak jakieś komórki wewnątrz naszych mózgów musiały zostać zaalarmowane przez nasz węch. Dopiero później uświadomiliśmy sobie co to było - pomimo iż oddalaliśmy się od warstwy cuchnącego śluzu, spowijającego zwłoki bezgłowych Istot, wbrew nasuwającej się logice nie nastąpiła nawet najmniejsza zmiana wyczuwalnych w powietrzu woni. W pobliżu uśmierconych stworów dominował ów nowy i niewytłumaczalny fetor - ale po pokonaniu przez nas tak sporego, bądź co bądź dystansu powinien już dawno ustąpić miejsca odrażającej woni towarzyszącej tamtym. Tak jednak nie było - zamiast tego w powietrzu roztaczał się jeszcze bardziej nieznośny odór, z każdą sekundą bardziej jadowity i natarczywy. Obejrzeliśmy się zatem równocześnie, a gdy kłęby mgły opadły skierowaliśmy w tę stronę obie latarki nastawione na pełną moc; kierowała nami w tej chwili zarówno prymitywna chęć zobaczenia możliwie jak największej, ale i równe spontaniczne pragnienie zmylenia istoty, polem bowiem zamierzaliśmy przygasić latarki i skryć się wśród pingwinów, wewnątrz rozciągającego się na wprost nas głównego korytarza labiryntu. Cóż za fatalny błąd! Ani Orfeusz, ani nawet żona Lota nie mogli zapłacić bardziej słonej ceny za obejrzenie się za siebie. Ponownie usłyszeliśmy to szokujące, melodyjne, świergotliwe zawodzenie: "Tekeli - li! Tekeli - li!" Powiem otwarcie - nawet jeśli wcale nie uśmiecha mi się o tym mówić - o tym co wówczas ujrzeliśmy; jakkolwiek w owej chwili czuliśmy, że nie wolno nam przyznać się do tego nawet pomiędzy sobą. Słowa jakie dotrą do czytelnika nie są w stanie oddać całej potworności tego widoku. Sparaliżował on naszą świadomość do tego stopnia, że dziwię się iż pozostało w nas tyle jeszcze rozsądku by -jak planowaliśmy - przygasić latarki i ruszyć właściwym tunelem w kierunku wymarłego miasta. Musiał nami kierować wyłącznie instynkt, ale spisał się chyba lepiej niż uczyniłby to zdrowy rozsądek, I jakkolwiek to nas uratowało, cena jaką przyszło nam zapłacić była bardzo wysoka. Z naszego zdrowego rozsądku nie pozostało bowiem zbyt wiele. Danforth był kompletnie roztrzęsiony; pierwszą rzeczą jaką sobie przypominam z dalszej naszej wędrówki był jego monotony, histeryczny śpiew, w którym jedynie ja, spośród wszystkich innych ludzi na całym świecie, mogłem wychwycić, coś więcej niż bezsensowny bełkot szaleńca. Niósł się on upiornym falsetem pośród okropnego skrzeczenia pingwinów, rozbrzmiewał gromkim echem wśród kamiennych ścian rozciągającego się na wprost nas korytarza i - Bogu niech będą dzięki - puste go już tunelu za nami. Mię mógł zacząć swego przeciągłego zawodzenia od razu - skończyłoby się to bowiem dla nas tragicznie i nie moglibyśmy podjąć naszej szaleńczej ucieczki na oślep. Wzdrygam się na myśl, co by się stało, gdyby jego nerwowa reakcja miała dużo szybciej uwalniać się z przębieg. South Station... Washington... Park Street... Kendall... Central... Harvard... Nieszczęsny chłopak wyśpiewywał na całe ganiło nazwy znajomych stacji tunelu kolei podziemnej Boston - Cambridge, który wydrążono głęboko pod ziemią, na terytorium naszej ojczystej Nowej Anglii, tysiące mil stąd. Brzmiało w nim ślepe przerażenie i bez trudu dostrzegłem potworną złowrogą analogię, którą sugerował ten śpiew. To, co zobaczyliśmy było czymś wykraczającym poza nasze oczekiwania, jak i bezgranicznie bardziej odrażającym i plugawym. Stanowiło absolutną i przerażającą realną apoteozę stworzonej przez autora powieści Fantastycznych "istoty która nie powinna istnieć"; jego najbliższą zrozumiałą analogią jest ogromny, wjeżdżający na stację pociąg miejskiego metra, widziany z peronu - wielki, czarny front wyłaniający się z bezkresnej, podziemnej dali upstrzony światłami o dziwnych barwach i wypełniający gigantyczny otwór tunelu jak tłok wypełnia cylinder. Tyle tylko, że my nie znajdowaliśmy się na peronie. Sialiśmy na drodze tej koszarnej, plastycznej, giętkiej kolumny cuchnącej, opalizującej czerni, która z nieprawdopodobną prędkością przelewała się naprzód, nieomal dotykając kamiennych ścian korytarza i tocząc przed sobą spirale gęstniejących na nowo mgieł z podziemnych otchłani. By) to przerażając 'v, niemożliwy do opisanego stwór, większy niż jakikolwiek pociąg przemierzający tunele metra - bezkształtna masa zbitych grud protoplazmy emanująca niezbyt silny poblask, obdarzona setkami oczu w kształcie bąbli zielonkawego światła, formujących się i zanikających, rozsianych 11.1 całej przedniej powierzchni stwora wypełniającej od ściany do ściany wnętrza korytarza. Pełną po błyszczącej podłodze, którą on i jego gatunek tak dokładnie oczyścili z zalegających ją gruzów, odpadków i kurzu, toczył się w naszą stronę, miażdżąc oszalełe pingwiny. W dalszym ciągu słyszeliśmy przeciągły, parkerzy krzyk:

"Tekeli - li! Tckcii - li!"

i nagle przypomniał mi się, że demoniczne Shoggothy, obdarzone przez Stare Istoty życiem i myślą nie posługiwały się żadnym językiem, za wyjątkiem tego co wyrażały poprzez znane już nam układy punkcików czy kropek i były zasadniczo nieme - jeżeli nie liczyć umiejętności naśladowania głosu ich dawnych władców.

[<- Rozdział 10] [Początek] [Rozdział 12 ->]

12

Pamiętamy wejście do olbrzymiej, ozdobionej freskami półkuli i drogę powrotną przez gigantyczne komnaty i korytarze wymarłego miasta - są to jednak wspomnienia nader mgliste, jak ze snu, pozbawione odczuć związanych ze świadomą wolą, szczegółami czy fizycznym wysiłkiem. Zupełnie jakbyśmy pławili się w jakimś fantastycznym świecie czy wymiarze, gdzie nie istnieją pojęcia czasu, związków przyczynowych i kierunku. Orzeźwiło nas światło, słabe płynące z zewnątrz światło na rozległej, kolistej przestrzeni; nie zbliżaliśmy się już do wyładowanych sań, ani nie spojrzeliśmy po raz ostatni na zwłoki nieszczęsnego Gedney'a i zaprzęgowego psa. Spoczywają w osobliwym, gigantycznym mauzoleum i mam nadzieję, że do końca istnienia tej planety nikt już nie zakłóci im spokoju. Kiedy pieliśmy się z wysiłkiem po ogromnej, spiralnej pochyłości po raz pierwszy od momentu naszej obłąkańczej ucieczki, uświadomiliśmy sobie jak bardzo byliśmy zmęczeni i zdyszani po tak długim biegu w rozrzedzonym powietrzu płaskowyżu; ale nawet lęk przed kompletnym wyczerpaniem nie zmusił nas do zwolnienia tempa, aż do chwili, gdy na powrót znaleźliśmy się w krainie słońca, nieba i normalności. W faktie opuszczenia przez nas tego miasta pogrzebanych epok było coś, w nieokreślony sposób, słusznego i właściwego - kiedy bowiem dysząc ciężko pieliśmy się ku szczytowi sześćdziesięciostopniowego cylindra pierwotnej, kamiennej budowli dostrzegliśmy na ścianach ciąg heroicznych rzeźb wykonanych wczesną i bynajmniej nie dekadentką techniką przez wymarłą rasę - pożegnanie wykute przez Stare Istoty ponad 50 milionów lat temu. Koniec końców, wgramoliliśmy się na szczyt, trafiliśmy na ogromne usypisko powalonych bloków; od zachodu wznosiły się biegnące łukowato ściany wyższych, kamiennych budowli, od wschodu zaś, za linią bardziej uszkodzonych gmachów przezierały posępne szczyty potężnego masywu górskiego. Ma horyzoncie od południa, poprzez szczeliny w postrzępionych, rozpadających się ruinach przezierało krwistoczerwone, wiszące nisko, antarktyczne słońce. Poprzez kontrast ze stosunkowo znanym i swojskim krajobrazem polarnym, ów przerażający wiek i martwość upiornego miasta wydawały się jeszcze bardziej porażające, na niebie nad nami kłębiły się masy wirujących, opalizujących lodowych oparów; poculiśmy jak mróz zaciska na nas swoje bezlitosne szpony. Powoli, ze znużeniem poprawiliśmy plecaki ze sprzętem, które instynktownie chroniliśmy podczas ucieczki, pozapinaliśmy guziki grubej odzieży i potykając się ruszyliśmy w dół osypiska, rozpoczynając wędrówkę przez kamienny labirynt w kierunku pogórza, gdzie zostawiliśmy nasz samolot, nie wspomnieliśmy nawet słowem o tym, co zmusiło nas do ucieczki z mroków kryjących w sobie najgłębsze sekrety ziemi i archaiczne otchłanie. W niecały kwadrans odnaleźliśmy stromy stok - przypuszczalnie starożytny szlak wiodący wprost na pogórze. Zeszliśmy nim i po chwili pośród rozszanych z rzadka na wznoszącym się stoku ruin wypatryliśmy ciemny kształt ogromnego samolotu. W połowie drogi na szczyt wzgórza, gdzie znajdował się cel naszej wędrówki, przystanęliśmy na chwilę, dla zaczerpnięcia oddechu i odwróciliśmy się, by jeszcze raz rzucić okiem na fantastyczny labirynt nieprawdopodobnych, wręcz niemożliwych kształtów zaklętych w kamieniu - rysujących się mistycznie na tle nieznanego zachodu. Kiedy tak staliśmy, zauważyliśmy, że niebo utraciło cała swa poranna mglistość - skłębione lodowe opary wznosiły się ku zenitowi, a ich szydercze zarysy zdawały się układać, w tajemniczy, niewyraźny wzory, których najwyraźniej nie da się określić i sprezytować. W oddali, na białym horyzoncie, niżą budowlami groteskowego miasta odcinała się bajeczna linia najeżonego turniami fioleto a jej wyniosłe iglice wyglądały niczym majak ze snu pośród przyzywając ego, nabiegającego barwa różu zachodniego nieba. Nieco wyżej patrząc w stronę lśniącej krawędzi stoków opadających ku starożytnemu płaskowyżowi, można było dostrzec wyschnięte koryto pradawnej rzeki, przecinające ów teren nieregularną wstęgą cienia. Ten niezemski widok, przepiękny nieomal kosmicznym pięknem, zaparł nam dech w piersiach, ale nie trwało to długo, bowiem zaraz potem do naszych serc poczęła się wkradać dziwna, po tym wszystkim, groza. Ta odległa, fioletowa linia nic mogła być bowiem niczym innym, jak przerażającymi górami zakazanej krainy - najwyższymi szczytami na ziemi, ogniskującymi w sobie całe ziemskie zło; siedliskiem nic dających się wystłowić koszmarów i sekretów archaiku; górami, do których zanosili modły i unikali jak ognia ci, którzy lękał się nawet przedstawienia w kamieniu prawdy na ich temat; stokami, których nie tknęła stopa żadnego żywego stworzenia na ziemi, ale nawiedzonymi przez dziwne błyski i rozsyłającymi dziwne, blade promienie omiatające pobliskie równiny i rozcinające mrok polarnej nocy. Były one bez wątplenia nieznanym archetypem przerażającego Kadath z Lodowych Pustkowi leżącym poza płaskowyżem Leng, o którym zdawkowo i wymijająco wspominają prastare legendy. Jeżeli wierzyć płaskorzeźbom, które mieliśmy okazję oglądać w zapomnianym praludzkim świecie, te tajemnicze fioletowe góry nie mogły znajdować się dalej, niż trzysta mil stąd, niemniej jednak ich mgliste, bajeczne kontury odcinały się ostro ponad odległą krawędzią, niczym postrzępiony bliżej, monstrialnej, obcej planety, która tylko czeka aby wzbici się w posępne, nieznanne niebiosy. Ich wysokość musiała być wręcz niewyobrażalna - ich wierzchołki sięgały a w rozrzedzone warstwy atmosferom, gdzie zamieszkuje jedynie gazowo widma i skąd ptaki spadają martwe. Spoglądając na nie pomyślałem z zaniepokojeniem o niektórych aluzjach i sugestiach zawartych w rzeźbach - mówiących o tym, co fale nie istniejącej już rzeki przyniosły któregoś razu do miasta z tych przeklętych stoków, i zastanawiałem się na ile uzasadnione, a na ile szalone i wynaturzone były obawy Starych Istot, które tak powściągliwie ukazywały owo coś, na swoich reliefach. Przypomniałem sobie, że północny kraniec tych gór, musi znajdować się w pobliżu brzegów Ziemi Królowej Marii, gdzie obecnie, nie dalej niż 1 000 mil stąd, prowadziła prace ekspedycja sir Douglasa Mawsona; i miałem tylko nadzieję, że żaden z tych los nie pozwoli sir Douglasowi i jego ludziom ujrzeć choć przez chwilę. - tego, co musiało znajdować się poza pasmem ochronnego, nadbrzeżnego górskiego masywu. Takie właśnie myśli kłębiły się podówczas w moim skonfundowanym umyśle, nerwy miałem nielicho nad szarpnięte - ale z Dantoneem było jeszcze gorzej niż ze mną. Na długo wcześniej nim minęliśmy ogromne, przypominające kształtem Gwiazdę ruiny i dolecieliśmy do samolotu, trawiące nas leki skupiły się na

mniejszym acz dostatecznie rozległym masywie widniejącym w oddali. Po wschodniej stronie, w odrażający sposób, piętrzyły się atramentowo czarne stoki upstrzone tu i ówdzie zdewastowanymi, kamiennymi minami - które ponownie przywiodły nam na myśl owe dziwne, azjatyckie obrazy Nicholasa Roericha; a kiedy myśleliśmy o przerażających, plugawych, amorficznych istotach, które niczym cuchnące wiję mogły pełzając, dotrzeć do najwyższych poziomów wydrążonych sieci tuneli górskich szczytów, perspektywa ponownego lotu ponad wymierzonymi dwunacznie ku niebu otworami jaskiń, gdzie hulający wiatr wydawał dźwięk podobny do złowrogiego, posępnego, melodyjnego świergotu bynajmniej nie przypadła nam do gustu. Powiem otwarcie - byliśmy przerażeni, paniczny strach przeniknął nas do szpiku kości. Co gorsza, dostrzeżliśmy wyraźne mgły płożące się wokół niektórych wierzchołków, opary które nieżyjący już Lakę wziął mylnie za przejaw aktywności wulkanicznej - i z dreszczem dojmującej zgrozy powróciłem myślami do wirujących spiralnie mgieł, przed którymi właśnie uciekliśmy - a także do bluźnierczej, stanowiącej ostoję koszmarów otchłani, gdzie rodziły się te gęste, mleczno-białe, złowrózne kłęby. Samolot zastaliśmy w jak najlepszym porządku - natychmiast też, nałożyliśmy niezgrabnie ciężkie futra, używane podczas lotu. Danforth bez trudu uruchomił silnik i gładko wystartowaliśmy, wznosząc się nad koszarne miasto. W dole rozciągały się pierwotne, gigantyczne kamienne budowle - dokładnie takie same, jak kiedy ujrzeliśmy je po raz pierwszy, nasz aeroplan zaś zaczął się wznosić i wchodzić w łagodny skręt w celu sprawdzenia siły wiatru przed ostatecznym przekroczeniem przełęczy. W wyższych warstwach atmosfery musiały występować silne zawirowania powietrza, bowiem chmury lodowego pyłu stojące w zenicie tworzyły najfantastyczniejsze kształty. Jednak na wysokości 24 tysięcy stóp, które musieliśmy osiągnąć, aby móc pokonać przełęcz, nawigacja okazała się całkiem prosta. Kiedy zbliżyliśmy się do strzelistych szczytów, ponownie dobiegł nas dziwny świergotliwy szum wiatru i zauważyłem, że spoczywające na sterach dłonie Danforth'a zaczęły drżeć. Byłem wprawdzie pilotem-amatorem, ale w tej chwili doszedłem do wniosku, że będzie o wiele lepiej i bezpieczniej, jeśli to ja przeprowadzę maszynę przez przesmyk między turniami. Kiedy zaproponowałem Danforthowi, że zamienię się z nim na miejsca i przejmę stery - nie zaprotestował. Starłem się zachowywać pełny spokój i wykorzystując całe swe umiejętności wpatrywałem się w skrawek czerwonego, odległego nieba pomiędzy stokami ograniczającymi przełęcz - ostentacyjnie nie zwracając uwagi na kłębiące się wokół górskich wierzchołków mgły i marząc jedynie o woskowych kulkach w uszach - podobnie jak załoga (Jlissesa, przepływająca obok wybrzeża Syren -by nie docierał do mnie dziwny, niepokojący świergot wiatru. Ale Danforth zwolniony od obowiązków pilota, trawiony przerażającym napięciem nerwowym nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Przez cały czas czułem jak się kręci i wierci spoglądając to do tyłu na straszliwe, oddalające się miasto, to znów do przodu na najeżone mrocznymi otworami jaskiń, przygniecione brzemieniem kamiennych sześcianów wierzchołki i ponure morze zaśnieżonych, okolonych wałami, pagórków; od czasu do czasu przenosił wzrok na zakryte groteskowymi chmurami niebo. I wtedy, gdy szykowałem się by bezpiecznie przebyć przełęcz jego szaleńczy wrzask o mało nic spowodował katastrofy - gdy pod wpływem tego krzyku na moment straciłem kontrolę nad sterami. Sekundę później stanowczość wzięła górę i już bez przeszkód przekroczyliśmy przełęcz - obawiam się jednak, że Danforth już nigdy nie dojdzie do siebie. Wspominałem już, że Danforth nie chciał mi powiedzieć, co go tak przerażyło, że ni stąd, ni zowąd zaczął wyć jak opętany i ta groza - nie mam niestety co do tego najmniejszych wątpliwości - stała się powodem jego obecnego załamania. Prowadząc w trakcie lotu urwaną rozmowę musieliśmy krzyczeć, by móc się nawzajem usłyszeć pośród zawodzącego świergotu wiatru i ryku silników - dotarliśmy w końcu do bezpiecznej partii gór i powoli zaczęliśmy obniżać pułap, kierując się w stronę naszego obozowiska; przede wszystkim jednak ponownie złożyliśmy przyrzeczenie, że utrzymamy wszystko w tajemnicy - zgodnie z tym co postanowiliśmy opuszczając koszarne miasto.

Pewne rzeczy - co do tego byliśmy zgodni - nie powinny zostać rozgłoszone. Lepiej aby ludzie nigdy się o nich nie dowiedzieli; są tematy o których nie należy rozmawiać - z rozmaitych skądinąd powodów - i zapewne nie opowiedziałbym o tym wszystkim, gdyby nie pałac a potrzeba powstrzymania za wszelką cenę ekspedycji Starkweathera i Moora, oraz wszystkich innych. Ze względu na spokój i bezpieczeństwo ludzkości należy bezwzględnie pozostawić w spokoju pewne mroczne zakątki i niezgłębione otchłanie ziemi; aby nie obudzić, z pozoru martwych okropności, w ciałach których wciąż jeszcze może się tlić uspione, odrażające życie, i by bluźniercze ocalałe, koszarne monstra nie zapragnęły wypełnić ze swych czarnych, cuchnących nor ku nowym, jeszcze rozleglejszym podbojom. Danforth napomknął jedynie, iż to co ujrzał, a co tak go przerażyło było straszliwym, plugawym mirażem. Zaklinał się, iż nie miał on żadnego związku z sześcianami i jaskiniami zięjącymi w tyli', przeraźliwych, różni zdumiewających upiornym, melodyjnym echem, spowitych mlecznobiałymi oparami mgieł, wydrążonych jak plaster miodu Górach Szaleństwa, które pozostawiliśmy daleko za nimi. Był to jeden tylko, demoniczny i ulotny obraz, widok trwający nie dłużej niż mgnienie oka - dostrzeżony pośród skłębionych chmur przesuwających się po nieboskłonie - obraz lego, co znajduje się poza łańcuchem fioletowych gór na zachodzie, których Stare Istoty tak bardzo się lękały, i których unikały. Bardzo możliwe, że wszystko to było jedynie osobliwym złudzeniem, zrodzonym wskutek poprzednich napięć, podobnie jak ów rzeczywisty, choć niezrozumiały fantom wymarłego, śródgórskiego miasta, jaki ujrzeliśmy w pobliżu obozu Lake'a, poprzedniego dnia; dla Danforth'a wizja ta była tak żywa, że jej wspomnienia dręczą go po dziś dzień. Zdarza mu się również, aczkolwiek nader rzadko szeptako pozornie pozabawione sensu słowa o "czarnej jamie", "rzeźbionej krawędzi", "proto-Shoggothach", "pozbawionych okien pięciowmiarowych bryłach", "beziemiennym, potwornym cylindrze", "Starszych Pharos", "Yog-Sothoth", "pierwotnej, białej galarecie", "kolorze z przestworzy", "skrzydłach", "oczach w ciemności", "księżycowej drabinie", "pierwszym, wiecznym i nieśmiertelnym" i innych równie osobliwych rzeczach. Kiedy jednak dochodzi do siebie, natychmiast wypiera się wszystkiego, składając to na karb niesamowitych i makabrycznych lektur z poprzednich lat. Danforth rzeczywiście jest jednym z nielicznych, którzy odważyli się przeczytać do końca plugawy, szalony, złowieszczy "Necronomicon", którego egzemplarz, nadarty mocno przez robaki jest trzymany pod kluczem w bibliotece naszego uniwersytetu. Nie ulega wątpliwości, że kiedy przekraczaliśmy masyw wyższe warstwy nieba były silnie wzburzone i spowite gęstymi oparami; i choć nic byłem w stanie dojrzeć zenitu, wyobrażałem sobie doskonale jak dziwne i fantastyczne formy potrafią przyjmować wiry lodowego pyłu. Wiadomo, jak wyraziste potrafią być czasami odległe widoki odbite, załamane i powiększone przez tego typu warstwy skłębionych chmur, a bujna wyobraźnia z łatwością mogła dokonać reszty. Danforth

oczywiście nie wspomniał nawet słowem o zaobserwowanym przez siebie koszmarze, dopóki nie połączył go z przeczytanymi wcześniej lekturami. W jednym spojrzeniu, trwającym nie dłużej niż mgnienie oka nie byłbym w stanie dojrzeć tak wiele. Jego przeraźliwe wrzaski ograniczały się wówczas do powtarzania na okrągło jednego, jedyne go, szalonego słowa, którego źródło jest aż nazbyt oczywiste:

"Tekeli - li! Tekeli - li!"

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[<- **Rozdział 11**] [**Początek**]